



Ines
Thorn

Kupiecka
baronowa

Świat Książki

Thorn Ines

Niemiecka saga 03

Kupiecka baronowa

Jest rok 1792. Francuskie oddziały rewolucjonistów stoją pod bramami Frankfurtu. Z powodu niedawnej śmierci męża, Theda Geisenheimer musi stanąć na czele rodzinnego domu kupieckiego i zadbać o dorastające dzieci: Jago, lekkomyślnego poetę; zaślepionego ideami rewolucji Stefana i Friederike, która przeżywa swoją pierwszą miłość. Przedsiębiorcza, zaradna i twardo stąpająca po ziemi Theda nie pozwala sobie na chwile słabości. Jednak pojawienie się w jej życiu Ekeharda von Hohensteina rozpało w niej płomień dawnej miłości. Czy jej złamane niegdyś serce będzie potrafiło na nowo pokochać? "

Rozdział 1

Frankfurt, rok 1791

Theda Geisenheimer, z domu Eisenberg, siedziała w niebieskim salonie, przyglądając się w lusterku swojej twarzy. Boże Narodzenie właśnie minęło i pozostawiło na niej ślady. Cienie pod oczami pogłębiły się, a wokół powiek pojawiły się nowe zmarszczki. Westchnęła i odłożyła lusterko na komodę. Nigdy bym nie pomyślała, Theodorze Geisenheimer, że nawet leżąc w grobie, podstawisz mi nogę. -Potrzęsnęła głową. Jej spojrzenie zatrzymało się na liście, który posłaniec przyniósł akurat w Wigilię. Była na nim pieczęć landgrafa Hesji-Homburga i został napisany z polecenia cesarza.

Theda wstała. Spódnica jej sukni szeleściła przy każdym kroku. Wzięła list i kolejny raz przebiegła wzrokiem po liniijkach. To przecież nic innego jak szyderstwo, pomyślała i pogardliwie zmarszczyła nos. „Szanowna Madame Geisenheimer - czytała. - Żałujemy ogromnie, że po nagłej śmierci Pani męża nie możemy Pani i Jej rodziny podnieść do stanu szlacheckiego. Ten wielki zaszczyt był bowiem ściśle związany z osobą i zasługami drogiego Zmarłego”.

Zirytowana, zgmiotła list i wrzuciła w ogień płonący w kominku. - To takie typowe, syknęła. - Typowe dla ciebie

i tego prostackiego motłochu. Wszystkie lata małżeństwa poświęciłam dla twojego powodzenia. A ty? Dziwisz się, że sama muszę nieść cały ciężar domu kupieckiego, i umierasz przed czasem, tak że cesarz nie musi już dotrzymywać danego słowa. I w jakim jestem teraz położeniu? Żadnego stanu szlacheckiego. Nie mogę już nazywać siebie baronową, mimo iż ten tytuł należy mi się od urodzenia. Wstyd i hańba, Theodorze! Z lusterka spoglądała na nią twarz otoczona krótkimi, przetykanymi siwizną włosami. Nie, tak z pewnością nie wygląda wielka dama. Dama pielęgnowałaby swoje włosy. Ale co jeszcze mogłabym zrobić? - pomyślała. Zawsze musiałam doglądać zagranicznych placówek, ponieważ mój Theodor, zajęty rozrywkami, nie miał na to czasu. Stawałam na głowie, żeby zadbać o dom, wychowywać dzieci i równocześnie prowadzić interes. Nie wiedziałam, w co ręce włożyć, a wieczorem nie miałam już ani czasu, ani siły na trzysta pociągnięć szczotką. Tak więc brałam do ręki nożyczki, podcinałam włosy, i było dobrze. Tak czy owak, kobieta mojego stanu nie wychodzi ze swojego pokoju bez czepka. A jak się pod nim wygląda, to tylko moja sprawa. Ale posiwiałam. Przedwcześnie. Z twojego powodu, Theodorze. Niechętnie podniosła rękę i przeczesała włosy palcami. Są miękkie, pomyślała zaskoczona, miękkie jak puch pisklęcia. Zamyślona, odsunęła kosmyk z wysokiego czoła. - Te zmarszczki są jak pociągnięte linijką. Postarzałam się, stwierdziła. - Ale moje oczy ciągle jeszcze lśnią jak listopadowe niebo. Bardziej szare niż niebieskie, jak gdyby już nadeszły pierwsze nocne przymrozki. - Potarła grzbiet nosa. - No tak, łatwo byłoby wyciąć profil. Rach, ciach i ostry trójkąt gotowy. Z ustami muszę sobie zadać więcej trudu, nawet jeśli nie są już tak pełne jak kiedyś. A tego, że kąciki opadły, w wycinance nie widać. Ale tu, w lustrze? Przeróżająco nędznie wyglądasz, Thedo. Przeróżająco nędznie!

Ściągnęła ramiona i wysunęła wargi odrobinę do przodu. Znowu spojrzała krytycznie w lustro. Wprawdzie ostrokątna twarz nie nabrała miękkości, ale miała pewien surowy urok.

Z podwórza dobiegały na górę głosy. Theda rozpoznała dźwięczny śmiech córki. Szybko założyła czepek i podeszła do okna. Najpierw dojrzała kilku ładowaczy i magazynierów. Stali oparci o mur, uśmiechając się szyderczo. Ręce trzymali w kieszeniach lub pod pachami, założone na krzyż. Na włosach i kurtkach z grubego materiału osiadały im płatki śniegu. Zimne szyby zaparowały od jej oddechu.

- Te chłopcy nie powinny tak stać, tylko ładować pszenicę - pomstowała. - Czy towar ma się zamoczyć i spleśnieć?

Na podwórze wjechała z turkotem furmanka i zasłoniła na chwilę widok. Zaraz po tym Theda zobaczyła swoją córkę, Friederike, plotkującą ze służącą. Jej policzki płonęły. Zrzuciła obszyty futrem kaptur i pozwoliła, aby śnieg padał jej na włosy. A teraz jeszcze się śmiała, z mocno odchyłoną głową i otwartymi ustami!

Theda otworzyła okno.

- Friederike! Przyjdź do mnie do salonu. Natychmiast! Dziewczyna wzdrygnęła się.

- Tak, mamó - szepnęła, ale Theda mimo to ją usłyszała.

- A ty, Trine, co robisz na podwórzu? Zajął się już choinką w holu?

Młoda służąca spojrzała przestraszona i przytaknęła:

- Tak jest, proszę pani!

- Bombki wypolerowane? Srebra wyczyszczone? Święta minęły, ale dom nie może wyglądać gorzej niż u pani Goethe!

Służąca nie odpowiedziała, tylko zgarnęła spódnice i wpadła do domu za Friederike.

Theda właśnie miała zatrzaskać okno, kiedy na podwórzu wszedł Stefan. Jej syn miał na sobie stary wojskowy

płaszcz. Wracał z miasta. Zauważyła, jak zsuwa z rękawa niebiesko-biało-czerwoną kokardę.

Mój mały jakobin, pomyślała. To przez tę rewolucję po drugiej stronie, u Francuzów.

Theda uśmiechnęła się lekko, ale zaraz jej rysy znowu się napięły. Stefan pozostawił kokardę na mankiecie, ściągnął ramiona i kroczył przez podwórze niczym oficer gwardii. Podeszedł do pracowników. Nakazał dwóm ładowaczom przetoczyć beczkę i postawić ją na środku. Na koniec wspiał się na nią i rozpostarł ramiona.

Theda otworzyła szerzej okno i odrobinę się wychyliła. Co też jej syn miał do zakomunikowania tym ludziom? Otarła z nosa kilka płatków śniegu i parsknęła. Co było tak ważnego, żeby aż oderwać mężczyzn od pracy?

- Obywatele i bracia! - usłyszała wołanie syna.

Ci robotnicy, którzy objali się przy ścianie domu, podeszli bliżej. Jeden praktykant zniknął w biurze i Theda usłyszała jego wołanie.

- Szybko, młody pan znowu wygłasza mowę! Natychmiast otworzyły się drzwi magazynów i spichlerzy.

Ludzie tłoczyli się na podwórzu, w oczekiwaniu patrzyli na stojącą pośrodku beczkę. Niektórzy śmiali się. Theda zobaczyła wśród nich również Trine.

- Obywatele i bracia! - zakrzyknął znowu Stefan. - Nie pozwólcie dłużej okradać się z waszych praw! Zróbcie jak Francuzi! *Fraternité, égalité, liberté!*

Theda z głośnym hukiem zatrzęsła okno, zgarnęła spódnicę i zbiegła po schodach.

- Z drogi! - potrafiła służącą. Z rozmachem otworzyła drzwi, nie zważając na śnieżną breję, pospieszyła przez podwórze, odepchnęła na bok ładowaczy i robotników i wreszcie znalazła się przy beczce.

- Zejdz natychmiast! - syknęła do syna, on jednak nie zwrócił na nią uwagi.

- Obywatele i bracia! - krzyknął w tłum. - Bóg stworzył wszystkich ludzi na swoje podobieństwo, więc wszystkich powinny obowiązywać te same prawa.

- Bzdury, same bzdury! - zawołała Theda, po czym ściągnęła syna z beczki i przy wszystkich ludziach zatkała mu gębę, tak że z głowy spadła mu czerwona czapka jakobina.

- A wy wracajcie do pracy. Ale żwawo. Ten, którego za minutę jeszcze tu zobaczę, może sobie bożonarodzeniowy podarunek wypisać na kominku! Ludzie natychmiast oddalili się do swoich zajęć, mamrocząc.

- A ty, przyjacielu, pójdziesz ze mną!

- Mamo, nie możesz!... - wrzeszczał Stefan, próbując wyrwać się z żelaznego uścisku.

- Czego nie mogę? - Theda zniecierpliwiona puściła syna, tak że wpadł w śnieg, i oparła ręce na biodrach.

- Czy mam pozwolić, żebyś nas ośmieszał przed wszystkimi? Mowy nie ma! A teraz chodź!

Odwróciła się i brnęła w śniegu, aż błoto rozpryskiwało się na boki. Stefan, nagle sam na podwórzu, podniósł czapkę i ścisnął ją w dłoniach. Czapka jakobinów, znak rewolucji, całkowicie pokryta śniegowym błotem! Zaklął cicho pod nosem. W jego oczach tlił się dziki ogień, a spojrzenia, które rzucał za matką, mogłyby stopić bryły lodu.

Theda tymczasem miała inne zmartwienia. Z dezaprobatą spojrzała na córkę.

- Dlaczego masz zaczerwienioną twarz?

- Szybko biegłam.

- Bzdury. Dama nie biega. To jest dobre dla służby. Twoja twarz jest zaczerwieniona, ponieważ znowu chodziłaś po mieście, na wietrze, jak dziecko ulicy.

Friederike przełknęła ślinę.

- A w ogóle - kontynuowała matka - nie jesteś już dzieckiem. Wkrótce skończysz piętnaście lat. Najwyższy czas, żebyś bardziej zwracała uwagę na swój wygląd. To nie do przyjęcia, żeby córka Geisenheimerów biegała w kółko i zachowywała się jak prostaczka.

Na te słowa Friederike drgnęła.

- Ja... ja... - zająknęła się.

- Co, ja?

- Chciałabym być taką kobietą jak ty - wyszeptwała. Theda westchnęła.

- I jak to miałyby wyglądać? Jestem kobietą wysoko urodzoną i od dwudziestu lat pozbawioną swojego tytułu. Niestety, uzbierało się w tobie całe kramarstwo rodziny Geisenheimerów. Przejdź trzy kroki.

Friederike zrobiła, jak jej powiedziano.

- Nie, mój Boże, nie tak! Głowa wysoko, ramiona ściągnięte, i z powrotem. Wdzięk! Wdzięk! Na miły Bóg, czy to jest takie trudne!? Klepnęła córkę w plecy, szarpnęła za ramiona, w końcu pociągnęła jej podbródek do przodu. Dziewczyna stała sztywno, dopóki Theda, wzdychając, nie opuściła rąk.

- Myślę, że nigdy nie będzie z ciebie damy na poziomie, z dobrymi manierami i obyczajami. Jeśli będziesz miała szczęście, przy wielu ćwiczeniach zostaniesz kobietą. Zwykłą żoną rzemieślnika. Ale teraz jesteś tylko babskiem, nie lepszym niż te, które sprzedają na targu jaja i ryby.

Oczy Friederike wypełniły się łzami. Smutno spojrzała na matkę. Theda westchnęła głośno raz jeszcze i pogłaskała córkę po ramionach.

- No tak, może któregoś dnia uda nam się rozwiązać ten węzeł. W każdym razie twoje piegi muszą zniknąć do sylwestra.

Friederike złapała się za nos, jakby mogła wyczuć ręką każdą pojedynczą brązową plamkę.

- Kobieta wysokiego stanu ma jasną cerę, słyszysz, jasną! Jej skóra jest jak świeżo ubita śmietana. Te... piegi, te diabelskie plamki, pasują jedrny chłopkom, ale nie wnuczce barona von Eisenberga.

Theda popchnęła córkę do okna, by ją dokładniej obejrzeć. Friederike nie była tak wysoka jak matka. Miała niebieskie oczy Geisenheimerów, a do tego ich cienkie blond włosy. Po Eisenbergach odziedziczyła tylko delikatny nos i usta w kształcie serca. Ogólnie biorąc, Theda nie uważała swojej córki ani za ładną, ani za brzydką. Jednak od niektórych słyszała, że uważają Friederike za śliczną. Ale jakie to miało znaczenie? Niejedna praczka była śliczna.

- Hmm, będziemy je nazywać *ephelides*, te twoje piegi. Wtedy będzie to przynajmniej elegancko brzmiało. Zrozumiałaś?

Friederike przytaknęła.

- Dobrze. Zatem wypróbujemy nowy środek na te trudne *ephelides*.

Dostarczono go wraz z pocztą, prosto z Paryża.

- Ale, mam, chciałam dzisiaj pójść na ślizgawkę z innymi uczennicami z Instytutu Francuskiego Madame Dupont - Friederike zaryzykowała sprzeciw.

- Bzdury! - stwierdziła Theda. - Są ważniejsze sprawy niż robienie z siebie pośmiewiska przed ludźmi.

Nie czekając na odpowiedź córki, wzięła kanciastą butelkę z gzymsu kominka.

- To jest ten cudowny środek.

Friederike spojrzała nieufnie. Po jednej stronie można było przeczytać słowa: *Candes en Cie, Lait contre les ephelides, Paris*, po drugiej nazwy niektórych substancji chemicznych. Friederike, która od trzech lat uczęszczała do Instytutu Madame Dupont, rozpoznała wyrazy. Amoniak, chlor i kwas siarkowy, ołów, żelazo, wapno i soda oczyszczona...

Madame kładła duży nacisk na to, żeby nauczyć młode podopieczne sztuki konwersacji, ale nie szczędziła im również porad kosmetycznych.

W taki właśnie sposób Friederike zdobyła całkiem dodatkowo znaczną wiedzę w dziedzinie terminów chemicznych.

- Dlaczego tak się temu przyglądasz? - zapytała Theda szorstko i zabrała z jej rąk butelkę.

- Tam! - Friederike wskazała palcem. - Tam jest instrukcja użycia.

Theda przeczytała instrukcję. Jej francuski nie był tak dobry, jak jej się to zawsze wydawało, jedno jednak zrozumiała: substancję należało najpierw wymieszać z czystym alkoholem. Na to nie miała czasu. Nie chciała opóźnić przeobrażenia córki w młodą damę, która w domu Goethego byłaby uznawana za dobrą partię.

- Dobrze, spróbujemy tymczasem starego środka.

- Nie! - Friederike zasłoniła twarz rękoma. - To tak piekło!

- Hmm! - Theda zastanowiła się chwilę, a następnie zadzwoniła po kucharkę. Trwało trochę, zanim zdyszana kobieta weszła po schodach na górę. Hedi знаła Thedę, odkąd ta pojawiła się na świecie. Już wtedy była kucharką w domu Eisenbergów. Przejęła nad nią opiekę i od tego czasu była zaufaną Thedy.

- Słucham, madame?

- Recepta na piegi. Friederike twierdzi, że ostatnim razem piekła ją skóra. Hedi skinęła głową. Tak się zdarza. Delikatnie pogłaskała dziewczynę po policzku.

- Tych kilka ciemnych punkcików na twarzy nie jest tak straszne jak ciemne punkty na duszy. Zobaczysz, moja mała, mimo to znajdziesz męża.

- Hedi! Ty masz mi powiedzieć, czego jeszcze mogę użyć zamiast octu jabłkowego. Wszystko inne powierzyłam sobie!

Kucharka obrzuciła współczującym spojrzeniem Friederike i powiedziała:

- Na maseczkę z białka i zsiadłego mleka weźmiemy zamiast octu jabłkowego po prostu mocno rozcieńczony sok z cytryny i wmieszamy tuzin drobno posiekanych migdałów. To pomoże. Czy mam przygotować maseczkę?

Theda skinęła głową, Friederike skrzywiła się, kucharka popędziła do kuchni. Chwilę później dziewczyna miała na twarzy białą, mokrą i zimną pastę. Naturalnie piekło ją to tak potwornie, że łzy płynęły jej białymi strugami po obu stronach nosa.

- *Ten kraj, zanurzony w białym przepychu, moje serce skarży się i tęskni.*

- Hmm... Nie, tak nie może być, to są bzdury. Może tak:

- *Zanurzony w białym przepychu kraj, moje serce wychodzi z siebie.*

- Nie, to jeszcze gorsze.

- *Kraj zanurzony w białym przepychu, moje serce otoczone zimnem.*

- To jest dobre. To jest naprawdę dobre.

Jago Geisenheimer mamrotał te wersy jeszcze wielokrotnie i w końcu włożył zapisaną kartkę do szkicownika. Chciał je zapamiętać. Jak tylko wrócił z kawiarni do domu, udał się do swojego pokoju, kazał przynieść z piwnicy karafkę czerwonego wina i przy biurku dopisał wiersz do końca. Och, poczuł, że Pegaz, ten skrzydlaty rumak poetów, zanieśie go dzisiaj daleko. Tak, zrozumiał to. I dosiadzie go on, Jago Geisenheimer!

Powietrze było czyste i zimne, aż paliło go w piersi. Było mu tak lekko i czuł się tak uskrzydłony, jakby wiosna już zagościła w jego sercu. Z wysoko uniesioną głową kroczył uliczką i nie zważał na śnieg, który wiatr zawiewał w jego stronę.

Ze sklepu na rogu ulicy wyszła dama w futrzanej pelerynie. Trzymała za rękę chłopca.

- Spójrz, mammo! - Jasny głos niósł się ponad ulicą. Chłopiec wskazał palcem na Jaga. - Spójrz tylko, ten pan jest ubrany jak Werter. Czy zaraz się zabije?

- Bądź cicho i chodź - syknęła matka. - Nie wypada tak pokazywać na innych.

Energicznie pociągnęła chłopca dalej. Jago uśmiechnął się. Czule pociągnął dłoń po swoim ubraniu. Tak, miał na sobie strój Wertera: żółte spodnie, żółtą kamizelkę i niebieski frak. Od ostatnich urodzin pijał herbatę z filiżanki Wertera. Westchnął i przycisnął obie ręce do piersi. Nareszcie, po długim czasie, znowu czuł się jak Werter. Czy Goethe, który przed siedemnastu laty napisał powieść o Werterze, znał to uczucie? Naturalnie, pomyślał Jago. W końcu ta powieść nosi rysy biograficzne. Werter zakochał się w Lotcie, Lotta była zaręczona, a na koniec Werter zastrzelił się, bo tylko tak mógł zachować jej miłość. Ponad śmiercią. Właśnie tak. Jago wiedział, że jego uczucia są tak czyste i głębokie jak Wertera. Brakowało mu tylko Lotty. Ale znajdzie się, prędzej czy później. Jego głównym celem jako poety nie było kochanie, lecz wychwalanie miłości. Właśnie wyszedł z kawiarni przy katedrze Świętego Bartłomieja. Tam, z fajką w ustach, czarną kawą przed sobą i przyjaciółmi wokół, paplał o swoim nadchodzącym życiu poety i kochanka. Zresztą nie on jeden miał takie marzenia. Marzył o tym także Santieri, syn włoskich kupców, do tego daleki krewny rodziny Goethego. Również inny znajomy, który studiował u Fichtego w Jenie, chciał służyć prawdzie, dobru i pięknu. Jago wiedział, że poezja jest trudnym zadaniem, ale właśnie to chciał robić, jak inni przed nim. Nigdy nie wydawałby u Schillera, Goethego czy innych weimarczyków. Publikowałby swoje dzieła na własny koszt. Wtedy by się zobaczyło. Jago westchnął. Jego dzieła... gdyby zostały ukończone.

Ogarnął go melancholijny nastrój. Matka wysłała go przed trzema laty do Włoch, żeby rozwinął tam swoje kupieckie umiejętności. Miał się uczyć w pewnym banku w Wenecji, a we Florencji zaglądać przez ramię kupcowi handlującemu z dalekimi krajami. Zabawiał się jednak inaczej: zajmował się naturą, studiował sztukę włoską i kobiety. Raz - przypomniał sobie, jakby to było wczoraj - widział nawet Goethego. Mężczyzna mniej więcej czterdziestoletni, którego dumny chód i zarozumiałe uniesiona głowa pokazywały wszystkim, że mają do czynienia z wyjątkową postacią. Od tego czasu Jago nosił ubranie a la Werter.

Kiedy zmarł ojciec, matka kazała mu wracać do Frankfurtu. Teraz miał zaangażować się w rodzinny interes. On jednak nie tęsknił za pulpitem, wagami do worków i zbożem. Był człowiekiem słowa, poetą, „zrujnowanym filozofem”, jak mawiał czasem jego ojciec, potrząsając głową. Ojciec mnie rozumiał, pomyślał Jago. I mama też zrozumie, po prostu musi zrozumieć. Jak ktoś, w kim tkwi prawdziwy Werter, ma spędzać całe dni między biurem a magazynami? Nie, Bóg zaplanował dla mnie coś innego, tego jestem pewien.

Rozejrzał się ze zwycięskim uśmiechem. Tutaj, przy tej ulicy, stał stary Dom pod Krukiem, dawna siedziba rodziny. Mała wydała mu się ta trzypiętrowa kamienica ze szczytową ścianą, mała i wąska. Jak okazale prezentuje się teraz dom kupiecki Geisenheimerów! Tam fasada ma dwadzieścia cztery okna, nie wliczając mansardy. Jago pobiegł żwawiej. Wiatr zawiewał po ulicy płatki śniegu, nadciągnęło zimno i ulice pokryły się warstwą lodu. W niektórych miejscach wysypano popiół, jednak świeży śnieg zasypywał go w przeciagu minuty. Jago dotarł do skrzyżowania ulic. Jakiś wóz turkotał, załadowany po brzegi. Woźnica strzelił z bata, biała piana popłynęła z końskich pysków. Obok Jaga stała młoda kobieta, czekając, aż ulica ponownie będzie pusta i będzie

można przejść. Ledwo wóz przejechał, gdy trysnął potok śnieżnej brei i Jago usłyszał krzyk. Konie poślizgnęły się na lodzie. Za jednym szarpnięciem woźnicy wóz zatrzymał się w miejscu. Stojąca na nim beczka zaczęła się kołysać i przesuwać, dalej i dalej. Jago zauważył kątem oka, że stojąca obok kobieta robi krok w przód.

- Nie! Nie! - krzyknął i rzucił się z wyciągniętymi ramionami w jej stronę. Zderzył się z nią i po chwili oboje leżeli w śniegowym błocie. Z wozu z hukiem spadła beczka, rozbijając się o rynsztok. Jeden z pierścieni okalających jej deski odskoczył i kantem trafił Jago w kostkę. Ból odebrał mu dech. Niemal nie czuł drżącej w jego ramionach kobiety, w końcu jednak udało mu się złapać oddech.

- *Excusez-moi, mademoiselle* - powiedział, wstając. Następnie podał kobiecie rękę, żeby jej pomóc.

- *Mais non* - odpowiedziała. - Muszę was przeprosić i w dodatku podziękować. Uratowaliście mi życie. *Mon Dieu*, gdyby nie wy, ta beczka by mnie zabiła.

- To była czysta przyjemność, Najłaskawsza - odpowiedział Jago i spojrzał na twarz kobiety. Jaka szkoda, że nie jest podobna do Lotty Wertera. Chociaż odrobinę.

Jago obejrzał się. Woźnica pojechał dalej, nie zważając na szkody, których narobił. W tej chwili podjechała dorożka. Jago zatrzymał ją.

- Zawieź, proszę, *mademoiselle* do domu - poprosił woźnicę i wcisnął mu monetę w dłoń.

- Dziękuję, *monsieur* - powiedziała nieznajoma, zamiatając suknią błoto.

- Mam nadzieję, że nie skaleczyliście się?

- O nie, skończyło się na strachu. Dziękuję wam. Razem z dorożkarzem pomogli jej wsiąść do środka i pojazd odjechał.

Jago spoglądał za nim z żalem. Jak romantycznie by było, gdyby w taki właśnie sposób poznał swoją Lottę. Uniósł

ramiona. Aż się wzdrygnął z zimna. Utykając, z bolącą stopą, dotarł do pasażu i skręcił w podwórze Geisenheimerów.

Theda czekała na niego. Po tym jak wysłała Friederike z grubą warstwą mlecznego tłuszczu na policzkach do łóżka i zabroniła jej dalszych łez, poszła do salonu i rozmyślała.

Przed sześcioma tygodniami zmarł pan handlu, Geisenheimer. Jej Theodor. Od tego czasu ona prowadziła dom kupiecki, razem z Kalisem, prokurentem. To było naturalne, była przecież wdową po

Geisenheimerze. Ale pochodziła z Eisenbergów, nie była kramarką. Nie widziała się w roli kupca, właścicielki dużego domu handlowego.

Owszem, na robieniu interesów jeszcze się znała, ale niuanse bankowości, weksle, opcje giełdowe, obligacje i akcje jej nie interesowały. Kobiecie jej stanu to po prostu nie przystoi. Kto jednak miałby przejąć interesy, jeśli nie ona? Gdybym tylko wiedziała, komu powierzyć tę odpowiedzialność, prędzej czy później, westchnęła.

Od dawna już zdawała sobie sprawę, że jej najstarszy syn nie wykazuje za grosz skłonności do wzięcia odpowiedzialności za rodzinny interes. I mimo że od powrotu Jaga z Włoch nie rozmawiali o jego przyszłości, Theda przeczuwała, że jej syn nie poradziłby sobie z prowadzeniem domu kupieckiego tak jak Geisenheimer. Ten dom istnieje już od dwustu pięćdziesięciu lat. Należy do miasta, jak katedra i kieliszki do wina reńskiego.

Theda znowu westchnęła. Ale co to? Usłyszała ciche kroki, jakby ktoś się skradał od wejścia. Energicznie podeszła do drzwi i otworzyła je.

- Jago, czy to ty? - zapytała.

- Tak, mamó.

- Chodź do mnie na słowo.

Jago, dwudziestojednoletni wyrośnięty i niezgrabny młodzieniec, wszedł do salonu ze śniegiem na ciemnobrązowych, miękkich włosach.

- A ty znowu biegasz w kółko! - zganiała go Theda. - Werter nie żyje. I to od dawna. Czy sądzisz, że w tych łachmanach zrobisz wrażenie na Goethem, tajnym radcy dworu, i jego zarozumiałej rodzinie z ulicy Hirschgraben?

Jago potrząsnął głową. Z sekundy na sekundę tracił odwagę.

- Nie chcę robić wrażenia na Goethem. Już i tak rzadko bywa we Frankfurcie.

- Teraz *tout* Frankfurt wie, że jego ukochana matka całymi dniami pisze do niego do Weimaru.

Głos Thedy brzmiał ironicznie. Nieprzyjemnie poruszony Jago przestępował z nogi na nogę. Jęknął, gdy ostry ból przeszył mu kostkę.

- Co jest? - Theda pospieszyła do niego, podając mu ramię. - Skaleczyłeś się?

Natychmiast popchnęła go na fotel, zdjęła ostrożnie but i obejrzała stopę, która była wyraźnie spuchnięta i zasiniona. Własnoręcznie zrobiła mu okład z octowokwaśnej ziemi, dała mu nawet kubek grzanego wina, ciągle jednak nie wiedziała, jak doszło do wypadku.

Po chwili Jago udał się do łóżka. Theda siedziała sama w salonie, z nogami na taborecie. Obok siebie miała mały stoliczek z giętymi nóżkami, na nim leżał najnowszy numer czasopisma „Żurnal Luksusu i Mody”. Ale Theda nie zwracała na niego uwagi. Rozmyślała nad przyszłością. Kiedy dzwony w kościele Najświętszej Marii Panny oznajmiły godzinę dziewiątą, przyszła Hedi z tacą, na której stały dwie filiżanki z gorącą czekoladą.

Jak każdego wieczoru, stara kucharka przysiadła się do swojej pani i razem z nią rozkoszowała się tym napojem na dobry sen. Najczęściej obie kartkowały żurnal, wydawany w Weimarze. Jednak dzisiaj pozostał nietknięty.

- Co mam robić, Hedi? - zapytała Theda.
 - Ma pani na myśli - z interesem? Theda przytaknęła.
 - Stefan jest dobrym chłopcem. Może on jest tym właściwym, skoro Jago w ogóle nie chce się tym zająć?
 - Nie, on jest zbyt porywczy i wybuchowy. Te rewolucyjne idee zaśmieciły mu mózg. On by wszystko, co mamy, podarował rewolucji.
 - Jest młody, pani. Gdyby teraz nie był rewolucjonistą, martwiłabym się o niego o wiele bardziej.
- Theda uśmiechnęła się.
- Wiem to przecież - odpowiedziała. - Zawsze mówi, że to idee i duch rządzą światem, a nie księgi rachunkowe i weksle. Ale on jest synem kupca. Musi żyć w zgodzie ze swoim stanem.
 - Tym bardziej teraz, kiedy nikt nie może swobodnie decydować o sobie i swojej przyszłości - powiedziała Hedi zamyślona. - Ani pani, ani ja.
- Theda przytaknęła. Z gracją, z odchylonymi małymi palcami podniosła filiżankę do ust. Wyśmienita! Ale nieprzyjemne uczucie co do przyszłości pozostało.
- Friederike tak samo przysparza mi zmartwień - kontynuowała. - Jest kochanym dzieckiem, ale brakuje jej sprytu i wdzięku.
 - Dobrze, dobrze, to nadrobi duży posag. Poza tym uważam, że jest miła. Swoimi dużymi, niebieskimi oczami patrzy tak niewinnie jak aniołek.
 - Nie, Hedi, o to właśnie mi chodzi. Nie chciałabym, żeby moja córka wyszła za mąż dzięki posagowi. Powinna zostać poślubiona ze względu na nią samą. Być może Bóg nie obdarzył jej zbyt mądrością, ale to też nie jest koniecznie potrzebne. Trosk mi przysparza jej niepozorność. Ona nie rozumie tego, że powinna się pokazać we właściwym świetle i podobać się mężczyznom. - Theda zrobiła

małą przerwę i dodała: - W każdym razie posag nie powinien być stawiany na pierwszym miejscu. Dobrze byłoby, gdyby znalazł się dla niej ktoś odpowiedni. Bardziej martwię się o Jago. Muszę raz jeszcze poważnie z nim porozmawiać. Nie może być tak, że zostanie poetą. Jakbyśmy wtedy wyglądali?

- Dlaczego? Także inni frankfurczycy zdobyli w ten sposób sławę i honory.

- Tak, wiem, masz na myśli Goethego. Ale Jago nie jest poetą. On jest... jak mam to powiedzieć?... On jest po prostu taki... uczuciowy.

Rozumiesz? Płatek śniegu nie jest dla niego płatkim śniegu tylko dziełem sztuki, symbolem miłości pomiędzy wodą i wiatrem.

Hedi zachichotała i dalej sączyła czekoladę.

- Pięknie to pani powiedziała. Teraz wiem, po kim Jago to ma.

Theda uśmiechnęła się.

- Może i tak. Ale jestem kobietą. A uczuciowość u kobiet jest mile widziana. Jednak nie u mężczyzny, zwłaszcza kiedy wywodzi się z domu kupieckiego. Co ja mam z nim zrobić? Zabronić chodzenia do kawiarni? Ma dwadzieścia jeden lat. Syn Bolongarów był w jego wieku prokurentem. Także młody Adlersberg od dawna już siedzi w biurze ojca. Tylko Jago podąża za tęsknotą. O ile nie siedzi w kawiarni i tam na nią nie czeka.

- Może jak się zakocha? Może wtedy zmądrzeje.

- Tak, może. Poczekajmy, Hedi.

Thea nie mogła spać. Stała przy oknie w swoim pokoju i spoglądała w nocne niebo. Wkrótce Nowy Rok, pomyślała, Nowy Rok roku Pańskiego 1792. Jestem wdową, wdową po kupcu Geisenheimerze. Mam czterdzieści dwa lata, ni mniej, ni więcej. Dla mężczyzny to byłyby najlepsze lata. Przypuszczam, że ja swoje najlepsze lata mam już dawno za sobą. Wcześniej, tak, wcześniej wierzyłam w miłość. Teraz wiem, że to tylko piękne słowo. Słowo, za którym kryją się samodyscyplina i koncentracja. Kiedyś delektowałam się początkiem nowego roku. Byłam pełna nadziei. Co prawda miałam szesnaście lat i każdego ranka w drodze do Instytutu Francuskiego spotykałam tego chłopaka. Jak on mi się podobał! Właśnie dlatego że był nieśmiały. Nie trwało długo, jak zaczęliśmy pisać do siebie listy. Trwało trochę dłużej, nim zauważyłam, że swoje namiętne wiersze przepisywał z dzieł wielkich poetów. Mimo to podobał mi się. Czy chcesz mnie wiecznie kochać? - zapytał mnie. Czy nasza miłość będzie silniejsza niż wojna i choroba, żałoba i śmierć? - Na to była tylko jedna odpowiedź. A co ja, młoda dziewczyna, wiedziałam o wojnie i chorobie! Tak, napisałam mu, tak, tego chcę i niczego innego. Miałam szesnaście lat i marzyłam o tym, żeby spędzić z nim życie. Każdego ranka dostawałam

wiersz i nigdy mi się to nie znudziło. Co ja wtedy wiedziałam o dniu powszednim, obowiązkach i zobowiązaniach? Liczył się tylko on i dom naszej miłości. Theda westchnęła. Jakże była wtedy młoda. I jaka naiwna! Marzyła o niebieskich migdałach, a jej miłość każdego dnia stawała się większa i wszechogarniająca. Tak wielka, że nic innego nie zajmowało tyle miejsca w jej myślach i czynach. Oddychała dla tej miłości, jadła, piła dla niej, spała, żeby nabierać sił. Jak nieznośnie banalne wydawało jej się wtedy życie matki, sióstr, przyjaciółek. Matka, zatroskana o jej reputację, która w oczach miłości nie była warta więcej niż popiół. Siostry wyszywające posagowe kołdry, jakby ściegi krzyżykowe były gwarancją namiętności. Przyjaciółki tłoczące się, chichoczące, gdy tylko można było dojrzeć z daleka uczniów gimnazjum klasycznego. O, jakie to wszystko było zwyczajne, jakie banalne i jakie drobnomieszczańskie! Co ona musiała znieść! On jedyny wiedział, czym jest miłość i jak musi być przeżyta! Theda nie miała żadnych wątpliwości, że pewnego dnia poślubi ją i że ich uczucie przetrwa całe życie. Rzuciła się w tę miłość, która każdego poza nią samą przerażała namiętnością i żarliwością. - Moje serce, moje wszystko, krew, oddech, życie, dzień, moja noc, woda, mój chleb - tak o nim mówiła. A pewnego dnia usłyszała od służącej, że jej ukochany się zaręczył i na drzwiach kościoła są już przybite zapowiedzi. Wybiegła wtedy pospiesznie z domu, chcąc na własne oczy przekonać się o zdradzie ukochanego, własnymi palcami dotknąć obwieszczenia. Nie ważyła się go zerwać, ale w myślach nazwała ukochanego zdrajcą. Wiosną odbył się ślub. Theda cierpiała. Jej życie było puste, miłość miała smak popiołu. I wtedy któregoś dnia o jej rękę poprosił Theodor Geisenheimer, mężczyzna o dwadzieścia lat starszy od niej, o którym Theda myślała, że w miejscu serca ma złotego guldena. Mężczyzna, który
nic

nie wiedział o poezji, namiętności i porozumieniu dusz. Zwykły kupiec, pachnący atramentem i magazynami.

- Dlaczego mam go poślubić? Jak możecie ode mnie tego wymagać? Prędeż się utopię, niż zmarnuję z nim życie bez miłości - obwieściła rodzicom. Skoro nie mogła mieć ukochanego, to nie chciała żadnego.

Baron von Eisenberg miał sześć córek. Był przyzwyczajony do zmartwień. Dobrze, w takim razie utop się, powiedział, zamknął za sobą drzwi do pokoju Thedy i poszedł do kawiarni grać w karty. Teraz Theda groziła matce, ale ta tylko wzruszyła ramionami.

- Zdejmij najpierw sukienkę. Jest nowa i nie chcę, żebyś ją zniszczyła. Twoje siostry mogłyby ją dobrze spożytkować.

Tak pocieszona, Theda ruszyła w drogę nad Men. Był marzec, wody były lodowate, a ukochany daleko. Naprawdę weszła do wody, aż po kolana. Men szumiał, wzburzone fale szarpały nią. Theda zobaczyła siebie wtopioną w ten beznadziejny krajobraz - i wróciła na brzeg. Potem, kiedy już wyleżała w łóżku porządne przeziębienie, odwiedziła dom swojego wielbiciela. Budynek stojący w pasażu miał dwa piętra i lukarnę nad parterem. Na fasadzie naliczyła dwadzieścia cztery okna. Trzy szerokie stopnie prowadziły do drzwi wejściowych, po prawej stronie znajdowała się brama wjazdowa dla dorożek i furmanek. Wewnątrz szerokie schody oddzielały skrzydło północne od południowego. Za budynkiem znajdowały się magazyny, a za nimi ogródek. W domu było czternaście pokoi, poza tym sześć spiżarni, pokój dla dzieci, na dole dwie kuchnie i pokój czeladników pod dachem. Najbardziej okazały był duży pokój środkowy na pierwszym piętrze. Ściany pokrywały niebieskie jedwabne tapety ze złotymi zdobieniami, sztukaterie na suficie przedstawiały mitologiczne alegorie i pnące się kwiaty. We wnęce stał majolikowy piec, jakiego nie miał sam baron. Przy ścianach ustawione były pokryte złotym pluszem fotele oraz

dwanaście krytych jedwabiem krzesel z drewna orzechowego. Dwanaście kolejnych krzesel, rzeźbionych w drewnie wiśniowym, stało wokół stołu, który również był dziełem rzeźbiarza. Na ścianach wisiały dwa duże kryształowe lustra w złotych ramach, a pod nimi stały złożone konsole. Theda, onieśmielona, nie zaglądała do szaf umieszczonych w pokojach i korytarzach. Otworzyła jednak szuflady i skrzynie, obejrzała zawartość koszy i schowków. W niebieskim salonie w wystawnej witrynie naliczyła czterdzieści jeden srebrnych, zdobionych naczyń. Obok zobaczyła porcelanowe figurki, srebrne medale, stempelki, klepsydry, srebrne sztuce, zegarki kieszonkowe, srebrny serwis herbaciany i jeden porcelanowy. Równie okazałe były inne pokoje. Na sekretarzyku znalazła przybory do pisania z kości słoniowej, w innym pomieszczeniu obejrzała kredens porcelanowy, który u góry miał oszklone drzwiczki, a na dole szuflady, i wedle tego, co mówił Theodor Geisenheimer, mieścił ponad trzysta sztuk miśnieńskiej porcelany. Obok była biblioteka z niemal pięciuset tomami, pośród których można było znaleźć książki naukowe, francuskie powieści, książki o obyczajach i przygodach w dalekich krajach, dzieła historyczne i naturalnie okazała Biblię w czerwonej skórze.

Theodor Geisenheimer powiedział, że od dawna żyje sam, jego rodzice odeszli przed laty. Nadszedł czas, żeby ten dom znowu wypełnił się życiem. Wkrótce do rodzinnej Biblii będzie można wpisać nowe pokolenie. Theda, słysząc te słowa, lekko się zarumieniła. Matka, która jej towarzyszyła podczas tej wizyty, uśmiechała się tylko zachęcająco, lustrując otaczający je przepych. Ale najlepsze zachował Theodor Geisenheimer na koniec. Otworzył ciężkie frankfurckie szafy z drewna gruszowego i serce Thedy zabiło mocniej. Sześćdziesiąt obrusów z cienkiego lnu, prawie trzysta serwet, osiemdziesiąt ręczników, czterdzieści fartuchów kuchennych, ponad dwieście koszul, do tego spinki

do mankietów, przeróżne chusteczki z adamaszku lub jedwabiu, serwetki do herbaty i kawy, adamaszkowe prześcieradła, poduszki, poszewki na poduszki i ciężkie narzuty z kaczego puchu. Skoro już muszę cierpieć, to przynajmniej w luksusie, pomyślała Theda i uśmiechnęła się do Theodora. Pod pełnym dezaprobaty wzrokiem przodków, którzy spoglądali z olejnych malowideł, Theodor prezentował swoją garderobę. Surduty, kamizelki z aksamitu ozdobione złotym i srebrnym haftem, pięćdziesiąt szalików, dwa tuziny peruk w specjalnie przystosowanej szafie, do tego płaszcze ze wszystkich rodzajów futer, jedwabne koszule i buty z miękkiej koziej skóry.

W stajni, przyłączonej do domu po lewej stronie, stały cztery konie zaprzęgowe i dwa wierzchowce. Powóz, obity czerwonym pluszem, z siedzeniami wyłożonymi aksamitem, został wykonany we Francji.

- Nie powinno wam niczego brakować - zapewnił ją Theodor Geisenheimer w czasie spaceru w ogrodzie, podczas gdy matka Thedy upajała się chłodną bryzą na ławce przed domem. - Chcę was traktować jak księżniczkę. Powinnyście chodzić w aksamicie i jedwabiach, każdego dnia mieć świeże kwiaty w salonie i pałaszować słodycze, bo na to zasługujecie.

- A osobne sypialnie? - zapytała Theda, przyglądając się jego pomarszczonej szyi. Theodor Geisenheimer sprawiał wrażenie znacznie starszego niż trzydzieści sześć wiosen.

- Zależy mi na potomstwie. Moja pierwsza żona zmarła w połogu.

- A zatem? Osobne sypialnie czy nie? Geisenheimer podrapał się po szyi, jakby cisnął go zbyt ciasny kołnierzyk.

- Dobrze więc, każę jednak sporządzić umowę. Powinnyście wypełniać swoje małżeńskie obowiązki dwa razy w tygodniu.

Theda krótko się nad tym zastanowiła i po chwili zgodziła się. Latem, na weselu Thedy, szeptano, że zdrajca chyba spodziewa się potomstwa. Pośród listopadowych burz płaszcz ciężarnej wzdymał się już jak balon. A zimą, kiedy szron pokrył łąki, pewnego dnia o zmierzchu Theda spotkała swoją rywalkę. Zobaczyła ją za murami miasta, przed bramą, tam gdzie wąska ścieżka prowadziła do Puszczy Bornheimerskiej i do zielarki Kate.

- Proszę, pomóżcie mi! - błagała ciężarna, która z krwawiącym łonem leżała obok drogi. - Proszę, chciałam pójść do zielarki. Nagle pojawiła się krew. Mam straszne bóle.

Theda popatrzyła na ciemne plamy na jej sukni, krótkim spojrzeniem obrzuciła twarz cierpiącej, po czym zgarnęła spódnice i odeszła. Kilka dni później zdrajca obwieścił w „Wiadomościach i Ogłoszeniach” śmierć swojej żony i nowo narodzonego dziecka.

Tego dnia Theda postanowiła być dla Theodora dobrą żoną. Będzie poważną kobietą, po której nikt nigdy nie pozna, jak bardzo jest podła i nikczemna. Uznała, że mnóstwo rzeczy, które ogólnie przypisuje się uczuciu, jest sprawą dyscypliny, koncentracji i siły postanowień. Nie potrafiła kochać. To było złe, ale jeszcze gorzej byłoby, gdyby ktoś to zauważył. Tak więc postanowiła skoncentrować się na małżonku, poznać go lepiej. W końcu udało jej się stworzyć tak bliską więź z Theodorem, że przy odrobinie dobrej woli można by ją uznać za miłość. Zrobiła tak, jak zaplanowała. Od tej chwili zabroniła sobie każdej myśli i każdego wspomnienia o ukochanym. Kiedy spotykała go na ulicy, kierowała spojrzenie na jego ubranie i unikała jego wzroku. Wkrótce zauważyła, że jego buty domagają się podzelowania. Ledwo weszła do domu, doprowadziła buty swojego męża do porządku. Raz zobaczyła go przy garkuchni, jedzącego tłustego pączka. Następ-

nego dnia poleciała Hedi, żeby usmażyła pączki. Theodor Geisenheimer ucieszył się z podzielowanych butów, zajadał ze smakiem pączki i chwalił Thedę. - Jesteś panią domu, o jakiej zawsze marzyłem - mówił, a Theda rumieniła się lekko. Modliła się do Boga, żeby Theodor nigdy nie poznał jej skrytych myśli i uczuć. Tylko nocami, kiedy wszystkie prace zostały wykonane i kiedy nie musiała się już opiekować mężem, Theda sobie nie radziła. Słyszała, jak służące rozmawiały o namiętności. Była mowa o ukąszeniach, o krzykach niepoohamowanej ochoty, o oddawaniu się. Ponieważ nie wiedziała, jak wygląda oddawanie się, próbowała szczęścia, krzycząc i kąsając. Ale Theodor chyba nie przepadał za takimi formami namiętności. W każdym razie zakrywał jej w łóżku usta, tak że krzyki i ugryzienia musiała zachować dla siebie. Po pół roku znalazła również i tutaj swój rytm. Przez pięć minut po zgaszeniu światła, w czasie których mąż zajmował się jej ciałem, Theda myślała o zadaniach na następny dzień i snuła plany. Wkrótce zaszła w ciążę. Trzydzieści miesięcy po ślubie urodziła Jaga, trzy lata później Stefana, a po kolejnych dwóch latach Friederike.

Mąż był z niej zadowolony. Ona również nie miała powodu, by się na niego skarżyć. I tak przeminęła jej młodość, połowa życia, bez wzruszeń.

Przed trzema laty wszystko się zmieniło. Zmienił się Theodor, o dwadzieścia lat starszy od niej. Najpierw zapominał, gdzie położył gazety, szukał swoich okularów, fajki. Stał się podejrzliwy, obwinił Thedę o chowanie rzeczy. Potem zapominał zapłacić rachunki, ściągnąć długi, zamówić towar. Theda próbowała z nim o tym porozmawiać. - Czy wiesz, jak się prowadzi interes? - ofukiwał ją, po czym pędził do biura i urządził tam taki bałagan, że prokurent trzy dni musiał wszystko porządkować. Niepostrzeżenie Theodor popuścił cugli. I tak samo niepostrzeżenie The-

da przejęła jego zadania. Kalis, prokurent, przychodził do niej, żeby omówić należne weksle i aktualne ceny zboża. Nikt nie wiedział, gdzie Theodor spędzał dzień. Raz mówiono, że był w kawiarni w Bornheim, ktoś inny zauważył go w potajemnym kramie gry w kości, a trzeci wiedział o ukrytej kochance. Wieczorem, jak zawsze, wracał do domu. Czasami brakowało mu kapelusza, czasami binokli, czasami zgubił rękawiczki albo nawet portfel. Potem nadszedł dzień, kiedy jakiś chłopak przyprowadził go do domu.

- On jest wasz, prawda?

Theda spojrzała na mężczyznę, którego płaszcz lepił się od brudu.

Przytaknęła. Od tego dnia było dla niej jasne, że jej mąż jest chory. Nie знаła nazwy tej choroby, jednak to nie było teraz ważne. Od teraz należało dochować tajemnicy. Theodor był pilnowany. Zamknęła na klucz jego płaszcz i peleryny, jego buty i paski. Cały dzień pozwalała mu chodzić tylko w szlafroku. Mimo to dwa razy udała mu się ucieczka. Raz wrócił z zakrwawionym nosem, innym razem przyprowadził go znany miejski pijaczyna, żądając za niego dziesięciu guldenów wykupnego. Theda odliczyła dwadzieścia i pijaczyna zamknął usta.

Po tym zdarzeniu służące zostały wtajemniczone i troszczyły się o to, żeby pan nie opuszczał domu. Theodor miewał jednak momenty świadomości i wtedy wrzeszczał na Thedę. Ku jej wielkiemu przerażeniu dostrzegał nagle rzeczy, na które wcześniej był ślepy.

- Czy ty mnie w ogóle kochałaś? - pytał. I pomimo zapewnień Thedy nie wierzył jej. - Czy jęczałaś z rozkoszy, kiedy na tobie leżałem?

- Tak, oczywiście, że tak, mój kochany. Kiedyś wziął kawałek drewna i rzucił w nią.

- Idź precz, nierządniczo. Wystarczy, że rozszarpałaś moje serce swoimi rękami. Ale że przez całe życie udawałaś pożądanie, tego ci nie wybaczę.

Theda zastanowiła się. Skąd on to wiedział? Czyż nie jęczała zawsze, aż się belki uginały? Czyż nie urodziła mu dzieci? Czego jeszcze chciał?

- Zawsze sprawiało mi przyjemność kochanie się z tobą - wyjaśniła i chciała mu wygładzić łóżko. Odepchnął jej ręce i zagroził pięścią.

- Twojego serca nigdy nie miałem, twojego ciała też. Bóg jeden wie, czy ty w ogóle masz duszę. Oszukiwałaś mnie przez te wszystkie lata.

Oszukiwałaś w tym, co najważniejsze, udawałaś miłość i pożądanie. A teraz odejdz ode mnie. Przynajmniej te ostatnie dni mojego życia chcę spędzić bez ciebie! - Theodor odwrócił się do ściany i od tej chwili nie zamienił ze swoją żoną już ani słowa.

Jak tak dalej będzie, myślała Theda najpierw, to trudno. Z tym milczeniem można żyć. Kiedy jednak służący zaczęli szeptać za jej plecami, a cisza w domu stawała się trudna do zniesienia, zateęskniła za swoim Theo. Raz nawet poszła do niego, żeby prosić o wybaczenie, on jednak oddalił się już za bardzo od wszystkiego, co ziemskie. A przed sześcioma tygodniami zmarł. Cichy, samotny i niepokodzony.

Teraz siedziała tu i nie miała nikogo, kto mógłby przywołać dzieci do rozsądku.

Jago pilnie potrzebował ojca. Theo z pewnością wypędziłby z niego tę uczuciowość. Gdyby Jago koniecznie chciał coś napisać, przypuszczalnie powiedziałby mu:

- W biurze leżą jeszcze liczne listy handlowe. Uśmierciłby też rewolucyjne pomysły Stefana.

- Chcesz zostać rewolucjonistą? - prawdopodobnie by zapytał. - Dlaczego właśnie to, z bogactwa całego świata?

- Ponieważ nie chcę stać się taki jak ty - brzmiałaby pewnie odpowiedź Stefana.

- Dobrze - powiedziałby Theo. - Nie szkodzi. W takim razie zostaniesz lekarzem albo adwokatem.

Ale Theodora już nie było, a ona zastanawiała się, czy ta pierwsza połowa jej życia minęła na próżno.

Teraz miała wszystko, czego potrzebowała. Nie brakowało jej pieniędzy ani innych dóbr. Ale jej dusza, jej serce! W środku czuła się taka pusta. I nie było niczego, czym mogłaby wypełnić tę pustkę.

3

W tej sukni wyglądam jak dynia, pomyślała Friederike. Zniechęcona, przeszła kilka kroków przez przedpokój.

- Uwaga! - krzyknęła Hedi. - Uważaj na krynolinę. O mały włos, a zrzuciłabyś wazon na podłogę.

Szybko poprawiła na stoliku porcelanowy wazonik.

- No, to jeszcze raz. Myśl o małych krokach i żeby tylko trochę machać spódnicą.

Friederike spojrzała na siebie. „Marzenie moreli” - tak nazwał krawiec to monstrum. Przy tym nie wiedział, że kolorem w tym sezonie jest błękit. Wszystkie debutantki z Instytutu Madame Dupont będą miały na sobie niebieskie suknie. Zасыpywała matkę prośbami, ta jednak pozostała niewzruszona. I tak, myślała płaczliwie Friederike, stanę się pośmiewiskiem wszystkich.

- Ludzie tak czy owak będą szeptać - powiedziała Theda Geisenheimer. - Dziwne jest również to, że tak krótko po śmierci twojego ojca idziemy na bal. Ale jego testament jest powszechnie znany. Wciąż zadaję sobie pytanie, jak on skłonił adwokata, żeby tak go sporządzić? Wyraźnie podkreślił, że koniecznie musisz pójść na bal sylwestrowy z braćmi i ze mną, jeśli do chwili jego śmierci nie będziesz zaręczona. Jego dzieci nie powinny też nosić żałoby. Co on sobie przy tym

myślał? Chciał, żebyś miała jasną suknię. I taką będziesz mieć, ale nie niebieską.

Niebieski, zrozum wreszcie, niebieski po prostu nie pasuje. Podkreślałby jeszcze twoje oczy. A pod nimi, o czym dobrze wiesz, są zaraz *ephelides*. Będziesz mieć na sobie coś w pastelowym, czerwonożółtym tonie, żeby nie można ich było zobaczyć - ustaliła Theda i szybko chwyciła za wzór materiału.

Kolor prosiaka, pomyślała Friederike. Naprawdę noszę suknię w tym kolorze. Boże, chroń mnie, kiedy chłopcy zobaczą mnie w czymś takim.

- Pierś do przodu, plecy prosto, ramiona ściągnięte -dyrygowała Hedi.

Friederike pozwoliła jednak ramionom luźno opaść.

- Jak ja mam się w tym poruszać, skoro czuję się jak wypchana gęś w klatce kanarka? Ten gorset tamuje mi dopływ powietrza, buty uciskają na pięcie, a ta krynolina trzyma mnie jak w więzieniu.

- Kto chce być piękny, musi cierpieć. - Hedi skrzyżowała ręce na swoich dużych piersiach. - Jak to działa, też nie wiem. Ale dlatego ty jesteś młodą panią, a ja kucharką. Musisz to wreszcie poćwiczyć.

Friederike zagarnęła suknię, zrobiła parę kroków, zakołysała krynoliną i stanęła przy szafie, walcząc ze łzami.

- Nigdy się tego nie nauczę. Nie jestem również kobietą.

- Ale bal, skarbie! Nie cieszysz się ani trochę? - zapytała Hedi i odsunęła krynolinę od szafy.

- Nie, w ogóle nie. Ani trochę. Wszystkie będą miały wspaniałe suknie w niebieskim kolorze. Będą proszone do każdego tańca i jak łabędzie będą sunąć po parkiecie. Będą się uśmiechać i słuchać komplementów, a ich matki będą się puszyć z dumy. Ja jak jakiś prosiak będę siedzieć na ławce, najwyżej raz potknę się na parkiecie, oparta o ramię brata, a mama zrobi się czerwona ze złości. Nie chcę tam iść. Ale tata tak postanowił.

Hedi westchnęła.

- Twoja matka wcale tak nie myśli. Chce dla ciebie tylko tego, co najlepsze.

- A skąd ona wie, co jest dla mnie najlepsze, kiedy ja sama tego nie wiem? Na to kucharka nie знаła odpowiedzi.

- Chodź - powiedziała. - Zrobimy jeszcze okład z rumianku na twarz. Będziesz wyglądać jutro jak lilia.

Friederike pociągnęła nosem i podążyła za Hedi do kuchni. Przedtem jednak wyskoczyła z sukni, postawiła buty w sieni, po czym usiadła w samej koszuli na kuchennej ławie. Kiwając głową, Hedi okryła ją kocem. Stefan zerwał jakobińską czapkę z głowy i rzucił zamasyście na stół, tuż obok kałuży piwa.

- *Allons enfants de la Patrie...* - zaśpiewał.

- *Le jour de gloire est arrivé!* - odpowiedzieli dwaj rzemieślnicy, którzy właśnie usiedli przy stole. Obok nich siedział chłopak z wąską klatką piersiową, w przykurzonym płaszczu podróżnym.

- No, jak wygląda sytuacja? - zapytał Stefan, dając znak szynkarce, żeby przyniosła dzban piwa.

- Udało się! - odpowiedział cieśla. - Dzisiaj rano przybył wreszcie Etienne. Czy mogę przedstawić? - Wskazał na swojego sąsiada w podróżnym płaszczu.

Nieznajomy podniósł wzrok. Długie rzęsy okalały jego ciemne oczy, twarz miał bladą. Nastroszone brązowe włosy były niedbale związane w kitkę.

Stefan powitał gościa.

- Opowiadaj, opowiadaj o rewolucji! Etienne uśmiechnął się.

- Nosimy to samo imię - rzekł. Mówił po niemiecku z lekkim francuskim akcentem. - Etienne to po niemiecku Stefan.

Dwaj młodzi mężczyźni spojrzeli na siebie i tym spojrzeniem zawarli przyjaźń.

- Za rewolucję - powiedział Stefan.

- *Tout pour la révolution* - odpowiedział Etienne.

- Opowiedz! - powtórzył Stefan. - Opowiedz nam wszystko. Jak było w Paryżu?

Etienne rękawem wytarł z ust pianę z piwa:

- Jestem studentem na Sorbonie. Moja matka jest szwaczką. Odejmuje sobie od ust, żebym mógł zostać prawnikiem. Ale wy nie chcecie słuchać mojej historii tylko tej wielkiej. Przed trzema laty w całej Francji był nieurodzaj. Ceny chleba wzrosły niewyobrażalnie. Matka powiedziała, że nigdy jeszcze nie wydała tyle na jeden bochenek chleba co tego lata. Kiedy biedacy głodowali w miastach i na wsi i musieli wydawać ponad jedną trzecią swoich dochodów na sam chleb, kler, arystokracja i burżuje napychali sobie dalej kieszenie. Najpierw w dzielnicy biedaków miały miejsce niepokoje. Szturmowano piekarnie, a ich właściciele zmuszani byli do wydawania chleba. Wkrótce biedacy zjednoczyli się. Musiało się w końcu coś zmienić. Jeśli to konieczne, to przy użyciu siły.

Stefan przysłuchiwał się z zapartym tchem. Po chwili Etienne zwrócił się do niego:

- Wyglądasz mi na syna patrycjusza. Czy wiesz, ile dzisiaj kosztuje chleb? Wiesz, jaką część swojego wynagrodzenia musi za to zapłacić szwaczka?

Stefan przełknął ślinę, a następnie potrząsnął głową.

- Nie, tego nie wiem. Ale jutro będę wiedział.

- Co było dalej? - zapytał cieśla. - Wiem, że ten trzeci stan, czyli wszyscy poza arystokracją i klerem, chciał współdecydować.

- Tak, masz rację. Na początku maja król zwołał Stany Generalne, żeby porozmawiać o koniecznych reformach. Jednak nie osiągnięto porozumienia. Tak ogłosili przedstawiciele

trzeciego stanu podczas Zgromadzenia Narodowego, z uzasadnieniem, że reprezentują dziewięćdziesiąt procent społeczeństwa.

- Dobra robota! - zawołał cieśla i uderzył pięścią w stół.

- Trzy dni później rząd odmówił przedstawicielom trzeciego stanu wstępu na salę posiedzeń. Ci jednak nie zniechęcili się, poszukali innego miejsca i podjęli decyzję o ustanowieniu konstytucji. Po kilku dniach przedstawiciele trzeciego stanu znowu dopuszczono na obrady. To było pierwsze zwycięstwo rewolucji.

- A ludzie? Co ludzie mieli z tego? - Stefanowi z emocji zarumieniły się policzki.

- Niektóre polityczne debaty przedostały się na zewnątrz. Niepokoje wzmożyły się. Biedni ludzie wszędzie plądrowali posiadłości bogatych. Wszędzie jeszcze był przesadnie drogi chleb, wciąż jeszcze ludzie głodowali. Monarcha i jego słudzy przestali być panami narodu. I tak czternastego lipca 1789 roku lud przypuścił szturm na Bastylię. Siedmiu więźniów uwolniono, całą broń zabrano, król wycofał się i trzy dni później pokazał się z kokardą w klapie.

Cieśla uśmiechnął się szyderczo, postawił kołnierz kurtki i pokazał swoją kokardę. Stefan i drugi towarzysz, który dotąd ani nie wymienił swojego imienia, ani nic nie powiedział, poszli jego śladem.

- Na wsi chłopci atakowali posiadłości lenników. Wiele zamków i dworów stanęło w płomieniach, także kościoły i klasztory. Chłopi mieli nadzieję, że podkładając ogień, zniszczą spisy swoich powinności. Wielu arystokratów uciekło za granicę. Po dłuższym zastanawianiu się dwudziestego szóstego sierpnia została nareszcie uchwalona Deklaracja praw człowieka i obywatela. Trzy punkty były szczególnie ważne: *liberté*, czyli wolność dla każdego, *égalité*, czyli równość obywateli wobec prawa, i *fraternité* - braterstwo wszystkich ludzi.

Etienne wziął z dzbana głęboki łyk piwa.

- Zwyciężyliśmy - powiedział skromnie. - We Francji prędzej czy później nastaną sprawiedliwość, wolność i braterstwo. Nie będzie już więcej panów i sług.

Stefan przytaknął i na chwilę się zamyślił. Potem w okamgnieniu nabrał powietrza i odwagi.

- Co jest, patrycjuszu? - zapytał cieśla. - Czy będziesz z nami, kiedy przystąpimy do rewolucji? Czy też boisz się o swoje przywileje?

Stefan potrząsnął głową.

- Bzdura. Zastanawiam się tylko, jak ma wyglądać podział dóbr. Żaden bogaty nie będzie się dobrowolnie dzielił z biednymi.

- Och, to akurat wiemy. Zmusimy ich. Ludzie muszą się najpierw przyzwyczać do nowej wolności - wyjaśnił Etienne. - Dlaczego by nie przenieść francuskiego modelu na Frankfurt?

- Nie wiem - powiedział Stefan. - Frankfurczycy nie są niezadowoleni. Wprawdzie zawsze znajdzie się kilku, którym się nie dogodzi, jednak wsparcia może brakować.

- Zostaw to własnemu biegowi, patrycjuszu. - To był mężczyzna, który do tej pory nie powiedział ani słowa. Przyglądał się Stefanowi, jego spojrzenie było badawcze, niemal wrogie. - Czy boisz się przyłączyć do rewolucji?

Stefan poczuł, jak spojrzenia innych przywarły do niego, jakby w oczekiwaniu. Jak gdyby coś przeskrobał i musiał się do tego przyznać.

- Dlaczego nie? - powiedział. - Co powinienem zrobić? Obaj rzemieślnicy wymienili spojrzenia. Potem mówił cieśla:

- Patrycjusze wydają duże przyjęcie sylwestrowe w domu bractwa Alten Limpurg. Już od wielu dni podjeżdżają tam handlarze wina. Słyszysz się, że stoły mają się uginać pod ciężarem potraw. Czy ty też jesteś tam zaproszony?

Stefan przytaknął.

- Nie jestem takim patrycjuszem, jak myślicie. Nie pójdę tam. Nie ma tam nic, co by mnie interesowało.

- Nie pójdziesz tam również wtedy, kiedy mógłbyś uczynić coś dla rewolucji?

- A co akurat tam miałbym zrobić?

Znowu cieśla z małomównym wymienili spojrzenia. Etienne obserwował ich z zainteresowaniem.

- Nie znasz cen chleba, patrycjuszu. I nie masz z pewnością pojęcia, ilu ludzi we Frankfurcie głoduje. Tam, jak sam wiesz, jest wszystkiego w nadmiarze. Ja na przykład jeszcze nigdy nie piłem wina z Bordeaux.

Stefan zaśmiał się i potrząsnął głową.

- Chcesz, żebym przemycił ci stamtąd butelkę wina z Bordeaux?

Małomówny skrzywił się.

- Nie słyszałeś, patrycjuszu, że także tutaj ludzie głodują?

Spojrzał badawczo na Stefana, a następnie zwrócił się do Francuza i cieśli:

- Widzieliście tego młodzieniaszka? To jeszcze dziecko. Potrząsnął głową i powiedział do Stefana:

- Idź do domu, do matki. Wróć, jak wyklujesz się ze skorupki. Co wiesz o świecie, o ludziach i ich zmartwieniach?

- Więcej, niż myślisz. - Stefan obruszył się. - Co mam zrobić?

Udowodnię, że nie jestem żółtodziobem ani rozpuszczonym synem patrycjusza.

Był tak oburzony, że nie zauważył szyderczego uśmiechu małomównego.

- Dobrze więc - powiedział czeladnik. - W takim razie w noc sylwestrową przy dziesiątym uderzeniu dzwonu olwórz okna i zrzuć tyle jedzenia, ile zdołasz.

Ale po co?

- Zwołamy biednych pod Alten Limpurg. Wtedy będziecie mogli zobaczyć, wy, kupcy i młodzi szlachcice, jak się głoduje we Frankfurcie. Theda z początku nie zamierzała tam pójść, a jednak musiała to zrobić. Sama pod murami miasta, spieszyła do ulicy Kleinen Hirschgraben, która mieściła się za kościołem Świętej Katarzyny. Kiedy podeszła do drugiego z kolei domu, uderzyła mosiężną kołatką. Drzwi otworzyły się, jakby ktoś za nimi czekał.

- Jesteście - powiedziała służąca. - Pan już na was czeka. Jest w bibliotece.

Wzięła od Thedy płaszcz i zaprowadziła ją na pierwsze piętro.

Kiedy Theda weszła, Eckehard odłożył na bok cienką książkę. Fryderyk Schiller, przeczytała Theda, *Zbójcy*.

- Czy to dobre? - zapytała.

- Bardzo dobre. Cały świat o tym mówi. Nawet Goethe zmuszony był pochwalić to dzieło.

- Hmm... - Theda usiadła. - Jago na pewno chciałby je poznać.

Eckehard von Hohenstein uniósł głowę.

- To dzieło ma już dziewięć lat, jak się teraz okazuje przy właściwym rozpowszechnianiu. Ale z pewnością nie przyszedł do mnie, żeby rozmawiać o *Zbójcach*.

Theda uśmiechnęła się. W blasku kandelabrow jej twarz wydawała się delikatna.

- Nie, mój drogi. Nie po to.

- Jak mogę ci pomóc? Czy coś się dzieje z biurem? Theda potrząsnęła głową.

- Tam wszystko jest w najlepszym porządku. Kalis to sumienny prokurent. Od czasu choroby Theodora prowadzi interes w innym stylu. Rozprowadzamy teraz specjały, takie

jak przyprawy, owoce cytrusowe, migdały, figi i inne towary kolonialne: kawę, herbatę, czekoladę, tytoń, cukier, artykuły oleiste, oleje drzewne i musztardę.

Eckehard kiwnął głową i pociągnął z fajki. Trochę dymu dostało jej się do nosa. Odpędziła go ręką.

- Że ty, w twoim wieku, jesteś takim łobuzem! Nigdy tego nie zrozumie.

Eckehard uśmiechnął się.

- Jest kilka rzeczy we mnie, których nie zrozumiesz, Thedo.

Zaczerwieniła się aż po samą szyję i zmieniła temat.

- Kto ma dalej prowadzić interes, Eckehardzie? Moje wszystkie dzieci nie nadają się do tego. Co mam zrobić? Sprzedać w końcu?

- Dom kupiecki Geisenheimerów ma ponaddwustupięćdziesięcioletnią tradycję. Dobrze stoi, reputację ma pierwszej klasy.

- Byłoby hańbą go sprzedać, prawda?

Eckehard przytaknął, na nowo nabił fajkę i nalał Thedzie czerwonego wina.

- Jesteś dobrym kupcem, Thedo. W ostatnich latach to udowodniłaś.

Dlaczego kobieta nie miałaby się nadawać do prowadzenia domu kupieckiego tak samo jak mężczyzna?

- Masz na myśli Friederike? O nie, Eckehardzie, ona jest... teraz... jej jeszcze tyle brakuje.

- Myślisz tak, bo z tymi błyszczącymi niebiesko oczami dziecka, różaną cerą i piegami wygląda jak kwitnąca niewinność.

- Owszem. Ale wiesz, Eckehardzie, ona jest taka... ufna. Po prostu naiwna. Przez rok mogłaby wszystko stracić.

- Inaczej myślę o twojej córce, Thedo. Ale znasz ją lepiej niż ja. Co zatem myślisz o małżeństwie z córką kupca?

- Masz na myśli Jaga?

- Dlaczego nie? Jest przystojnym nicponiem. Jest bogaty. I zdolny. Kandydatki nie powinny doszukać się żadnych braków. Znajdź mu żonę, która poprowadzi interes zamiast niego. Jakaś z kupieckimi zdolnościami.

Theda podniosła kieliszek i trzymając go pod światło, przyglądała mu się przez chwilę. Ciemnoczerwone wino zaczęło migotać. Delektując się jego aromatem, upiła łyk. Potem powiedziała z zadumą:

- We Frankfurcie nie roi się od takich kobiet.

- Jago mógłby poślubić trochę starszą od siebie. Mógłby przy niej dojrzeć.

- O kim myślisz, Eckehardzie? Uśmiechnął się i pociągnął fajkę.

- Mam na widoku drugą córkę Allbergera. Jest mądra i odważna.

Theda zdecydowanie potrząsnęła głową.

- Co też ty, Eckehardzie? Ona ma przynajmniej dwadzieścia pięć lat i nie jest ani piękna, ani zamożna. I została porzucona, jeśli się nie mylę.

- Tak, była zaręczona i nie wyszła potem za mąż. Nie jest jedyną, której się to przytrafiło.

Nie zauważył, że Theda zaczerwieniła się ze wstydu, i mówił dalej:

- Kiedy Jago ją poślubi, ona społecznie awansuje. I wszystko da za to, żeby tak zostało. Będzie zobowiązana do wdzięczności. Będzie się bardziej trudić niż każda inna, żeby sprostać wymaganiom.

Theda przytaknęła. Bardzo powoli, ale przytaknęła.

- Pozwól mi to przemyśleć - powiedziała.

- Masz czas. Nie musisz handlować, ale jesteś w kwiecie wieku i mogłabyś, gdybyś tylko chciała, prowadzić interes jeszcze dziesiątki lat.

- Nie, Eckehardzie, nie mogę. I nie chcę.

Przerwała i zamilkła. Palcem przeciągnęła po wzorze na małym stoliku z drewna wiśniowego.

- Czy nosisz się z zamiarem, żeby ponownie wyjść za mąż? - zapytał Eckehard.

Theda zerwała się.

- Nie. Z całą pewnością nie. Nie jestem stworzona do małżeństwa i jestem szczęśliwa bez mężczyzny.

- Czy nie tęsknisz czasem za miłością? Za czułością? Theda potrząsnęła głową.

- Miłość ma swoją cenę. I za każdą czułość też trzeba zapłacić. A ja jestem skąpa, przecież wiesz.

Dopiero teraz Theda dostrzegła, że twarz Eckeharda zachmurzyła się.

- Czy coś się stało?

- Nie - odpowiedział mężczyzna. - Jest tak jak zawsze.

Bal sylwestrowy odbywał się w domu bractwa patrycjusza Alten Limpurg, obok ratusza. Okna wielkiej sali zasłonięto grubymi kotarami, aby zatrzymać spojrzenia ciekawskiego plebsu. Na scenie pojawiła się kapela, krzesła zostały sprzątnięte, a parkiet wypolerowany. Pod kolumnami rozstawiono wygodne fotele i otomany, liczne żyrandole chełpiły się miodowym światłem świec, które podkreślało urodę dam. Sala powoli zapełniała się, prowadzono przyciszone rozmowy. Theda zajęła miejsce na otomanie i podsłuchiwała, o czym szepczą damy. Obserwowano i krytycznie oceniano debiutantki, do których zaliczała się również Friederike. Jednak, tak jak Theda przewidziała, głównym tematem rozmów był testament Theodora Geisenheimera, który nakazywał rodzinie odstąpienie od stosownej żałoby, pójscie na bal i dobrą zabawę. Dostało się także innym uczestnikom balu. Pani Stahl była zdania, że młody Bolongaro powinien koniecznie odrobinę rozjaśnić włosy. Hesco-homburska radczyni dworu Isadora von Braunwinkel kręciła nosem na panią von Hassel, wielką ochmistrzynię dworu, której suknia według obowiązującej mody była zbyt wydekoltowana. Podporucznikowi Muehlenowi brakowało szabli przy mun-

durze, a apaszka radnego Oldenhausera zdawała się w złym guście.

- Frankfurtczycy nie znają po prostu *dernier cri*, zdenerwowała się Eva von Noesch, przyjaciółka Thedy.

- Teraz jest moda na czytanie „Journal general de politique et littérature”. Kobiety wyższego stanu powinny prowadzić konwersacje o Schillerze i Kancie z Królewca. Ale kiedy zauważą, że od długiej rozmowy pojawiają im się zmarszczki na ustach, a od myślenia zmarszczki na czole, wrócą do lektury „Żurnala Luksusu i Mody”, *ma chère*.

Von Noesch zachichotała i przysłoniła twarz wachlarzem. Potem nachyliła się w stronę Thedy.

- Spójrz tam, jest von Blauwitz. Mówią, że właśnie kupił kolekcję bezcennej porcelany. Czy tym chce zrobić wrażenie na damach? Mówią, że jest *grand chevalier*.

- Pfff! Dla mnie jest *canaille* - wmieszała się do rozmowy Madame Dupont, dyrektorka Instytutu Francuskiego. Jednak Theda nie wsłuchiwała się już w jej opinię. - Czy to jest ta mała Allberger? - zapytywała na lewo i prawo.

- Tak, ta porzucona. Biedne dziecko. - Pani von Noesch zamachała wachlarzem i westchnęła.

Theda spojrzała na młodą kobietę. Jej chód był prosty i zdradzał zdecydowanie. Może jej suknia nie odpowiadała *dernier cri*, ponieważ była uszyta według greckiego wzoru, jednak wyjątkowo dobrze jej pasowała. Ciemne włosy połyskiwały, cera była różowa, pomimo iż pokazały się już pierwsze drobne zmarszczki wokół oczu. Kiedy się śmiała, czyniła to za wachlarzem i Theda aprobująco temu przytaknęła. Teraz do Barbary Allberger podszedł młody mężczyzna i nachylił się ku niej poufale. Theda poczuła lekkie ukłucie zazdrości. Czy córka Allbergera nie była za stara dla jej syna? A jej suknia nie za zwyczajna? Możliwe, że nie rozmawia po francusku. Czy nie mówiło się o jej rodzicach, że przy ostatnim oblężeniu nie byli skłonni do ustępstw? Czy

stary Allberger nie powiedział, że „francuska hołota” nie wejdzie do ich domu? I że matka powinna wszystkie dzieci sama karmić piersią?!

- Spójrz - Theda zaczęła przyjaciółkę - jak ta All-bergerówna wyciąga szyję do młodzieńca, z którym rozmawia.

- A jak się śmieje! Jak mały szczur, nie sądzisz? Ale powiedz, dlaczego tak się interesujesz tym biednym dziewczęciem? Czy Jago patrzy na nią chciwym okiem?

Theda milczała, ale przyjaciółka zdawała się nie oczekiwać odpowiedzi.

- Na miejscu Jaga komplementy mówiłabym raczej Sophie Rohrbach.

Jest dobrą partią, chociaż nie pochodzi z arystokracji.

- Czy nie jest za bardzo kapryśna? - zapytała Theda i spojrzała na Sophie, która wystąpiła w lawendowej sukni i z wysadzaną brylantami opaską na włosach.

- Kapryśna? Co to znaczy? Po prostu umie pokazać się we właściwym świetle. Wymagania może mieć, jednak być może dałoby się ją trochę nagiąć.

- Czy jest mądra?

- Mądra? Co to za pytanie, Thedo. Otrzymała dobre wykształcenie, tak myślę. Potrafi grać na klawikordzie, prowadzi duży dom i prawdopodobnie jako tako mówi po francusku.

- Ale jest rozrzutna, nieprawdaż?

- Mój Boże! Thedo! Jest młoda, ma bogatego ojca. Czy powinna biegać w lnianym kitlu? Tworzyliby z Jagiem fantastyczną parę. On - poeta, i ona - jako jego muza.

Theda parsknęła.

- Mój syn nie potrzebuje muzy tylko kobiety, która rozumie się trochę na interesach.

Jej wzrok znowu skierował się na córkę Allbergera. Akurat chwyciła kieliszek wina obiema rękami. Theda skrzy-

wiła się. Ta panna z pewnością nie jest wytworna! Z drugiej jednak strony pewnie nie miałyby wymagań co do strojów, biżuterii, powozów, porcelany i tym podobnych. Ale powinna mieć trochę wdzięku, znać podstawy dobrych manier i umieć swobodnie poruszać się w towarzystwie.

Trudno byłoby też oczekiwać posagu. Theda musiałaby na koniec nakarmić połowę bandy Allbergerów, a Jago wyzbyłby się resztek dobrego zachowania. *À propos* Jaga! Gdzie on się właściwie podziewa?

- Wybaczcie - przeprosiła przyjaciółki i spojrzała jeszcze raz na Friederike, siedzącą ciągle na krześle i wpatrującą się w swoje kolana. Sprawiała wrażenie osamotnionej. Theda westchnęła. Potem się nią zajęła, postanowiła, opuszczając dużą salę i udając się do salonu, który służył panom za palarnię. Jago faktycznie tam był, stał na środku.

Mężczyźni z towarzystwa rozsiedli się dookoła w wygodnych fotelach, z fajkami i kieliszkami czerwonego wina lub filiżankami kawy. Theda zobaczyła, jak młody Bolongaro rzucił jej synowi szydercze spojrzenie, następnie zaczął szurać nogami i w ogóle robił wszystko, żeby odwlec występ. Theda przyglądała się synowi z boku. Widziała, jak pogniół kilka kartek w dłoni, zauważyła nerwowe plamy na jego policzkach i szyi. Czubkiem lewego buta ciągle dotykał parkietu. Najchętniej położyłaby mu rękę na ramieniu, żeby go uspokoić, jednak nie uczyniła tego. Nikt go nie zmuszał do pchania się na scenę. Gdyby ją zapytał, odradziłaby mu. Wprawdzie nie przeczytała jeszcze żadnego z jego dzieł, jednak bez tego wiedziała, że jej najstarszy nie jest do tego stworzony. „Zostaw to układanie wierszy. Nie masz do tego talentu”, napisała mu przed powrotem z Włoch.

- Skąd wiesz? - zapytał, a Theda odpowiedziała:

- Ponieważ jestem twoją matką.

I w tym przekonaniu trwała do dziś. Skąd Jago miałby mieć artystyczną żyłkę? Nie po Eisenbergerach ani po Gei-senheimerach. Można było mówić o tych rodzinach, co się chciało, ale to zawsze byli porządni ludzie.

Właśnie chciała chwycić syna za rękaw i pociągnąć za sobą, kiedy zaczął czytać.

Theda wstrzymała oddech.

- *Oda do Nowego Roku* - rozpoczął Jago. Schultheiss, siedzący z przodu, skrzyżował ręce na piersi.

- No, dalej, chłopcze!

Jago spojrział za siebie zmieszany.

- No, czytaj wreszcie, bo wszyscy chcielibyśmy za trzy godziny obejrzieć fajerwerki.

Theda zobaczyła, jak Jago się zaczerwienił, i westchnęła. Dlaczego nie wyciągnęła go stąd w porę?

- *Oda do Nowego Roku* - powtórzył Jago i kontynuował:

Pojednany dziś z muzami, z sercem pełnym wrózek pień, pędzę przez czas i przestrzeń, jak przez piękny bogów sen.

W tym miejscu stary Schultheiss wybuchnął śmiechem.

- Chłopcze, wypij lepiej mocne piwo! To ci wybije bzdury z głowy! - zawołał. Rozglądał się wokół, jakby domagając się oklasków. Młodzi patrycjusze śmiali się razem z nim. Tylko jeden młodzieniec, którego Theda nie знаła, nie przyłączył się do ogólnej zabawy.

- Mnie się podobało - powiedział, ale jego słowa utonęły we wrzawie.

Jago przestępował z nogi na nogę, niezdecydowany, czy ma czytać dalej, czy poddać się.

Theda zwijała się ze wstydu i bólu. Gdyby on nie był tak nieznośnie cikliwy!

Nie mogła dłużej tego znieść i oddaliła się pospiesznie. Chciała jeszcze raz spojrzeć na Allbergerównę, wziąć ją pod lupę.

Friederike siedziała na krześle z wysuniętą dolną wargą i psioczyła po cichu na matkę. To właśnie przeczuwałam, myślała. Faktycznie jestem jedyna, która wygląda jak prosiak. Podobam się tylko mamie! Będę wdzięczna, jak służące położą mnie w końcu na tacy z cytryną w buzi. Ale mama wszystko wie lepiej! Teraz siedzę tu i nie ważę się nawet podnieść wzroku, żeby uniknąć współczucia innych. Założę się, że karnety pozostałych debiutantek są już wypełnione, a w moim jest tylko Jago i Stefan. No i Eckehard von Hohenstein, ale on się nie liczy, bo ma już pięćdziesiąt lat.

- Friederike! Tutaj jesteś!

Spojrzała w górę. Za jej krzesłem stał Christian, chłopak z sąsiedztwa.

- Ty... ty wyglądasz jak... jak...

- ...dynia, wiem. - Friederike dokończyła zdanie.

- Ależ nie! Zupełnie nie. Chciałem powiedzieć, że wyglądasz jak tulipan z Amsterdamu wiosną. Wszystko na tobie lśni i połyskuje.

Friederike zmarszczyła czoło. Jego oczy były jednak tak czyste i niewinne, że uwierzyła mu.

- Dziękuję - wyszeptała.

- Czy mogę cię prosić o taniec?

Friederike pomyślała o swoim pustym karnecie. Co sobie pomyśli

Christian, kiedy zobaczy, że do tej pory nikt nie chciał z nią zatańczyć?

- Zupełnie nie wiem, gdzie się podział mój karnet. - Obejrzała się, wstała nawet, żeby spojrzeć wokół krzesła.

- Masz go przecież w dłoni - powiedział Christian i odebrał go jej.

Friederike przełknęła ślinę. Wolałaby już leżeć na tacy, ugarniowana cytryną, niż widzieć śmiejącego się z niej Christiana.

- Jak dobrze, że siedziałaś za tą kolumną. Możesz mnie teraz wpisać do kadryla, menueta i oczywiście walca. Pozostałe tańce też najchętniej zatańczyłbym z tobą, ale obawiam się, że jestem zbyt natrętny.

Friederike odetchnęła z ulgą.

- Ależ nie, naprawdę. Cieszę się na walca z tobą.

Stefan stał w przejściu prowadzącym z małej jadalni do kuchni. Służący biegali tam i z powrotem, przynosili talerze, kieliszki, srebrne sztuce, serwety z adamaszku. Młoda kobieta rozstawiała na stołach ozdoby z kwiatów, inna ostatni raz przetarła srebrny świecznik, zanim wstawiła do niego białe świece.

Z kuchni dochodził hałas. Ktoś wykrzykiwał polecenia: Czy udźce jagnięce są podzielone? Glazurowane miodem? Przystrojone lawendą? Do tego dochodziło trzaskanie talerzami, stukot garnków, śmiechy, przekleństwa i trzaskanie ognia.

- Czy mogę w czymś pomóc? - zapytał jeden ze służących. Stefan potrząsnął głową.

- Dlaczego nie idziecie na zabawę? Tutaj w przejściu ktoś może was potrącić albo wylać na was gorący sos.

Stefan zgodził się z nim i opuścił przejście, nadal jednak miał na oku skrzydło kuchenne. Zegar na wieży katedry Świętego Bartłomieja wybił kwadrans przed dziesiątą. Wniesiono pierwsze potrawy. Sala za kilkanaście minut zapełni się ludźmi. Czy powinien to zrobić teraz? Teraz, po kryjomu, kiedy nie było w pobliżu żadnego służącego? Po prostu otworzyć okno i wyrzucić wszystko to, co udałoby mu się przynieść?

Nie, pomyślał. Umowa brzmiała inaczej. Właśnie w największym zgiełku miał chwycić potrawy i dzbany z winem i na oczach wszystkich otworzyć szeroko okna. Patrycjusze mieli zobaczyć, ilu biednych jest w mieście. On, Stefan, musiał poza tym udowodnić, że jest prawdziwym rewolucjonistą, a nie żadnym bogatym rewolucyjnym romantykiem, żadnym rozpuszczonym synkiem patrycjusza.

Wciągnął głęboko powietrze. Zrobiło mu się trochę niedobrze, kiedy pomyślał, co będzie później. Wśród towarzystwa podniesie się krzyk. Jego matka! Zemdleje albo jeszcze gorzej, rzuci się na niego. Jak on będzie wtedy wyglądał? A jego rodzina? Ale z drugiej strony, czy nie będzie sprawiedliwe podzielenie się z biednymi? Właśnie wniesiono kolejne srebrne tace z pieczonymi gołąbkami. Czy biedacy kiedykolwiek jedli coś takiego?

Stefan zagryzł wargi. Kiedy czekał, aż będzie po wszystkim, towarzystwo bawiło się w najlepsze. Czy miał wyrzucić resztki? Gdyby dopisało mu szczęście, nawet służący by tego nie zauważyli. Nie wierzył, że cieśla lub Etienne wiedzieli dokładnie, kiedy skończy się taki obfity posiłek. Panowie tak czy owak udadzą się potem do palarni, a damy pójda się odświeżyć. Biedakom by się pomogło, bogatym nie zaszkodziło. Ale czy to byłaby rewolucja?

Pierwszy walc w jej życiu. Friederike unosiła się ponad parkietem. W Instytucie Madame Dupont ćwiczyła ten taniec, mimo iż Madame nie była jego zwolenniczką i mówiła o nim *tres desolant*. Friederike znała wszystkie kroki. Nie przeszkadzało jej, że Christian więcej niż raz nadepnął na jej suknię, pociągnął ją w złym kierunku i potykał się przy obrotach. Była szczęśliwa. Prawie. Było jej gorąco i obawiała się, że jej policzki zaczną się rumienić i będzie wyglądać jak praczka. Trzymała wzrok mocno wbity w ziemię.

- Co ci jest? - zapytał Christian. - Dlaczego na mnie nie patrzysz? W czasie tańca dama musi uśmiechać się do mężczyzny.

- Kto tak powiedział? - wymamrotała Friederike, kierując wzrok jeszcze bardziej ku dołowi sukni.

- To łatwe. Obejrzyj się. Wszystkie kobiety rozczulają się w ramionach kawalerów.

Teraz spojrzała na niego, uśmiechnęła się i poczuła palący rumieniec na policzkach.

- Pięknie - powiedział Christian cicho. - Wyglądasz pięknie.

- Ach, też coś. - Friederike czuła, że czerwieni się jeszcze bardziej. - Nie jestem piękna. Mam piegi, diabelskie plamki.

- To są plamki szczęścia. Tak, plamki szczęścia. Po każdym szczęśliwym spojrzeniu przybywa jedna plamka.

Uniósł palec i dotknął czubka jej nosa.

- Tu znowu pojawiła się jedna. Teraz właśnie jesteś szczęśliwa. Twoja skóra jest tak czysta i biała, że prześwituje przez nią szczęście. Gdybym miał twoją skórę, całe moje ciało byłoby pokryte plamkami szczęścia.

Mówił cicho, szepcząc jej do ucha, tak że mogła poczuć na szyi jego oddech. Spojrzała mu w oczy, czy sobie z niej nie kpi, jednak jego oczy błyszczały i potwierdzały to, co mówiły usta.

- To było piękne - powiedziała cicho. - Jeszcze nikt mi czegoś takiego nie powiedział.

Podniósł rękę i pociągnął palcem wskazującym po jej nosie, a potem okrążył usta.

Theda widziała to. Oburzona, mocno wachlowała się wachlarzem. Eva von Noesch położyła jej rękę na ramieniu.

- Pozostaw to swojemu biegowi. Są młodzi, beztroscy. Jest sylwester.

- Ale ona zachowuje się jak kuchta pod majowym drzewem - odpowiedziała Theda.

- To oznacza tylko, że jest szczęśliwa. Pozwól jej na tę przyjemność. Jesteś dla niej zbyt surowa.

Theda właśnie chciała sprzeciwić się przyjaciółce, kiedy jakiś mężczyzna stanął przy otomanie.

- Najdroższa pani Geisenheimer - zaczął. - Już dawno chciałem złożyć wam wizytę, żeby pomóc znieść trudy żałoby po małżonku. Jednak interesy wysłały mnie w podróż, tak więc przychodzę dopiero dzisiaj. Theda spojrzała w górę. Przed nią stał pan von Roessner, dopiero co wyniesiony do stanu szlacheckiego i mianowany przez landgrafa radcą dworu hesko-homburskiego.

- Dziękuję wam, Roessner - odpowiedziała krótko i odwróciła wzrok.

- Chciałem również z wami porozmawiać - mówił Roessner dalej. - Jak wiecie, moja pozycja społeczna właśnie się umocniła. Miałbym co zaoferować kobiecie. Wiele pań oblizywałoby palce na tytuł radczyni. Tedzie zrobiło się niemiło. Było już wystarczająco źle, kiedy wycierano sobie gębę testamentem Theodora. Do tego jeszcze miałyby dojść oświadczenia na oczach wszystkich?

- Co chcecie przez to powiedzieć? Mówcie jasno, żebym mogła was zrozumieć.

- Tak, droga pani, tytuł prawdziwej cesarskiej radczyni. Cóż, jesteśmy z tego samego stanu. I też w tym samym wieku...

- W tym samym wieku? Mój drogi baronie, ostatnio skończyłam pięćdziesiąt dwa lata. Pięćdziesiąt dwa! Ale mów dalej.

Słowa Thedy brzmiały surowiej, niż zamierzała. Obok usłyszała Evę parszczącą cicho za wachlarzem.

- Nazwijmy rzecz po imieniu: ja jestem wdowcem, ty wdową. Co jest nam bliższe niż to, żeby wspólnie zakończyć naszą samotność? Poza tym wyglądasz zdecydowanie młodziej, jeśli

mogę tak powiedzieć. Wyraźnie młodziej! - Chrząknął. The-da zobaczyła na jego czole drobne perełki potu.

- Nie jestem samotna - odpowiedziała. - A poza tym jest oczywiste, że we Frankfurcie jest wystarczająco dużo kobiet, które - jak to powiedzieliście? - oblizywałyby palce na tytuł radczyni. - Po tych słowach Theda uniosła wachlarz i tak energicznie nim wachlowała, jakby chciała odegnać muchę.

Teraz głos zabrała Eva von Noesch.

- Wybaczcie, panie radco dworu, moja przyjaciółka jeszcze nie pogodziła się ze stratą swojego drogiego małżonka. Dajcie jej czas. Kiedy największa żaloba będzie już za nią, wtedy wiele rzeczy będzie inaczej wyglądać.

Pan von Roessner uklonił się po wojskowemu, trzasnął obcasami i zniknął.

- Co to było? - mknęła Theda, kiedy zostały same.

- A co miało być? Nie chcesz chyba być wdową przez całą wieczność.

Roessner nie jest najgorszy. Nie powinnaś go zrażać do siebie. I dlaczego przedstawiłaś się jako starsza, niż jesteś w rzeczywistości? Tego jeszcze nigdy nie słyszałam. Wszystkie kobiety, które znam, zaniżają swój wiek. Ale ty...

- Wiem, że mam czterdzieści dwa lata. I właśnie dlatego zawyżam swój wiek. Kto chciałby usłyszeć: „Och, najlaskawsza, miałem rację w swojej tajemnej ocenie!”. Nie, czegoś takiego nie chcę usłyszeć. Zdanie: „Tego się nie spodziewałem, wyglądacie zdecydowanie młodziej”, jest miłsze dla mojej duszy.

Eva von Noesch parsknęła śmiechem, zupełnie nie jak dama, jednak chwilę później znowu spoważniała.

- A zatem, jego maniery są faktycznie nie najlepsze. Tutaj, przed tyloma ludźmi... Mężczyźni są dziwni. Ale czy chcesz Roessnera tak po prostu zmylić? Zastanów się, pewnego dnia będziesz miała naprawdę pięćdziesiąt dwa lata.

Theda potrząsnęła głową.

- Evo, proszę. Nie wyjdę ponownie za mąż. Nigdy więcej, rozumiesz? Nie jestem stworzona do małżeństwa, do miłości też nie. Najlepiej się czuję, kiedy jestem sama.

Stefan zastanawiał się zbyt długo. Już bił dzwon, muzyka ucichła, na schodach zrobiło się głośno, a chwilę później sala była pełna ludzi.

Stefan opuścił swoje miejsce, stał z boku, obserwował. Żona nadleśniczego nałożyła na talerz tak dużo potraw, że nie zmieściłoby się tam już jedno ziarenko groszku. Niosła go, przyciskając do piersi, jakby obawiała się, że ktoś mógłby jej wyrwać te rarytasy. Służąca przy zmianie talerzy chwyciła zostawioną kurzą nogę i wbiła w nią zęby. Zobaczył to mistrz ceremonii, dał jej w przejściu w twarz i dziewczyna, wyjąc, uciekła.

Pani von Stallburg kapał z brody sos pieczeniowy, handlarz biżuterią Goerschmann zagarnął w obie dłonie kotlety jagnięce. Znowu pojawiła się żona nadleśniczego i ponownie napełniła rarytasami talerz, śmiejąc się przy tym tak, że jej grube policzki kołysały się na boki.

- Nie chcesz nic zjeść?

Stefan nie zauważył, że matka podeszła do niego.

- Nie, mam. Nie mam apetytu.

- Nie ociągaj się, zapłaciliśmy przecież za to. Stefan spojrzał na matkę.

- A co z biedakami? Theda skrzywiła się.

- A co ma z nimi być?

- Oni głodują - odpowiedział Stefan. Theda Geisenheimer wzruszyła ramionami.

- Zawsze tak jest. Nie tylko dzisiaj.

- Ale moglibyśmy coś w tej sprawie zrobić.

Theda chwyciła syna za ramię tak mocno, że go zabolalo.

- Nie pozwalaj sobie za dużo - syknęła. - Nie mam pojęcia, co zamierzasz, ale po prostu to zostaw. Słyszysz?

Stefan wyrwał się, obrzucając matkę spojrzeniem bardziej palącym niż płomień świecy. Theda westchnęła.

- Czy on przysparza ci zmartwień? - zapytał Ekehard, który cały czas stał w pobliżu.

- Nie więcej niż zawsze. Nawet dzisiaj ma w głowie tę swoją głupią rewolucję. Wolałabym, żeby się upił, palił tytoń albo zajrzał pod spódnicę służącej.

Ekehard zaśmiał się.

- Będę miał na niego oko, jeśli to ci odpowiada. Następnie spojrzał na nią.

- Wiesz, jak bardzo chciałbym z tobą zatańczyć? Nawet jeśli musiałby to być ten niemodny walc.

- Ekehardzie, sześć tygodni temu zostałam wdową. Wiesz dobrze, co by ludzie mówili, gdybym weszła na parkiet.

- Tak, wiem. Jesteś w żałobie. Wydaje mi się tylko, że nie od sześciu tygodni, lecz już od wielu lat.

Theda chętnie coś by odpowiedziała, lecz nagle drgnęła, słysząc okrzyk. Przy otwartym oknie zobaczyła Stefana. Widziała, jak złapał udziec jagnięcy i wyrzucił przez okno. Na dole słychać było wrzaski, na górze krzyki oburzenia.

Natychmiast odepchnęła na bok służących, nadepnęła żonie nadleśniczego na suknię i stanęła przy synu.

- Co ty wyprawiasz? - ofuknęła go i chwyciła za surdut, żeby go przytrzymać.

- Biedacy głodują! - wykrzykiwał Stefan. Wyrwał się, zgarnął pół tuzina pieczonych gołębi i wyrzucił je na zewnątrz.

- Przestań! Skończ z tym natychmiast! - Głos Thedy załamał się. Ktoś ją odepchnął i mogła tylko przyglądać się, jak Stefan znowu zgarnia mięso, brudząc sobie przy tym surdut, i podchodzi do okna, spod którego dochodziły wrzaski.

Pani von Braunwinkel głośno domagała się flakonika z pachnidłem, służba gonila w tę i z powrotem, baron von Reichenbach chwycił w zamieszaniu butelkę koniaku, Stefan rzucił się po pachnące chleby, a Eva von Noesch biegła z drugiej strony stołu, krzycząc: - Stefanie, nie pogrążaj się w nieszczęściu!

Jedna służąca także podbiegła do okna i wyrzuciła na chybił trafił owoce, młody Bolongaro śmiał się jak nienormalny, świeżo upieczony radca dworu von Roessner, zde gustowany, wykrzywił usta i rzucił w stronę Thedy pogardliwe spojrzenie.

Matka Goethego, Elizabeth, stała w rogu i notowała w myślach, co napisze w liście do syna, do Weimaru. A ponad tym wszystkim unosił się hałas, który wywołał u Thedy ból uszu. Stała jak zeszywniała, niezdolna, by odwieść syna od jego czynów, niezdolna, by opanować wzburzenie.

Naraz zobaczyła przy oknie Ekeharda von Hohensteina stojącego obok Stefana. Odtajała nieco i podeszła bliżej. W sali po raz pierwszy zapanowała cisza.

Słyszała, jak Ekehard woła na zewnątrz:

- A to, drodzy ludzie, jest dla was. Także wy, ubodzy mieszkańcy tego miasta, powinniście mieć udział w naszym święcie. Za chwilę otworzymy wejście dla służby i każdy z was otrzyma obfity posiłek.

Hałas i okrzyki radości, które wdarły się do domu, były nie do opisania.

- Niech żyje Alten Limpurg! - krzyczeli biedacy.

- Niech żyje rewolucja francuska! - krzyczał Stefan i machał swoją czerwoną czapką jakobina, którą w mig wyjął z kieszeni. Theda podeszła do niego, chwyciła go pod ramię i pociągnęła ze sobą.

- A teraz chodź, już wystarczająco narozrabiałeś. Ekehard uśmiechał się i zacierał ręce.

- Nie, Thedo, wyświadczył nam przysługę. Biedacy od tej pory będą nas chwalić. Upiór rewolucji został na razie zażegnany.

Klepnął Stefana w ramię.

- Dobra robota, chłopcze. Jednak następnym razem porozmawiaj najpierw ze mną.

Stefan wyrwał się matce, popatrzył na von Hohensteina szeroko otwartymi oczami, a potem odszedł.

W następnych dniach i tygodniach Theda podejrzanie często spędzała czas poza domem. Chodziła na babskie spotkania u radczyni dworu, była na reducie u Kreienbrinksów i w Komedii Miejskiej, a raz nawet poszła na kółko czytelnicze do domu Goethego przy Hirschgraben. Wkrótce zaczęto mówić, że Geisenheimerowa rozgląda się za kandydatką na żonę dla swojego najstarszego. Nawet Braunwinklerowa wychwalała pod niebiosa swoją Adele, kiedy matka Goethego mówiła o zaletach późnego małżeństwa, a Eva von Noesch wciąż protegowała Sophie Rohrbach. Tylko o córce Allbergerów nie wspomiano. I właśnie z tego powodu Theda Geisenheimer skierowała uwagę na to „biedne dziewczę”. Kiedy spotykała ją na targu, trzymała się w pobliżu i podsłuchiwała jej rozmowy. Raz była świadkiem, jak Allbergerówna wyłudziła gomółkę sera za ćwiartkę kraj cara. Innym razem zobaczyła, jak „biedne dziewczę” gwizdało na dwóch palcach na gońca. Theda uśmiechnęła się. Według niej dla kobiet ich stanu umiejętność gwizdania na palcach była nieodzowna. Jak inaczej miałyby się utrzymać kontakt ze służbą w tak dużym domu? Wieszając im dzwoneczek u szyi? Nie, ona gwizdała na Hedi, która ciągle chodziła gdzieś po domu. Gwizdała również na służącą, na

parobka i dorożkarza. Sophie Rohrbach na pewno nie dysponowała takimi umiejętnościami. A Adele von Braunwinkel była raczej zajęta obgryzaniem paznokci swoimi mysimi zębami.

Theda chętnie zagadnęłaby ją na ulicy, jednak się nie odważyła. W sumie to „biedne dziewczę” niosło jednak ze sobą ryzyko. Przynajmniej dopóki Theda niewiele o niej wiedziała.

Stefan zwlekał z pójściem na spotkanie do karczmy Pod Żelazną Ręką. Eckehard von Hohenstein wszystko zepsuł. Kiedy wracał myślami do nocy sylwestrowej, niemal cisnęły mu się do oczu łzy oburzenia. Jak on się skompromitował! Westchnął. Bądź co bądź wypełnił swoje zadanie. Zrobił wszystko, co w jego mocy.

Jeszcze na ulicy usłyszał gwar dochodzący z wyszynku. W środku większość ławek było już zajęta przez czeladników grających w kości lub wymieniających najnowsze plotki. W cichszym kącie odnalazł przyjaciół. Bez powitania opadł na ławkę obok cieśli i dał znak szynkarce, by przyniosła wino.

- Więc pijesz wino - stwierdził cieśla.

- Tak.

- A nie piwo, jak pospólstwo?

- Wręcz przeciwnie. Piwo także. Ale dzisiaj mam ochotę na kwartę czerwonego.

Kiedy dziewczyna przyniosła Stefanowi kubek, przyjaciel cieśli uniósł swój dzban piwa.

- Za ciebie, synu patrycjusza. Dzielnie się trzymałeś. Jestem Georg. Nie podam ci swojego nazwiska, bo im mniej o mnie wiesz, tym lepiej. Za naszą nadzieję!

Stefan stuknął się z Georgiem.

- Dlaczego mam o tobie nic nie wiedzieć?

Georg uśmiechnął się blado.

- Rewolucji nie jest to potrzebne. Dlatego.

- Tak więc tu, we Frankfurcie, mamy rewolucję?

- Za dużo pytasz. Jeszcze tylko jedno. Pokazałeś, że masz odwagę. Od teraz należysz do nas.

- To znaczy do kogo?

- Do frankfurckich jakobinów.

- Och! - Stefan, zaskoczony, wypił łyk wina. - Dziękuję! - dodał.

Etienne podał mu rękę, a następnie porozumiewawczo klepnął go po ramieniu. Jedynie cieśla wydawał się z tym nie zgadzać.

- Jak to właściwie było? Wyrzucił wprawdzie przez okno jedzenie, jednak biedacy myślą, że dostali je od patrycjuszy z Alten Limpurg. Te dziady pieprzone oszukały nas. Ludzie wierzą, że od nich pochodziły te dary, a nie od frankfurckich jakobinów.

Georg przytaknął.

- Tak, tak właśnie jest. I czego nas to uczy? Cieśla gapił się głupkowato. Odpowiedział Etienne.

- Musimy się pokazać. Kto nie wie, że istniejemy, nie wie również, co robimy.

- Tak, dokładnie - potwierdził Georg. - Nadejdzie czas, że we Frankfurcie polecą kilka głów. A my będziemy już wiedzieli, jak zwrócić na siebie uwagę. Wcześniej jednak musimy przeciągnąć na swoją stronę biedaków. Tak jak to się stało w Paryżu. Także we Frankfurcie lud coraz głośniej będzie się domagał stracenia króla. Moim zdaniem to już dawno powinno być się stać. Tutaj możemy uniknąć błędów Francuzów.

Stefan przechylił się odrobinę do przodu.

- Co to miałyby oznaczać? - zapytał.

- Nic. Tylko to, że rewolucja bez rozlewu krwi nie jest już teraz możliwa.

- Ale przecież właśnie dlatego nie trzeba zabijać ludzi, zwłaszcza króla, jak we Francji! - Stefan tak się zdenerwował, że wylał na stół wino z kubka.

- W Paryżu lud wołał: „Arystokraci na latarnie uliczne!” - wtrącił Etienne.

- I mówię wam, niewiele później latarnie uginały się pod ich ciężarem.

Stefan zde gustowany potrzęsnał głową.

- Nie, nie, tego nie chcę.

Przez chwilę wyobrażał sobie Eckerharda von Hohensteina dyndającego na latarni z wywalonym językiem i oczami przewróconymi do góry. Nie lubił tego człowieka. A od sylwestra jeszcze mniej. Mimo to nie chciał go zobaczyć wiszącego. Żadnego z arystokratów, ale też żadnego z biedaków.

Cieśla wychylił się mocno w przód i przytrzymał spojrzenie Stefana.

- Kim jesteś? Jakobinem czy tchórzem? Czego chcesz? Wolności, równości i sprawiedliwości czy panowania uprzywilejowanych?

- Oczywiście wolności i równości. Ale bez zabitych.

- Tak więc chcesz dać biednym, nie zabierając przy tym bogatym, tak?

Stefan nie wiedział, co odpowiedzieć. Sam sobie zadawał to pytanie:

Czego właściwie chcę?

I oprócz odpowiedzi: w żadnym wypadku nie żyć tak jak moi rodzice, nic mu nie przychodziło do głowy.

- No, co jest, synku patrycjusza? - Cieśla nie odpuszczał.

- Sprawiedliwego podziału. Tego chcę. Stefan poczuł się pewniej.

- Zapytałeś mnie ostatnim razem, ile kosztuje chleb. Teraz jest to sześć krajcarów za bochenek. Trzy worki mąki kosztują trzydzieści jeden guldenów, funt kawy trzydzieści sześć krajcarów, para jedwabnych pończoch cztery guldeny. Służąca zarabia rocznie dwadzieścia guldenów, podczas gdy

stróż sto dwadzieścia guldenów, a frankfurccy radni przez całe życie dostają pensję w wysokości tysiąca ośmiuset guldenów i do tego tytuł prawdziwego cesarskiego radcy. Etienne gwizdnął przez zęby.

- Tysiąc osiemset guldenów. *Sacrébleul* Przyzwoita suma.

Dziewięćdziesiąt razy więcej, niż zarabia służąca. Uważasz to za sprawiedliwe, patrycjuszu?

- Nie. Nie uważam. Zwłaszcza kiedy służąca musi pracować dużo więcej na kilka guldenów niż miejski radny i cesarski radca. Mój ojciec był radnym. I chociaż już nie żyje, matka dalej dostaje od miasta pieniądze. Dlatego jestem za redystrybucją. Ten, kto pracuje, powinien dostawać godziwą zapłatę. Kto nic nie robi, nic nie dostaje.

Cieśla uśmiechnął się szyderczo i szturchnął sąsiada w bok.

- Dobrze wiedzieć, patrycjuszu. Tak więc pozwól, że będziemy konsekwentni. Ile dostajesz kieszonkowego?

Stefan już czekał na to pytanie.

- Muszę cię rozczarować, cieślo. Dostaję od matki tylko dwa guldeny tygodniowo i całymi dniami haruję w gimnazjum bez zapłaty. Mieszkanie i wyżywienie mam jednak za darmo. A ile, mówisz, zarabia cieśla? Jago włóczył się po ulicach, jakby miał mnóstwo czasu i żadnych pilnych obowiązków. Wiedział, że matka czeka na niego w biurze, ale nie zrobił dotąd postępów w tworzeniu najnowszego wiersza. Wciąż uparcie przychodziły mu na myśl te same wersy, tak że nie mógłby się skoncentrować na liczeniu worków cynamonu czy na sprzedaży oleju i czekolady. To, czego mu brakowało, to muza. Charlotte Buff albo Charlotte von Stein, jak u Goethego, Charlotte von Kalb albo Charlotte von Lengefeld, jak u Schillera. Także on, Jago, potrzebował swojej Charlotte, skrzydlatej wróżki.

Jego Charlotte nie musiałyby być arystokratką. W ostateczności mogła to być także kwiaciarka, hafciarka czy córka piekarza. I mogłyby nosić jakiegokolwiek imię, jakie by tylko chciała. Najważniejsze, żeby uskrzydlała jego wiersze.

Znowu przyszła mu na myśl dziewczyna z kawiarni przy ulicy Katedralnej, nowa, która dopiero od kilku dni obsługiwała tam gości. Czy nie miała na imię Charlotte? Jago zacisnął powieki i przywołał w pamięci jej obraz. Silne ramiona, wydatny biust, niesforne ciemne włosy, duże czerwone usta i policzki, tak szerokie jak jej uśmiech.

Niekoniecznie odpowiadała obrazowi jednej z dziewięciu muz, jaki widział oczyma duszy, mimo to nazwałby ją swoją Erato, muzą poezji miłosnej, zmysłową, budzącą tęsknotę swoją lirą. Nie szkodzi, że kawiarniane dziewczę nie wie, kim była Erato. Najważniejsze, że miał w końcu muzę. Natychmiast udał się w drogę. Na rogu kupił od dziewczyny sprzedającej papierowe kwiaty bukietek fiołków.

Friederike marzła. Luty jeszcze raz przywołał wszystkie zimowe siły i ściągnął nad miasto śniegowe chmury. Ale dzisiaj wyjątkowo zaświeciło słońce. Puszcza Bornheimerska wyglądała uroczo. Drzewa ugiwały się pod ciężarem śniegu, a oszronione krzaki błyszcząły jak diamenty.

- Czyż nie jest pięknie? - zapytała Friederike i spojrzała na idącego obok Christiana.

- Tak, przepięknie. Wszystko wokół jest tak piękne jak ty. Friederike poczuła, że jej policzki stają się purpurowe.

Mocniej owinęła się płaszczem, chociaż w tej chwili w ogóle nie było jej zimno.

- Nie powinieneś tak mówić, Christianie. Wprawiasz mnie w zakłopotanie.

- Kiedy to prawda.

Friederike schyliła się, wzięła do ręki śnieg i rzuciła nim w Christiana. On jednak tylko strzepnął puch z kołnierza.

- Kiedy to prawda - powtórzył, a potem stanął przed nią na drodze.

Widziała, jak obłoczki oddechu wydobywające się z jego ust stają się coraz gęstsze. Jego twarz wydawała się jej tak miękka, tak delikatna, jakby był jeszcze małym chłopcem. Już chciała unieść dłoń i dotknąć jego policzka, ale zaśmiała się tylko, zakłopotana, i spojrzała w górę. Po niebie ptak ciągnął swoim szlakiem.

- Spójrz, Christianie, to sójka. Słyszysz jej wołanie? Ojciec mi mówił, że sójka jest strażnikiem lasu, a swoim wołaniem ostrzega przed wrogiem.

- Zaliczasz mnie do swoich wrogów? - zapytał Christian.

- Nie, z pewnością nie. - Potrząsnęła głową i dodała: - Powinniśmy już pójść dalej, w przeciwnym razie zamarzniemy tu.

Friederike wsunęła dłonie w mufkę i ruszyła zamasyście do przodu.

Chwilę szli obok siebie w milczeniu. Żadne z nich nie odważyło się spojrzeć drugiemu w oczy. Friederike drżała i trzęsła się z zimna. Czuła, że musi stać się coś niesłychanego, coś, za czym tęskniła i czego się obawiała. Ale nic takiego się nie wydarzyło, stawiali tylko krok za krokiem. W końcu Christian znowu się odezwał.

- Powiedz, byłeś już kiedyś zakochana? Friederike przełknęła ślinę i potrząsnęła głową.

- A czy ktoś był już kiedyś zakochany w tobie?

- Pfff! A kto miałby się we mnie zakochać? Mama ciągle mi powtarza, że gdybym była dzieckiem, byłabym śliczna jak mała praczka. Poza tym jestem zbyt nieśmiała, a także zbyt... zbyt...

- Zbyt co?

Friederike wciągnęła głęboko powietrze.

- Zbyt brzydka. Teraz wiesz. Jestem brzydka, z tymi piegami i z tą buźką, która przypomina szczeniaka. Nie mam wdzięku, a stopy stawiam, jak umiem. I co chwila się potykam. Zapominam trzymać plecy prosto, spinki ciągle wyślizgują mi się z włosów i loki spadają mi na twarz. A przy każdej okazji robię się czerwona albo blada, właśnie wtedy, kiedy jest to najmniej pożądane. I nie jestem muzykalna. I brakuje mi elegancji.

- Kto tak mówi? - Christian przystanął i spojrzał zaskoczony na Friederike.

- Mama. Moja matka.

- I wierzysz jej?

- Oczywiście. Dlaczego miałabym nie wierzyć? Bądź co bądź, jest moją matką. Kto miałby wiedzieć, jaka jestem, jeśli nie ona?

- Nie mam pojęcia, co twoja matka w tobie widzi. Ja w każdym razie widzę coś zupełnie innego.

Serce jej stanęło. Teraz, wiedziała, teraz nadejdzie to wytęsknione, niepokojące, poruszające i tajemnicze.

- Tak? - wyszeptała.

Christian podszedł do niej, uniósł dłoń i delikatnie otarł jej płatki śniegu z policzka.

- Widzę przed sobą najpiękniejszą dziewczynę świata - wyszeptał. - Żadna nie porusza się tak jak ty, żadna tak się nie śmieje, żadna nie jest bardziej podobna do róży niż ty, kiedy się czerwienisz.

Uśmiechnął się delikatnie, a ona chwyciła jego dłoń i wtuliła w nią twarz jak mały kotek, pełna niewinności i ufności.

- A ty? - zapytała. - Byłeś już kiedyś zakochany?

- Do tej pory nie. Ale myślę, że jestem bliski zakochania się.

- Dowiedziałeś się czegoś? - Theda rzuciła rękawiczki na mały stolik w bibliotece Eckeharda von Hohensteina. Następnie opadła na fotel i wypijała trochę kawy, którą właśnie przyniosła służąca.

Eckehard podniósł się i ucałował jej rękę.

- Trochę tak, moja droga, ale nie wiem, czy to ci się spodoba.

Theda machnęła ręką. Oparzyła sobie język gorącą kawą.

- No, powiedz wreszcie, nie trzymaj mnie w napięciu.

- Dom kupiecki Allbergerów rok temu stał tak kiepsko, że musieli zwolnić wszystkich pisarzy z wyjątkiem prokurenta. Allberger zainwestował w owoce południowe, a zboża kupił jeszcze na pniu. Kiedy nadszedł cyklon, zmiotło wszystkie owoce i poniósł ogromne straty.

Mówi się, że do dziś nie doszedł do siebie, po tym wszystkim. W każdym razie jego księgi rachunkowe nie są wypełnione do ostatniej linijki.

- Hmm... - zamyśliła się Theda. - To nie musi być złe. Ale mów spokojnie dalej. Czego się dowiedziałeś o tym „biednym dziewczęciu?”.

- Obawiam się, że niczego nowego. O katastrofie zaręczyn już słyszałaś, prawda? Posag był dla adoratora za mały. Widocznie myślał, że biorąc za żonę córkę kupca z Frankfurtu, zabezpieczy się do końca swoich dni. A potem znalazł lepszą partię, i to byłoby na tyle. Prawdą jest, że od tamtej pory nikt więcej nie prosił o jej rękę. Wstyd i finansowa strata, rozumiesz.

- Oczywiście, rozumiem. Nie ma takiej, która by temu biednemu dziecku zazdrościła zerwanych zaręczyn... Ach, co tam. Co jeszcze o niej wiesz?

- Musi zastępować w biurze pisarzy, na których Allbergerowie nie mogą sobie pozwolić. Cały dzień siedzi za pulpitem. A ponieważ jej ojciec często jest w drodze, ma także oko na ładowaczy. Kontroluje przychodzące towary, doglą-

da spraw bankowych i korespondencji. Także to jest powodem, tak mi powiedziano, że Allberger niezbyt gorliwie szuka dla niej męża. Co on by zrobił bez tej dziewczyny? A do tego jeszcze posag! Jej los to prowadzenie życia za pulpitem, do czasu aż jej brat przejmie interes. Albo tam zostanie, jak to w niektórych domach jest w zwyczaju, albo uda się do domu dla samotnych kobiet.

- Widzę jeszcze trzecią możliwość - Theda weszła w słowo baronowi. - Mogłaby znaleźć narzeczonego.

Sądziła, że Eckehard wybuchnie śmiechem, ale nie uczynił tego. Tylko delikatny uśmiech pojawił się w kącikach jego ust.

- Tak myślałem - wymamrotał, zanim Theda spojrzała mu prosto w oczy.

- Chcesz ją połączyć z Jagiem, prawda?

- Owszem, przyznaję, że o tym myślę. Nie jest szczególnie bogata, nie będzie więc miała przesadnych wymagań, jak niektóre inne wytworne pannie. Potrafi pracować, zna się na handlu i będzie musiała być nam wdzięczna do końca życia, że zaoszczędziliśmy jej losu w przytułku.

- Rozmawiałaś już o tym z synem?

- Co też ty mówisz! Jago szuka swojej muzy. Może mnie przewyższać nawet o głowę, ale mężczyzną jeszcze nie jest. Mówi się, że mężczyzną staje się przez wielką radość albo wielki ból. Jemu te obie rzeczy zostały oszczędzone. To, co on uważa za miłość, jest czystym marzeniem. On chce się puszyć w kawiarniach albo przechwalać przed innymi.

- Myślisz, że to „biedne dziewczę” przysporzy mu wielkiej radości? Czy może raczej wielkiego bólu?

- Na miłość boską, nie! Zamierzam ją uczynić niezależnym kupcem.

Owszem, z interesów coś już powinna rozumieć. Brakuje jej jeszcze dobrych manier. Tak więc będę miała co robić. Jago bawi się swoimi poezjami i biega za swoimi muzami, i nie mogę go od tego odwieść. Ale handel nie bierze pod uwagę uczuciowości mojego syna. Dlatego muszę sobie pomóc inaczej.

- Dobrze pomyślane, droga Thedo. Ale jak chcesz mieć wnuki?
- Pozwól, Eckehardzie, że to pozostanie moim zmartwieniem. Jago jest jeszcze młody. Żar w jego lędźwiach przymknie oczy na braki dziewczyny. Musimy ich po prostu położyć w łóżku obok siebie. O resztę zatroszczy się już matka natura.

Eckehard von Hohenstein roześmiał się głośno. Jednak po chwili znowu był poważny.

- Kiedyś byłaś inna, Thedo. Nie tak... uzdolniona praktycznie. Jeśli sobie dobrze przypominam, byłaś prawdziwą marzycielką.

Theda wzruszyła ramionami.

- Życie mnie nauczyło, że marzeniami nie zyska się nic, nawet zdrowego snu.

- Więc nie wierzysz w miłość?

- Och, nie. Kto ma ponad czterdzieści lat i wierzy jeszcze w miłość, jest głupcem. Miłość jest sposobem na spędzanie czasu dla tych, którzy o nic innego nie muszą się martwić.

- Naprawdę poważnie tak myślisz, Thedo?

- Oczywiście! Czy słyszałeś, żeby w czasie wielkich wojen śpiewano pieśni miłosne na terenach klęski głodu i dżumy? Czy myślisz, że na przedmieściach, gdzie chodziło o zwykłe przeżycie, śpiewano pieśni miłosne i dawano bukiety z zawilców? Wyobraź sobie chłopów na polach myślących o wierszach, żeby ucieszyć nimi wieczorem chłopki? Dajże spokój! Tak może jest w romantycznych książkach. Miłość, mówię ci, jest dla tych, którzy nie muszą się o nic troszczyć i martwić. Rozrywką w czasach ciszy i pokoju.

Eckehard von Hohenstein pokiwał głową.

- Znam cię od tylu lat, moja droga Thedo. A dzisiaj wydaje mi się, jakbym cię tak naprawdę nie znał.

- Może tak być, Ekehardzie. Ludzie się zmieniają. Mają różne doświadczenia, i to ich zmienia. Na dobre i na złe. Tak już jest.
 - Po wszystkim, co powiedziałaś o miłości, przypuszczam, że miałaś złe doświadczenia w tej dziedzinie.
 - Co jest dobre, a co złe? Wiodłam życie małżeńskie jak tysiące innych kobiet. Mój mąż był dobrym człowiekiem, przynajmniej dopóki był zdrowy.
 - Kochałaś go, Thedo?
 - Dlaczego o to pytasz? Co się w ogóle z tobą dzieje, Ekehardzie? Jeszcze nigdy nie prowadziliśmy tak intymnych rozmów. Dlaczego chcesz to wszystko wiedzieć?
 - Czy kochałaś go, Thedo? Odpowiedz mi na to pytanie, wtedy i ja ci odpowiem.
 - No, pięknie. Nie wiem, czy go kochałam. Nigdy siebie o to nie pytałam. Czemu miałyby to służyć? Byłam jego żoną i to, co do niego czułam, nikogo nie interesowało. Nawet mnie.
- Theda zamilkła i spojrzała karcącym wzrokiem na Ekeharda.
- A zatem, co się z tobą dzieje? Ekehard westchnął.
 - Nie wiem właściwie. To nie jest odpowiedni moment.
 - Teraz dopiero mnie zaciekawiłeś! Mów, Ekehardzie. Powiedz, znamy się już wystarczająco długo.
- Ekehard wstał, poprawił zakiet, zapiął guzik. Następnie skłonił się przed Thedą i powiedział uroczystym tonem:
- Chciałbym cię prosić o rękę. Czy wyjdiesz za mnie, Thedo?
 - Co? Co ty mówisz? Nie, nie, Ekehardzie. To był tylko żart, prawda?
- Theda złapała się za gardło, jakby jej brakowało powietrza.
- Właściwie to nie był żart tylko może zły moment. Ale już powiedziałem. Powiedz, czy wyjdiesz za mnie?

- Dlaczego?
- Co masz na myśli, mówiąc dlaczego?
- Dlaczego miałabym wyjść za ciebie? - zapytała Theda ponownie. Ekehard zdziwiony potrząsnął głową.
- Czy to nie jest oczywiste? Ponieważ chcę cię uczynić szczęśliwą. Tak jest. Chcę, żebyś była moją żoną, baronową von Hohenstein, i chcę cię wreszcie zobaczyć szczęśliwą. Tego chciałbym. Theda zamilkła i spojrzała na swoje dłonie leżące na kolanach. Ekehard pochylił się i wziął jej dłoń w swoją.
- Połknełaś język? - zapytał żartobliwie. Ciagle jeszcze stał obok krzesła Thedy i trzymał jej dłoń. Nie wypuścił jej też, kiedy się podniosła.
- Ekehardzie, nie po to jesteś na świecie, by mnie uszczęśliwić. Chcesz mnie poślubić, żebym ja ciebie uszczęśliwiła. Ale nie mogę. Nie umiem nawet uszczęśliwić samej siebie.
- Powinienem się zaręczyć? Z całkiem obcą osobą? Nie, mamó. Nie możecie tego ode mnie wymagać. Theda, trochę blada od powrotu od Ekeharda von Hohensteina, opadła na fotel.
- Obca nie jest, to córka Allbergera. Jeśli się nie mylę, tańczyła z nią nawet na balu sylwestrowym.
- Gdybym tylko chciał się zaręczyć z tymi wszystkimi, z którymi tańczyłem!
- Nie ze wszystkimi. Tylko z córką Allbergera. Jak ma na imię?
- Barbara. Ale nie zaręcę się z nią. Odmawiam, mamó.
- Dobrze, mój synu. W takim razie oczekuję od ciebie, że od jutra, natychmiast po śniadaniu będziesz stawiał się w biurze. Kalis wprowadzi cię we wszystko. Twój czas pracy

trwa do południa, a potem aż do nieszporów. Przygotujesz nasz dom kupiecki do targów, poprowadzisz rozmowy i przeprowadzisz rekonesans w sprawie sytuacji gospodarczej. Z Paryża, słyszałam, nie da się w tej chwili wiele importować. Będziesz się więc przyglądał, jak to dalej pójdzie, a towary z jedwabiu, szczególnie jedwabne pończochy, sprowadzał z innego miejsca. Także czekolady nie będziemy już brać z Paryża, tam jest za drogo. Rozejrzyj się, jak to wygląda w Zurychu albo w Brukseli. Poza tym trzeba będzie opłacić kilka weksli, inne powinny już być spłacone. Ktoś musi się zastanowić, czy przy większych wysyłkach nie połączyć się z innymi domami. Od jutra będziesz się o to troszczył.

- Mamo, proszę cię, jestem poetą.

- Tak, tak, wiem. Ale tym nie będziesz się żywił. Teraz, kiedy twój ojciec nie żyje, jesteś panem domu. Masz obowiązki. Najwyższy czas, żebyś o tym pomyślał.

Jago milczał chwilę, a potem zapytał:

- A jeśli zaręczę się z Barbarą? Co wtedy?

- Wtedy będziesz miał wkrótce, mam nadzieję, sumienną żonę, która zatroszczy się o to wszystko, co byłoby twoim zadaniem. Ty w tym czasie mógłbyś spokojnie tworzyć swoje wiersze.

Jago spojrział na matkę podejrzliwie.

- Myślisz, że Barbara będzie prowadziła interesy zamiast mnie? Przecież jest kobietą.

- A ja nie jestem? Na mnie też przecież polegasz. Tak, na szczęście córka Allbergera jest kobietą. Ma zmysł praktyczny i nie idealizuje tak świata wokół jak ty. W biurze w każdym razie jest niewątpliwie bardziej przydatna niż ty.

- A jeśli ja jej nie chcę? Jak mam z niej zrobić pannę młodą, skoro jej w ogóle nie znam? Bo nagle stanęła na drodze moich artystycznych ambicji? W końcu będzie myślała tak jak ty, mamo.

- To będziesz się musiał z tym pogodzić. Albo przejmiesz odpowiedzialność, zastanowisz się nad obowiązkami i porzucisz poezję, albo poślubisz kobietę, która przejmie twoje obowiązki.

Theda widziała, jak uśmiech przemknął po twarzy Jago.

- O nie, mój drogi, nie rób sobie fałszywych nadziei. Wiem, o czym myślisz. Zaraz mi tu obiecasz troszczyć się o dom handlowy Geisenheimerów, tak jak to już setki razy robiłeś. Zrobisz to, żeby mnie uspokoić, a po krótkim czasie znowu wrócisz do dawnych zwyczajów. Będziesz siedział od rana do wieczora w kawiarni, potem zabawiał się w teatrach, a na koniec spędzał noce z aktorkami. Do tej pory tak było, za każdym razem, ale teraz będzie inaczej. Dzisiaj poleciłam Kalisowi, żeby nie dawał ci gotówki. Swoje pieniądze będziesz musiał zarobić w biurze. Będziesz opłacany jak każdy inny. Za wikt i opierunek będę ci liczyć sześć guldenów na miesiąc, a twoje dochody nie przekroczą stu guldenów rocznie. Będziesz miał zatem całe dwadzieścia osiem guldenów do roztrwonienia. To więcej niż roczny dochód służącej. A teraz, drogi Jago, co na to powiesz?

Jago nic nie powiedział. Spoglądał na matkę i potrząsał raz po raz głową.

- Nie możesz tego zrobić, mamo!

- Wręcz przeciwnie, mój synu, mogę. Nie dalej jak wczoraj adwokat potwierdził, że moje kroki są słuszne. Nie jesteś jeszcze pełnoletni. Twój ojciec powierzył mi opiekę nad tobą. Opóźnienie twojej pełnoletności mogłoby być całkiem łatwe. Wiesz, że to jest zgodne z prawem, trzeba tylko przedstawić dobre powody. Dążenie do kariery poety powinno wystarczyć.

- Ale to jest szantaż! - wykrzyknął Jago i szarpnął za swoją apaszkę.

- Masz rację, mój synu. Możesz sobie zapamiętać na później, że wychowanie dzieci w dużej mierze polega na szantażu. Reszta to przymus.

Theda usiadła wygodnie w fotelu i położyła stopy na podnóżku.
- Czy podjąłeś już jakąś decyzję, mój drogi? - zapytała po kilku minutach.
Jago wciąż chodził szybkim krokiem po niebieskim salonie, tam i z powrotem, wbijając sobie zaciśnięte pięści w plecy. Chwilami zatrzymywał się i powtarzał: „Tego nie możesz mi zrobić!”, ale Theda nic na to nie odpowiadała. Dokładnie wiedziała, co mogła, a czego nie mogła zrobić.

6

Wiosna 1792 roku przyniosła nie tylko kwitnienie kwiatów, lecz także zmiany w zachowaniu Friederike. Theda obserwowała ją z niepokojem.

- Co się dzieje z tą dziewczyną? Wygląda lepiej niż kiedykolwiek wcześniej, a do tego śpiewa przez cały dzień -pytała Hedi.

- A co ma być? Czuje wiosnę we krwi.

- Który chłopak za tym stoi? Hedi wzruszyła ramionami.

- No dobrze. Czy wiesz coś o Stefanie? On także wydaje mi się odmieniony - pytała Theda dalej.

- Tylko tyle, że jest spokojniejszy niż wcześniej i ciągle zabiera ze sobą do ustępu francuskie gazety.

- Hedi! Jeżeli już musisz o tym wspominać, to mów na to „ciche miejsce”. Przynajmniej Jago przesiaduje ciągle w kawiarni i nie rozrabia jak wcześniej.

Theda przeszła się po kuchni, zajrzała do spiżarni, podniosła pokrywkę garnka, przeciągnęła badawczo palcem po półkach i poskubała szyszki jodły leżące w skrzyni z drewnem na opał.

- Co się dzieje, pani? Skradacie się jak kot do gorącej kaszki.

- Powiedz, jak mam to zrobić, żeby wszystkie dzieci usiadły przy jednym stole i żebym mogła ustalić, co się dzie-

je w ich głowach?... Musimy choć raz wszystko omówić *en familie*. Bez tego nie mogę zorganizować żadnej uroczystości.

- Mogłabyś z nimi porozmawiać. Jak matka z córką i matka z synem.

- Tak więc znowu z każdym z osobna. Ach, gdyby mi opowiedzieli, co ich przygnębia, a co cieszy, co myślą i co zamierzają zrobić! Nie są już małymi dziećmi, które można zadowolić kawałkiem czekolady.

- Może spróbuj raz z domowym muzykowaniem -zapropozowała Hedi. -

Wszędzie tak jest w wytwornych domach. Muzyka godzi, to wiadomo.

Jago mógłby deklamować wiersze, toby go dobrze nastroiło. Stefan mógłby przyprowadzić przyjaciela, Friederike przyjaciółkę, a do tego można by zaprosić Barbarę Allberger.

- To dobry pomysł, Hedi. Tak zrobimy. W sobotę. Tak, w najbliższą sobotę.

- Pani, wtedy moja siostra ma urodziny. Pięćdziesiąte. Mówiłam już o tym kilka tygodni temu. I daliście mi wolne.

Theda westchnęła.

- Dlaczego służące muszą mieć urodziny właśnie wtedy, kiedy mi to najmniej odpowiada?

Hedi uśmiechnęła się.

- Ponieważ wtedy państwo najbardziej się denerwują. Ale mogę przygotować angielski bufet według nowych francuskich zwyczajów. Zimne przekąski są tak czy owak lepsze przy muzykowaniu.

- Wpadło mi do głowy, że moglibyśmy połączyć to z zaręczynami. Jago wprawdzie już się zgodził, ale do tej pory wzbraniał się zbliżyć do Barbary. Dwie pieczenie na jednym ogniu, co o tym myślisz, Hedi?

- W zasadzie nieźle, ale urodziny mojej siostry...

- Już dobrze. Przesuń je na niedzielę, wtedy masz wolne i będziesz też mogła wziąć resztki z zaręczyn. A jeśli będziesz chciała, możesz zostać u siostry do poniedziałku.

Hedi była niezadowolona, ale w końcu zgodziła się. - Macie rację, pani. Dwie pieczenie na jednym ogniu. Tak zrobimy.

Po tej zapowiedzi Theda usiadła przy swoim sekretarzyku i wypisała kilka zaproszeń. Z Allbergerem rozmawiała kilka dni temu. Był więcej niż gotów wydać córkę za Geisenheimera, gdyż wierzył, że taki związek dobrze zrobi jego interesom. Uzgodniono, że zaręczyny powinny się odbyć tak szybko, jak to tylko możliwe, w małym gronie, należy podkreślić, w przeciwnym razie koszty będą niewspółmierne do wydarzenia, a wesele, na które nie chciano długo czekać, pochłonie i tak dostatecznie dużo guldenów. Będzie zaskoczony, pomyślała, że zaręczyny zaplanowałam od ręki na sobotę. Ale jestem kobietą szybkich decyzji. Eckehard von Hohenstein, jego także muszę zaprosić. Poczula szybsze bicie serca. No dobrze. Potem jeszcze chrzestnych Jaga, sąsiadów, szczególnie Altvaterow z Christianem i Claudią. I oczywiście Evę von Noesch. Bez przyjaciółki nie będę świętować, postanowiła.

Theda oczywiście nie zapomniała wspomnieć w zaproszeniach, żeby goście przynieśli instrumenty muzyczne, ponieważ zaplanowała wspólne muzykowanie. Nuty naturalnie są. Będą także deklamacje kilku wierszy dla miłośników literatury. Mam nadzieję, że Jago nie przyniesie mi wstydu, pomyślała. Jeśli jednak będzie się trzymał swojej części umowy i poślubi dziewczynę, to musi także móc tworzyć.

Kiedy liściki zostały wysłane, Theda udała się do pokoju muzycznego, z którego rzadko korzystano, i sprawdziła klawikord. Kilka strun było rozstrojonych, ale Friederike może je nastroić. Następnie z dużej szafy wyciągnęła flet i potrzyzymała go w dłoni. Ach, ile to już lat minęło, kiedy ostatni raz grała? Wtedy, gdy Friederike siedziała przy klawikordzie, Jago

grał na skrzypcach, Theo dmuchał w róg, a mały Stefan uderzał w kotły. Poczula tęsknotę za dawnymi czasami, przyłożyła flet do ust i zagrała E, a potem C i D, a nawet F i G. Poszło bardzo dobrze, jakby samo z siebie. Theda poczuła się, jakby spotkała starą przyjaciółkę. Ach!, westchnęła, po czym zebrała się na odwagę, stanęła przed lustrem, wyprostowała się, wypełniła brzuch powietrzem i przystawiła instrument do ust. Ale to, co zobaczyła w lustrze, mogłoby wręcz zniweczyć plany zaręczyn. Jej broda, trzymana trochę za nisko, była podwójna, wargi wywinięte, policzki napuszone, a ponadto zwisające wcale nie jak u cherubina. Do tego zmarszczki na jej czole wyglądały jak pociągnięte linijką. Przerażona, oderwała instrument od ust. Pospieszyła do klawikordu, znowu się wyprostowała, cofnęła ramiona i z wyciągniętą brodą rzuciła z boku spojrzenie w lustro.

Tak, to zupełnie co innego! Teraz mogła na siebie patrzeć. Wdzięk i urok. Friederike będzie grać na flecie. Ona tak czy owak nie wie, czym jest wdzięk. Poza tym jest młoda, więc flet nie może zniekształcić jej twarzy. Theda zagrała kilka taktów na klawikordzie.

Friederike, która szła właśnie na górę, na dźwięk klawikordu potknęła się na schodach. Theda usłyszała hałas. Z pewnością jej córka zapomniała unieść brzeg sukni, żeby nie dotykał podłogi i by z wdziękiem mogła szybować po korytarzu.

- Wejdz, moje dziecko! - zawołała, słysząc pukanie. Friederike ostrożnie weszła do pokoju muzycznego i ze

zdziwieniem spojrzała na matkę siedzącą przy instrumencie.

- Hedi powiedziała, że mam do ciebie przyjść.

- Tak, dziecko. Jeszcze dzisiaj zanieziesz ten liścik do Altvaterów.

- A co w nim jest, mamó?

- Może nie zadawałabyś takich ciekawskich pytań? Ale dobrze, to żadna tajemnica. W sobotę świętujemy zaręczy-

ny twojego starszego brata połączone z małym muzykowaniem. Będiesz grała na flecie.

Theda przygotowała się na sprzeciw, ten jednak się nie pojawił.

Friederike przytaknęła, jej twarz płonęła rumieńcem. Teraz dopiero Theda zobaczyła, że córka stoi w rozpiętym płaszczu, z potarganymi włosami i czubkiem języka lekko wysuniętym spomiędzy warg, jakby chciała coś poczuć.

- Skąd właściwie wracasz? - Theda wyjrzała na korytarz i spojrzała na duży zegar ścienny. - Jest po trzeciej. Powinnaś była już godzinę temu wrócić od Madame Dupont. Gdzie się włóczyłaś?

Friederike zrobiła się jeszcze bardziej czerwona, pantofelkiem drapała podłogę i przełykała ślinę.

- Plotkowałeś z służącymi? Dziewczyna niemo potrząsnęła głową.

- Więc co?

- Spotkałam Christiana. Przed Instytutem. Razem poszliśmy do domu. Prawdopodobnie zagadaliśmy się.

- Aha. A więc z Christianem Altvaterem. O czym rozmawialiście?

- O tym i owym. Nic szczególnego.

Theda zmarszczyła czoło, ale nie pytała dalej. Miała inne zmartwienia. W końcu za cztery dni w jej domu odbędą się zaręczyny.

- Idź więc teraz i przekaż liścik - powiedziała tylko, a Friederike pomknęła w dół i jej słów nie można już było usłyszeć.

- Wojna! Jest wojna! Czy to nie wspaniałe!? Cieśla i Georg pokleпали się po ramionach. Stefan obawiał się, że zaraz złapią się wpół i będą tańczyć wokół stołu.

- A co takiego wspaniałego jest w wojnie?

Obaj kłapnęli na ławkę w gospodzie Pod Żelazną Ręką.

- Nie rozumiesz, patrycjuszu, czy nie chcesz zrozumieć? Etienne podniósł uspokajająco rękę i relacjonował najnowsze wieści z Francji.

- W Paryżu panuje niepokój. Zgromadzenie Narodowe jest za walką, nie chce się tak łatwo poddać. Brissot, poseł i bardzo znana osobistość w mieście, miał wykrzyknąć: „Nasz naród musi prowadzić wojnę, żeby postawić wolność na niezłomnych podstawach, musi prowadzić wojnę, żeby ze swojego łona wydalić tych mężczyzn, którzy mogliby tę wolność zniszczyć”.

- Tak właśnie jest. Na starym siewie nie będą dojrzewać młode plony. Wynocha ze starymi! Arystokraci na latarnie! -Policzki cieśli płonęły z zachwytu, jednak Etienne przerwał mu jednym ruchem ręki.

- Wasz cesarz Leopold II i król pruski Fryderyk Wilhelm obiecali Ludwikowi XVI wsparcie.

- Myślałem, że wasz król jest poza krajem, że ucieka przed rewolucjonistami? - wtrącił Stefan. - Tak przeczytałem w gazecie.

- To się zgadza, ale z zewnątrz nie można rządzić żadnym krajem. Celem króla jest doprowadzenie do stanu sprzed rewolucji i rozwiązanie Zgromadzenia Narodowego. Jeśli to będzie konieczne, za pomocą wojny. Tylko takie rozwiązanie odpowiada państwom sąsiadującym. Żadne z nich nie chce też mieć rewolucji u siebie. A poza tym chcieliby już zawsze podjadać z francuskiego ciasta. Jednak deputowani ze Zgromadzenia Narodowego nie są głupi. Są bliscy wypowiedzenia wojny Czechom i Węgrom, czyli Habsburgom.

- Co ma przynieść wojna? - zapytał Stefan

- Wolność - odpowiedział Georg zwięźle. - Wolność dla wszystkich.

Przyjdzie czas, kiedy nas wszystkich uzbroją. Pło-

mień wojny może w każdej chwili ogarnąć Rzeszę Niemiecką. Lepiej być przygotowanym. Stefan wstał.

- Dokąd chcesz iść?

- Nie jestem za wojną. Na wojnie walczą mężczyźni, którzy chcą w spokoju uprawiać ziemię i wychowywać potomstwo, przeciwko innym mężczyznom, którzy mają ten sam cel.

Teraz wstał również Georg, który przewyższał Stefana o głowę, i pchnął go z powrotem na ławkę.

- Jesteś jeszcze młody, Stefanie. Może niektórych rzeczy nie rozumiesz, patrzysz na nie z punktu widzenia patrycjusza. Ale uwierz mi, bogaci nic nie oddadzą biednym z dobrej woli. Przeciwnie. Przez stulecia wykorzystywali biednych, a przy tym stawali się jeszcze bogatsi i bardziej tłuści. Żaden Bóg nie dał im na to pozwolenia. Wzięli sobie po prostu to, co chcieli. A teraz przyszła kolej biedaków i wezmą sobie, co chcą. Tak to jest ze sprawiedliwością. Wzięliście to wtedy krwią, a teraz my krwią odbierzemy to, co wy nam zabraliście.

Stefan zamilkł, opuścił głowę. Następnie spojrzał na nich i zapytał:

- Nie chcecie już cesarza? Wszyscy potwierdzili.

- Ale kto wtedy miałby rządzić Rzeszą? Może jeden z naszych ładowaczy? Albo może ta dziewczyna z karczmy? Bo we Francji będzie wkrótce tak, że mężczyźni i kobiety będą równi. Albo weźcie naszą służącą. Nie potrafi ani czytać, ani pisać, a w głowie ma tylko mężczyzn. Czekam w napięciu, jakie ustawy ogłosi i jak będzie się troszczyć o sprawiedliwość.

- Myślisz jak patrycjusz i mówisz jak patrycjusz. Czyja to wina, że służąca nie potrafi ani czytać, ani pisać? Wysłaliście ją do szkoły? Nauczyciście czegoś, czego nie potrzebuje w gospodarstwie?

- Wykształcenie było i jest wysokim dobrem, mój drogi. A tobie podobni przez długi czas trzymali je z dala od prostych ludzi.

Stefan spoglądał to na jednego, to na drugiego. Zaatakowali go, uznali za winnego, nie wiadomo za co. Oczywiście, niczego nie nauczyli służącej.

Po co? Umiała wszystko, czego potrzebowała. Do rządzenia by to nie wystarczyło. Czy rzeczywiście była to wina zamożnych? Jego wina?

Obawiał się, że cieśla zaraz zadławi się swoim szyderczym śmiechem.

- Zostawcie mnie! - Zazgrzytał zaciśniętymi zębami, rzucił na stół trzy krajcary za wino i wypadł na zewnątrz.

- Musisz się zdecydować, Stefanie! - krzyczał za nim Francuz. - Z nami nadchodzi nowy czas. Albo pójdziesz z nami, albo zostaniesz przy starym porządku, którego czas się kończy.

Goście byli zaproszeni na godzinę trzecią po południu. Hedi ostatnie dni spędziła w kuchni. Theda wypożyczyła od sąsiadów dodatkową służącą i kucharkę, służącego ubrała w surdut Theodora i postawiła obok drzwi wejściowych.

Sama ciągle jeszcze nosiła czarną wdowią suknię, założyła jednak złoty naszyjnik, który popisywał się czerwonym rubinem wielkości orzecha laskowego, błyszczącym jak krew. Zrezygnowała z czepka, a zamiast niego włożyła upudrowaną perukę. Jej twarz była nieumalowana, jedynie policzki pokryła odrobiną różu z Paryża. Friederike stała obok matki.

Znowu miała na sobie suknię koloru prosiaka, tę samą co w wieczór sylwestrowy, ale tym razem nie czuła się w niej jak dynia, lecz jak tulipan z Amsterdamu. Jej piegi pokryte były białym pudrem, a oczy lśniły.

- Gdzie jest Stefan? - zapytała Theda, kiedy zegar wybił trzecią.

Friederike wskazała na schody prowadzące na górę. Stefan właśnie schodził w spodniach do kolan, białej koszuli i jedwabnej czarnej kamizelce. Wygląda dobrze, stwierdziła Theda, uspokojona. Postanowiła jeszcze zlecić parobkowi sprawdzenie blokady przy wjeździe dla dorożek. Brakowało tylko, żeby przyszli tu żebracy z miasta. Wkrótce przed domem pokazali się pierwsi goście.

- Gdzie jest Jago? Powinien się pospieszyć, goście idą. To są przede wszystkim jego goście! - krzyknęła Theda. - Stefanie, wiesz, gdzie on jest?

Stefan potrząsnął głową.

- W jego pokoju go nie ma. Chciałem coś od niego pożyczyć, ale go tam nie było.

Theda natychmiast wysłała służącą, żeby przeszukała cały dom i złapała narzeczonego. Tymczasem odezwał się dzwonek u drzwi.

Służący w surducie otworzył i rodzina Allbergerów wkroczyła do przedpokoju. Allberger, który najpierw trzymał kciuki zaczeplone o wycięcia kamizelki, teraz wyprostował rękę i przygotowywał się do ucałowania dłoni Thedy.

- Szczęść Boże, radczyni cesarska - powiedział i zaśmiał się, becząc. - Czy mam też mówić do was po imieniu, skoro zaraz będziemy rodziną? Śmiał się głośno z tego wybornego żartu. Theda uniosła brwi. Stara Allbergerowa rzucała jej przepraszające spojrzenia i nazywała ją wciąż „łaskawą panią radczynią”.

Barbara, w tej samej sukni greckiej, którą miała w noc sylwestrową, stała w przedpokoju i podziwiała z otwartymi ustami piękne, misternie rzeźbione frankfurckie szafy. Za nią rozpychała się kobieta, której spod kapelusika wysypywały się czerwone loki. Jej żywe oczy biegały jak myszy po holu.

Pod pachą niosła prostokątne duże pudło obite zielonym aksamitem.

- A wy kim jesteście, jeśli mogę zapytać? - powiedziała Theda majestatycznie, przyglądając się uważnie ubraniu tej dziwnej osoby. Kobieta miała bowiem na sobie grubą, farbowaną na niebiesko spódnicę z wyszywanymi lamówkami, białą bluzkę, a na niej wyszywany, sznurowany gorset z wstawką, nad którym przewiązana była chusta ozdobiona kwiatami gencjany. A na to wszystko ta baba, bo jak inaczej ją nazwać, zawiązała fartuch, spod którego wyglądały grubo dziergane pończochy kończące się w ordynarnych skórzanych butach.

- Herzguetl, łaskawa pani.

- Proszę?

- Dziwicie się, radczyni - wmieszał się Allberger. - To jest nasza Herzguetl. Tak, tak właśnie się nazywa. Piękne imię, nieprawdaż, takie praniemieckie, pomimo iż wywodzi się ze Szwajcarii. Ha, ha, ha! Stamtąd właśnie pochodzi nasza Herzguetl. Kiedy Barbara się urodziła, moja żona była obłożnie chora. Musieliśmy sprowadzić mamkę. Wtedy przyjechała Herzguetl, prosto z Appenzel. I od tej pory jest u nas.

- Tak, i ma przy mnie zostać, także wtedy, kiedy będę zamężna - dodała Barbara.

- Ach tak. - To było wszystko, co Theda mogła powiedzieć. Skąd pochodziła Herzguetl i dokąd zmierzała, to interesowało ją teraz najmniej. Chciała wiedzieć, gdzie jest Jago.

- Znalazłaś go? - spytała szeptem Friederike, jednak ta potrząsnęła głową. Po tym, jak wszystkie płaszcze odłożono na skrzynię, przybyli pozostali goście. Theda zaprowadziła ich do niebieskiego salonu. Chociaż zaręczyny miały się odbyć tylko w najbliższym kręgu, zaserwowała to, co miała najlepszego. Pośrodku stołu umieszczono tacę, obok srebrne dzbanuszki na śmietanę i cukier. Sama taca była zastawiona najwyższej klasy porcelaną. Zanim jeszcze Theda zdążyła wskazać gościom miejsca, Allbergerowie już usiedli. Herzguetl bry-

lowała przy stole, jakby była tu najważniejszą osobą. Theda przez chwilę zastanawiała się, czy nie przenieść jej do kuchni, postanowiła jednak poczekać z jej wychowaniem do czasu po weselu.

Ale gdzie jest Jago?

Hedi przyszła z dzbankami kawy, służąca nalewała, Theda kroїła ciasta, a Jaga nadal nie było. Tak więc Theda poleciła parobkowi biec do miasta i rozejrzeć się po kawiarniach.

- Przyrowadź go, cokolwiek by to kosztowało. A jeśli będzie pijany, zanurz mu głowę w najbliższej studni. I zeszczotkuj mu popiół tytoniowy z ubrania. Wielkie nieba! On musi zdjąć to swoje głupie, niebieskie ubranie Wertera. Ma mieć czarny surdut. Jeśli o mnie chodzi, może zrezygnować z *cravate*, tak chyba jest przyjęte wśród artystów. Ale przede wszystkim przyrowadź mi tutaj tego drania. Tylko żwawo! Tymczasem nikt dotąd nie zauważył, że brakuje Jaga. Friederike siedziała obok Christiana. Theda dobrze widziała, że zarówno jej prawa, jak i jego lewa ręka nie leżały na stole, ale w tej chwili miała inne zmartwienia. Stefan wywinął kołnierz kamizelki, tak że jakobińska kokarda była dobrze widoczna.

- Czy jesteście rewolucjonistą? - zapytał natychmiast Allberger i skrzywił się.

- Nie, proszę, Gustawie - błagalnie szepnęła jego żona, jednak Allberger, wzmocniony koniakiem, dopiero nabierał rozpędu.

Herzguetl kazała sobie nalewać filiżankę czekolady jedną po drugiej, mówiąc przy tym ciągle „po stokroć dziękuję” i potakując głową. Barbara oglądała wystrój salonu, jakby chciała go wycenić, a jej rodzice bardzo się starali, żeby się trzymać w ryzach. Eckehard von Hohenstein zaproponował Allbergerowi cygaro. Czegoś takiego stary kupiec jeszcze nie widział i najpierw podziwiał je lękliwie.

- Czy pochodzi to od francuskich Szwajcarów? Czy od francuskiej hołoty, tej okropnej? - dopytywał się. Następnie bardzo się przestraszył, kiedy poszedł mu gęsty dym z ust i nosa, kasłał, krztusił się, poczerwieniał, w końcu Herzguetl musiała długo poklepywać go po plecach. Potem jednak delectował się tym nowym wynalazkiem.

- Moja Luischen, to mi smakuje. Będę się prezentował jak światowy bywalec. Idź jutro i od razu kup mi tuzin.

Luischen Allberger uśmiechała się przepraszająco na wszystkie strony, szczególnie w kierunku ubranej ekstrawagancko Evy von Noesch, która zrobiła na niej mocne wrażenie.

Claudia Altvater, dwa lata młodsza od Friederike, zachichotała i została przywołana przez matkę do porządku, Stefan zaczął wciągać Allbergera w polityczne dysputy, Friederike i Christian byli na przemian bladzi i w pąsach, a Theda Geisenheimer za niczym nie tęskniła bardziej niż za tym, żeby ta okropna uroczystość już się skończyła. Było jeszcze trochę zamętu, kiedy Theda zabrała się do jedzenia tortu nożem i widelcem, co zaraz próbowała naśladować Allbergerowa. Eva von Noesch nie mogła przy tym powstrzymać śmiechu, zwłaszcza kiedy ta powiedziała:

- Zawsze wiedziałam, że tort powinno się jeść jedynie dużymi sztućcami. To zbyt okropne, kiedy maślany krem pozostaje na palcach.

Na co Allberger wziął palec żony i lekko go polizał. Teraz nawet baron von Hohenstein skrzywił usta. Herzguetl jeszcze raz zażądała czekolady, a kiedy wszyscy byli już najedzeni, kupiec Altvater zabrał się do wygłaszania mowy do młodej pary, a w szczególności do swojego chrześniaka Jaga. Dopiero teraz uświadomiono sobie, że go brakuje.

Wtem na schodach dał się słyszeć hałas. Theda podskoczyła, ski-

nęła do von Hohensteina, który również wstał. Jago został przywitany w drzwiach i posadzony obok matki, która wmusiła w niego najpierw trzy filiżanki czarnej kawy, w czasie gdy Altvater wygłaszał swoją mowę, a potem jeszcze dwie fiołkowe pastylki. Następnie przemówił Allberger, dając wyraz swojej radości z powodu stania się wkrótce członkiem rodziny.

- Bo nie tylko nasze dzieci będą się... ehm... pobierać, także między domami Geisenheimerów i Allbergerów, mam nadzieję, dojdzie wkrótce do zaślubin.

Tak więc wszystko zostało powiedziane i udano się do pokoju muzycznego.

Tam Theda zobaczyła ponownie zielone pudło.

- Co to jest? - zapytała i wskazała czubkiem palca na dziwny przedmiot.

- Moje cymbały - odpowiedziała Herzguetl i zdjęła zielony aksamit.

- Napisałyście, że powinniśmy przynieść ze sobą instrumenty - broniła jej Allbergerowa. - Barbara jest mistrzynią gry na cymbałach. Wszystkiego nauczyła się od naszej Herzguetl.

Eva von Noesch, która przyniosła skrzypce, a ponadto wyśmienicie grała na klawikordzie, stłumiła śmiech i zapytała uprzejmie:

- Gdzie i jak gra się na tych cymbałach?

- W Szwajcarii - brzmiała odpowiedź Barbary. - Herzguetl nauczyła się tego od swojej matki, a ona od swojego ojca, a on z kolei od swojej babki.

W Appenzell wszyscy grają na cymbałach.

Theda westchnęła.

- Mamy tylko nuty Mozarta. Nie sędzę, by w jego kompozycjach były przewidziane cymbały.

Pomachała przy tym ręką, żeby Herzguetl swoje cymbały wbiła ponownie w aksamit, jednak ta zachowywała się tak,

jakby jej te gesty nie dotyczyły. Przysłuchiwała się rozmowie z przyjaznym wyrazem twarzy, Barbara zaś odpowiedziała równie niewinnie:

- Nie będzie tak źle. Najpierw Geisenheimerowie zagrają swoją mozartowską muzykę, a potem my na naszych cymbałach.

Theda obejrzała się. Jago siedział na krześle w kącie ze wzrokiem wbitym w podłogę. Obok stał Eckehard von Hohenstein i opiekuńczo trzymał dłoń na jego ramieniu. Tak to przynajmniej wyglądało, ale Theda wiedziała, że chciał mu uniemożliwić przewrócenie się.

- A więc zaczynamy od Mozarta.

Theda usiadła przy klawikordzie, Friederike wzięła flet, Eva von Noesch swoje skrzypce, a Christian wcisnął między kolana wiolonczelę. Inni zajęli miejsca z boku na obitych krzesłach. Ten mały koncert nie zyskał właściwego uznania, mimo iż zagrano całkiem porządnie, jak sądziła Theda. Przeszkadzały jedynie uwagi Allbergera. Zakończyła występ przedwcześnie, zwłaszcza że Jago robił się coraz bardziej błądy.

Następnie rozstawiono cymbały i Barbara zagrała dwie melodie, które zrobiły na Thedzie wrażenie prostych i ludowych.

Młoda kobieta nie skończyła jeszcze trzeciego utworu, kiedy Theda klasnęła w dłonie.

- Wspaniale, naprawdę wspaniale, moja droga Barbaro. Eva von Noesch, która opierała się o ścianę obok pieca

kaflowego, teraz się wyprostowała i zapytała:

- Czy tego instrumentu nie nazywa się gdzie indziej *cymbał*⁷. Wydaje mi się, że tak mówią na to w Paryżu. Przynajmniej na przedmieściach.

- *Cymbał* - powtórzyła Theda. - To słowo ma eleganckie brzmienie.

Myślę, droga Barbaro, że od dzisiaj będziemy mówić *cymbał*. Jestem dumna, że będę miała tak uzdolnioną synową, która potrafiła opanować grę na tak trudnym instrumencie.

Po tych słowach przepędziła gości z powrotem do niebieskiego salonu, który tymczasem uprzątnięto. Państwo usiedli, nalano likiery i szlachetne trunki. Wino z Szampanii, które ostatnio było w modzie i pochodziło bezpośrednio od producenta Möt & Chandon z Épernay, stało schłodzone w lodowatej wodzie, podczas gdy odpowiednie kieliszki przynoszono z gabloty.

Następnie Theda przybrała stosowną postawę i lekko uderzyła paznokciem w swój kieliszek. Pomruk głosów ucichł, twarze zwróciły się ku niej.

- Drodzy przyjaciele, zebraliśmy się tu dzisiaj, żeby ukoronować zaręczynami miłość naszych dzieci, Jaga i Barbary. Podejdźcie do mnie, oboje.

Barbara podniosła się i ze ściągniętymi ramionami sztywno podeszła do przodu. Jago jeszcze lekko się kołysał.

Theda uroczyście połączyła dłonie młodych i powiedziała: „Co łączy te dwie dłonie, tego nikt nie powinien rozdzielić”, po czym podała Jagowi aksamitne etui z pierścionkiem, który sama otrzymała kiedyś od zapomnianej już ciotecznej babki. Jago niezręcznie nałożył go na palec swojej narzeczonej, a potem dał jej całusa. Barbara poczerwieniała i niezręcznie pocałowała go w policzek. Następnie nalano szampana, którego Allberger jednak nie zaakceptował i zaczął wypluwać.

- Przecież w tym są wodne wszy, swędzi mnie w całym brzuchu - narzekał.

Eva von Noesch natychmiast zaczęła mu wyjaśniać, na czym polega wyrafinowanie napoju. Allbergerowa przysłuchiwała się, a potem piła z oddalonym małym palcem.

Nagle podniósł się Jago, wygrzebał z kieszeni surduta zabrudzoną kawą kartkę i zapowiedział wiersz. Potem zrobił parę niepewnych kroków, uniósł w górę kartkę i czytał, spoglądając ciągle na narzeczoną.

*Co trudno ukryć? Ogień, wierzę, Bowiem za dnia go zdradzi dym, A w nocy płomień, dzikie zwierzę. Lecz trudno ukryć na równi z nim Miłość. Najgłębiej choć ukryta, Każdy ją z oczu wyczyta**.

Kiedy skończył, spojrzał na matkę. Ta uniosła brwi i skrzywiła usta.

- Teraz - powiedziała - Jago ćwiczy się w układaniu wierszy.

Herzguetl prychnęła, podczas gdy Eva von Noesch wdzięcznie uniosła brew.

- Jeszcze jeden - zapowiedział Jago. Wyciągnął z kieszeni wyświechtaną książeczkę, na której okładce widniało wygrawerowane złotymi literami nazwisko Goethego, otworzył ją i czytał:

Wierzchołki drzew gną się ku ziemi, Zawiozę cię do domu końmi moimi. Ptaki pieśń ci ćwierkają nieznaną, Jakiej na tym świecie jeszcze nie śpiewano. Kwiaty skłaniają główki ku tobie, Wnet będziesz je miała w alkowie. Życie będzie takie, jak ci się podoba, Najśłodsza na świecie, narzeczono droga.

Teraz wszyscy głośno bili brawo, tylko Theda rzuciła synowi pogardliwe spojrzenie.

- Zostań przy Gothem, mój chłopcze. On potrafi pisać wiersze. Tobie nie było to dane.

Eva von Noesch chciała coś powiedzieć, jednak nie do-

*** Johann Wolfgang Goethe, Wyznanie, przełożył Stanisław Jerzy Lec.**

szło do tego, bo Jago z całej siły rzucił na środek stołu książeczkę, tak że szampan rozprysnął się z kieliszków.

- Tak to właśnie wygląda, kiedy jest się prorokiem we własnym domu.

Gdybyście wiedzieli, jakie to wszystko żałosne.

Po tych słowach rzucił się do drzwi. Theda zakłopotana spojrzała za nim.

Eva chwyciła książeczkę i zaczęła się śmiać.

- O co chodzi? - zapytała Theda, podczas gdy Allberger jeszcze raz uważnie kosztował „tej lury”, a Barbara położyła na kieliszku dłoń z pierścieniem.

- To pierwsze, droga Thedo, było Goethego. A to ostatnie, co przypisałaś wielkiemu poecie, to był wiersz Jaga.

- Tak? - Theda sięgnęła po książkę i zaczęła ją przeglądać. - No tak, także Goethe zaczynał w końcu od małych rzeczy. Naśladować go to nie sztuka, każdy to potrafi.

Dała znak służącej, żeby jeszcze raz napełniła kieliszki. Tylko córce nie pozwoliła już więcej pić, bo bez tego była czerwona jak latarnia przed domem uciech.

Wtem wyskoczył Stefan, który całe popołudnie był powściągliwy.

- Wszystko kłamstwa! - krzychał. - Mówicie o miłości, ale to wszystko są kłamstwa. Jago w ogóle nie zna swojej narzeczonej, a Barbara zna Jaga tak samo mało. Poślubiacie ich, bo to jest dobre dla interesów. Interesy, interesy, interesy, pieniądze, pieniądze, pieniądze. O niczym innym nie myślicie. Nic innego nie znacie. Ale tam, na zewnątrz... - Wskazał palcem na okno. - Tam na zewnątrz są ludzie, prości ludzie, którzy z gruntu są szczerzy, których moralność coś znaczy, i miłość, i rodzina, i dzieci. Chcą sprawiedliwości, ale wy nie wiecie, co to jest. Czyż jest sprawiedliwe zmuszać dwoje ludzi do wspólnego łoża, bo weksle ich rodziców tak pięknie do siebie pasują? Czy to jest wolność, kiedy mężczyzna i kobieta nie mogą sami wybrać, jak, gdzie i z kim

będą żyć? Czy zauważyliście, pomiędzy tym całym waszym pluszem i szampanem, Mozartem i Goethem, jak niewolni jesteście?

Z tymi słowami zerwał kokardę z kamizelki, rzucił ją na stół i wybiegł.

Allberger obejrzał się zdumiony i parsknął gromkim śmiechem.

- Temperament! - zawołał. - Mają temperament wasi chłopcy. Nie obawiam się o przyszłość u Boga.

Theda uśmiechnęła się, spojrzała na Barbarę, która wydawała się niewzruszona, i pomyślała, że jej wybór nie był wcale taki zły.

Stefan milczał. Od czasu zaręczyn siadał cicho do stołu, na pytania Thedy odpowiadał tylko jednym skinieniem albo potrząśnięciem głowy, a natychmiast po jedzeniu wstawał i znikał gdzieś, jak zawsze.

Z bratem też nie zamienił ani słowa, jedynie z Friederike jeszcze rozmawiał, no i oczywiście z Hedi.

- Co znowu z tym chłopakiem? - pytała Theda kucharkę.

- A co ma być? Jest wściekły.

- Na kogo?

Hedi wzruszyła ramionami.

- Na wszystko i na nic, na siebie, na was i na cały świat, i na księżyc do tego. Jest teraz w tym wieku, kiedy wszystko jest okropne.

- Czy to ma coś wspólnego z rewolucją? Ona powoli staje się uciążliwa.

- Może tak być. Kucharka Altvaterow ma brata, który czasem siedzi w Żelaznej Ręce. Raz widział tam Stefana w towarzystwie rzemieślników. Theda zmarszczyła czoło. Myśl, że jej syn zbratał się z rzemieślnikami, zaniepokoiła ją.

- Przyślij go do mnie, kiedy przyjdzie. Słyszysz, Hedi? Kucharka przytaknęła.

Theda wspięła się po schodach na górę i po raz pierwszy od śmierci Theodora Geisenheimera weszła do pokoju nazywanego przez niego gabinetem.

Trąciło stęchlizną i trochę czymś kwaśnym. Theda odsłoniła obydwie okna i obiegała wzrokiem pokój. Za trzy miesiące odbędzie się wesele. Gabinet będzie wykorzystany. Barbara mogłaby się urządzić w jej salonie. Czerwone aksamitne tapety były wprawdzie drogie, ale jeśli młoda synowa będzie chciała coś zmienić, to, na Boga, powinna to zrobić, żeby jej się podobało. Także mebli Theda nie chciała skąpić. Jedynie sprawę sukni należałoby dobrze przemyśleć. Jeśli sprezentowano by Barbarze zbyt dużo i zbyt ładnych sukni, mogłaby stać się próżna. Suknie, które miała, były może dobre do pracy w biurze, ale z pewnością nie na pójsie do Komedii Miejskiej czy na herbatkę u matki Goethego. Dla Herzguetl znalazłaby się izba na górze. Gdyby chciała, mogłaby sobie wyszukać na strychu, co by jej było potrzebne.

Biurko, wielkie jak drzwi, obite na rogach skórą, dałaby Jagowi. Mógłby sobie bazarować na nim swoje wiersze. Stefan powinien mieć srebrny neseser. I tak nadejdzie czas, żeby go wysłać na studia. Obrazy dobrze by pasowały do klatki schodowej, stojak na kapelusze można by było tymczasem postawić na strychu.

Theda podeszła do jednej z szaf i otworzyła ją. Wisiały w niej ubrania Theodora. Doleciał ją delikatny zapach lawendy, mocniejszy tytoniu i trochę także Theodora. Wyjęła rzeczy i rzuciła je na łóżko. Surduty, kamizelki, spodnie do kolan, jedwabne pończochy, koszule z jedwabiu i najlepszego lnu, kurtki, kapelusze, czapki, apaszki, rękawiczki, futro, buty z czarnej, brązowej i szarej skóry, bielizna nocna, do tego paski i ubrania po domu. Następnie otworzyła szuflady dużego sekretarza, wyciągnęła tabakierki i lorniony, grzebienie z kości słoniowej, fajki ze

srebrnymi niezbędnikami, najdelikatniejsze pióra i srebrne kałamarze, do tego lak do pieczętowania i srebrną piersiówkę noszącą inicjały Theodora, wypełnioną jeszcze do połowy koniakiem. To wszystko piętrzyło się teraz obok ubrań na łóżku. Usiadła przy biurku, wertowała papiery Theodora i czytała stare listy. Po jakimś czasie przyszedł do niej Stefan.

Bez słowa stanął w otwartych drzwiach i spojrzał na nią pogardliwym wzrokiem.

- Mój drogi, myślałam o twoich słowach na temat zaręczyn Jaga - zaczęła Theda rozmowę. - Nie chcę popierać rewolucji, ale pewne sprawy, o których mówiłeś, zmusiły mnie do myślenia. A potem do działania. Odwróciła się i wskazała na zarzucone ubraniami łóżko.

- Tam są rzeczy twojego ojca. Weź je i rozdaj żebrakom. Weź też srebra. To, co chcesz zachować dla siebie, zachowaj, a wszystko inne daj tym, którzy tego potrzebują.

Stefan przez chwilę stał z otwartymi ustami. Potem uśmiechnął się, rzucił się do matki i pocałował ją w rękę.

- Wiedziałem, *chere maman*, że masz wielkie serce. Ty również nie mogłabyś patrzeć na nikogo cierpiącego.

- Tak, tak! - Theda pogłaskała syna po ramionach i uśmiechnęła się do niego. Pomyślała przy tym, jaką radość by jej sprawiło, gdyby zobaczyła ubrania Theodora na miejskich żebrakach. On sam byłby zły, że tak postąpiła. Obracałby się w grobie jak ubij acz do ciasta, kiedy Hedi mieszała pudding, tego była pewna.

Przez krótką chwilę przypomniała sobie o uczuciu imieniem wstyd.

Zbrukała wspomnienia o swoim mężu, ale wciąż jeszcze była tak wściekła na niego, na siebie, na swoje życie, które wydawało jej się tak nieodwracalnie stracone. Nie mogła zrobić nic innego, jak tylko w ten sposób zemścić się na Theodorze Geisenheimerze. Przy tym, jeśli dobrze myślała, on by jej czegoś takiego nigdy nie zrobił. Ale Theda nie chcia-

ła myśleć, chciała działać. Zebrała stosy ubrań, wetknęła synowi w rękę, westchnęła, przesunęła ręką po czole i wróciła do innych zadań. Odkąd paki wystrzeliły, a słońce zaczęło ogrzewać wrzosowiska, Friederike i Christian prawie codziennie wychodzili poza bramę miasta. Tu spotykało się od czasu do czasu co najwyżej kobiety z dzielnic biedoty, które rozglądały się za ziołami lub grzybami. Podniecenie pierwszego pocałunku już minęło, jednak łaskotanie w brzuchu, które Friederike odczuwała, ilekroć widziała Christiana, stało się mocniejsze. Wieczorami marzyła o jego miłości i życiu z nim. Teraz szła przy jego ramieniu i czuła się chroniona i silna. Silniejsza i pewniejsza niż kiedykolwiek. Niedawno stanęła nawet przed lustrem i odkryła, że są brzydsze od niej. Christian sprawił, że jestem piękna, myślała, i uśmiechała się przy tym.

- Muszę ci coś powiedzieć, mój tulipanie. - Christian, mówiąc to, wyglądał tak poważnie, że przestała się uśmiechać.

- Co się stało? Coś złego?

Christian wziął twarz Friederike w dłonie i spojrzał jej w oczy.

- Wyjeżdżam. Ojciec wysłał mnie do Lipska, na studia.

- Co? Wyjeżdżasz? Tak daleko? Kiedy? Na jak długo?

- Wkrótce. Za tydzień. Mam studiować prawo. W Lipsku, bo w Jenie i Marburgu studenci sprzymierzyli się z rewolucjonistami. Dlatego Lipsk. Poza tym ojciec bywa tam co pół roku i może mnie kontrolować.

- Na jak długo? - Friederike z przerażenia miała oczy szeroko otwarte.

Nagle wszystko zaczęło ją boleć. Poczowała się słaba i musiała oprzeć się o Christiana, żeby nie upaść na kolana.

- Cztery lata, jeśli dobrze pójdzie. Ale będę cię odwiedzał tak często, jak tylko będę mógł.

Oczy Friederike wypełniły się łzami. Chciała coś powiedzieć, jednak nie wydusiła ani słowa. Zostań tu i nie zostawiaj mnie samej! Albo chociaż zabierz mnie ze sobą, krzyczało w niej. Ale z jej ust wydobyło się tylko głębokie westchnienie. Potem rzuciła się na jego pierś, objęła go ramionami i trzymała tak mocno, jakby już nigdy nie chciała go puścić.

A Christian trzymał ją. Długo tak stali. Dopiero kiedy szlochanie Friederike osłabło, Christian powiedział cicho:

- Chciałbym zabrać ze sobą coś od ciebie. Coś, co zawsze mi będzie przypominało o tobie. Coś, co dla nas obojga ma wielką wartość.

Friederike spojrzała po sobie.

- Nie mam nic, nic, co mógłbyś włożyć do torby. Jedyna rzecz, jaką mogłabym ci ofiarować, tobie i nikomu innemu, to moja cnota.

Christian przełknął ślinę.

- Czy naprawdę tego chcesz?

- Tak - wyszeptała Friederike. - Naprawdę tego chcę. Zdjęła wełnianą chustę z ramion i rozpięła niezdarnymi palcami gorset.

Jago siedział w kawiarni. Było wcześnie rano, na niektórych stołach stały jeszcze odwrócone krzesła. Oprócz niego nie było żadnego gościa.

Dziewczyna postawiła przed nim bez słowa filiżankę kawy ze śmietanką. Kiedy chciała wrócić do kuchni, złapał ją mocno za rękę.

- Wkrótce się ożenię, moja Erato.

- To cieszcie się, panie. Nie ma powodu zwieszać nosa na kwintę.

- Nie wiesz, dlaczego wierzby płaczące są obecnie moimi ulubionymi drzewami? Czy naprawdę nie wiesz, moja Erato?

Dziewczyna spuściła głowę i pozwoliła mu pociągnąć się na kolana.

- Mogę się tylko domyślać, panie. Wytworną damę poślubicie, nieprawdaż? Taką, która umie się zachować i nosi piękne suknie. Taką, która o wiele lepiej do was pasuje niż wyszynkowa dziewczyna nieumiejąca ani czytać, ani pisać.

- Ale ty, moja Erato, ty jesteś moim pożądanym, moją muzą. Ty jesteś tym, czego potrzebuje poeta. Spójrz, nasz wielki Goethe żyje razem z Christiane Vulpius, ze zwykłą dziewczyną. I zobacz, co on pisze.

Potrzebuję cię, moja Erato. Musisz mi obiecać, że będziesz mi wierna także wtedy, kiedy już będę żonaty.

Dziewczyna przesuwiała się tam i z powrotem na jego kolanach.

- A co będzie, jak mnie jakiś będzie chciał poślubić? Jago zeszywniał i odsunął od siebie dziewczynę, tak że mógł jej spojrzeć w twarz.

- Nie zrobisz tego, moja Erato. Nie możesz. Kiedy nie będzie cię przy mnie, będę bez muzy, bez Boga, bez radości, a nawet bez życia. Spoglądał na nią ze strachem i nieufnością.

- Czy jest jakiś, który się tobą interesuje?

- Jak najbardziej - odpowiedziała dziewczyna bez chwili namysłu. - Ale wiecie, żaden z nich nie jest taki jak wy.

- A więc kochasz mnie, moja Erato? Dziewczyna przytaknęła i zeskoczyła z jego kolan.

- Ale jak Goethe poślubi kiedyś swoją Christiane, wtedy i wy musicie mnie wziąć za żonę.

Jago ponownie przyciągnął ją do siebie i okrył jej szyję pocałunkami.

- Moją żoną, moją kobietą jesteś już teraz. Jesteś tą, do której od Boga należę. Tylko ludzi muszę zmylić, ale nie ciebie i nie Boga.

Erato w zdenerwowaniu zaczęła obgryzać paznokcie.

- Ale ojciec - mówiła - ojciec powiedział, że mnie przepędzi, jeśli będę miała w brzuchu bękart. Co wtedy zrobicie, panie?

- Nie musisz się o to martwić, Erato. Nie będziesz miała ze mną dziecka. Spójrz, każdego dnia kobiety leżą obok mężczyzn. Jeśli za każdym razem byłoby z tego dziecko, to nie można by było przejść ulicami Frankfurtu, ponieważ wszędzie roiłoby się od dzieci. Nie, nie martw się. Mężczyzna wie, jak zabezpieczyć się przed nieszczęściem.

- Ale... - zaczęła Erato, lecz Jago zamknął jej usta pocałunkami.

- Nie mów już nic, moje dziecko.

Jago wstał, poprowadził za sobą do piwnicy z winami, przesunął palcami po jej piersi, okrył szyję pocałunkami, pogłaskał uda, wycisnął pocałunek na jej łonie, a potem oparł ją o beczkę wina, rozpiął rozporek i zrobił z muzy poezji miłosnej muzę miłości.

Theda była z siebie dumna. Zareczyła Jago, uspokoiła Stefana i tak oto zatroszczyła się o porządek i spokój w domu Geisenheimerów. Jedyne Friederike wydawała jej się odmieniona. W ciągu nocy straciła całą swoją niezgrabność, dojrzała, z dziewczyny zrobiła się panną. Dbała nawet o fryzurę, troszczyła się, żeby jej suknie odpowiadały modzie i interesowała się bardzo życiem dorosłej kobiety jej stanu. Oczywiście Theda nie zapomniała, że Christian Altvater, syn sąsiadów, podczas uroczystości zareczyn trzymał Friederike za rękę pod obrusem. Ale czy to dziecko wiedziało właściwie, co to znaczy być kobietą?

Theda udała się do biblioteki i szperała w regałach. Szukała poradnika małżeńskiego, czegoś medycznego ze wskazaniem na Biblię. Wreszcie znalazła książeczkę obłożoną czerwoną skórą, której złoty napis stał się prawie niewidoczny i której brakowało strony tytułowej. Uśmiechnęła się. To było podobne do Theodora! Nie chciała sobie wyobrazić, ile wieczorów spędził potajemnie na czytaniu tej książeczki. A także jak wydrapał złoto z liter i spalił stronę tytułową, żeby nikt nie zauważył, jaki rodzaj literatury ma w swoich zbiorach.

Wyciągnęła więc tę książeczkę, udała się na fotel i przysunęła bliżej siebie lampę olejną. Szybko zawołała jeszcze służącą i poprosiła ją, by przyprowadziła Friederike i przyniosła dwie filiżanki czekolady, ale za kwadrans, nie wcześniej.

Potem przekartkowała książeczkę, uśmiechając się ciągle i potrząsając głową. Kiedy stojący w przedpokoju zegar wybił kolejny kwadrans, zapukano do drzwi. Służąca przyniosła czekoladę i przyprowadziła Friederike.

- Chodź, usiądź, moje dziecko, mam z tobą do pomówienia.

Friederike zrobiła, jak jej powiedziano. Miała na sobie prostą suknię, która przed kilkoma miesiącami maskowała jej kanciastą figurę, dzisiaj jednak podkreślała jej kobiecość. Dziewczyna siedziała z mocno przyciśniętymi do siebie kolanami i powściągliwie złożonymi rękami. Miała lekko zaróżowione policzki i czerwone usta.

Theda przysunęła jej filiżankę czekolady na małym marmurowym stoliku, a potem nagle zapytała:

- Jak to właściwie jest u ciebie z miłością? Friederike poczerwieniała aż po szyję.

- Nie wiem, co masz na myśli, *chere maman*.

- Nie mów tak. Trzymałaś się z Christianem Altvaterem za ręce, bledniesz i czerwienisz się na zmianę, jak tylko wymawia się jego imię, w twoim pokoju stoją co jakiś czas kwiaty, których ci nie kupiłam. A więc?

- Tak, on mi się podoba - wydusiła Freiderike.

- Aha. Chcesz go poślubić? Mam na myśli kiedyś? Friederike zagryzała teraz mocno usta.

- On wyjeżdża na studia do Lipska. O tym, co potem, nie rozmawialiśmy.

- Ładnie. Bardzo ładnie. - Theda w myślach zatarła ręce. Jak dużo załatwia się samo przez się, pomyślała. Mimo to już pora oświecić dziewczynę.

- Co wiesz o miłości pomiędzy mężczyzną a kobietą? -zapytała.

Teraz Friederike spojrzała do góry.

- Kobieta musi być posłuszna mężczyźnie, on jest jej przewodnikiem.

- No tak, tak to można widzieć, jak się chce. Ale czy wiesz także, co się dzieje w nocy w sypialni małżonków?

Friederike wyglądała tak, jakby zalała się krwią. Niemo potrząsnęła głową i gapiła się na swoje kolana. Theda również poczuła się zakłopotana.

- Czy Madame Dupont nic wam o tym nie powiedziała?

- Nie, mam.

- Hmm... Czego właściwie uczą nauczycielki w dzisiejszych czasach? A więc, w sypialni małżeńskiej robi się dzieci.

- Tak.

- A wiesz, jak to się robi? Jak przy tym powinna się zachowywać kobieta? Co jest właściwe, a co nie?

Friederike głośno przełknęła ślinę, zaczerwienioną twarz spuściła jeszcze niżej i niemo potrząsnęła głową.

- Na miły Bóg, dziecko, nie utrudniaj mi. Nie zachowuj się jak zakonnica. Każdy to robi, a zanim się to zrobi, dobrze jest wiedzieć, jak się to robi. O mój Boże!

Theda wzięła łyk gorącej czekolady i zlizwała śmietankę z górnej wargi.

- A zatem, mam tutaj książeczkę i w niej jest to, co musisz wiedzieć. Jednakże byłoby szkodliwe pozostawienie ci tego

traktatu do wyłącznej lektury. Niektórych rzeczy może byś nie rozumiała, mogłoby cię to wystraszyć. Więc poczytam ci z niej, a ty powiesz mi potem, czego nie rozumiałaś.

- Tak, mammo.

Theda wzięła książeczkę do ręki i trzymając lornion przed sobą, zaczęła czytać.

- Jest tu napisane: „Kobieta podczas pełnienia obowiązków małżeńskich powinna zachowywać się tolerancyjnie. Samodzielne działania z jej strony nie są przewidziane w roli wyznaczonej jej przez naturę. Mężczyzna jest stroną płodzącą, a więc działającą”.

- Czy dotąd rozumiałaś?

Friederike znowu przełknęła ślinę, zanim cichym głosem powiedziała: - Tak, mammo.

- Dalej jest napisane: „Kobieta jednak w pewnym sensie musi brać udział w stosunku, ponieważ ospałość mężczyzny będzie tłumaczona jako jej oziębłość i brak miłości, co mogłoby mu popsuć humor, a nawet go odstraszyć”. Ty więc musisz wnieść swoją część, jeśli dalej wszystko rozumiałaś, Friederike?

Teraz dziewczyna spojrzała w górę, trzymając jednak palce splecione na kolanach.

- Co robi kobieta, żeby nie sprawiać wrażenia ozięblej? Theda przekartkowała książeczkę kilka stron w przód, potem w tył, jednak nie znalazła odpowiedniego miejsca.

- No tak, kobieta powinna od czasu do czasu jęczeć. Czasami dopiero lekkie klepnięcia w pośladki mężczyzny budzą w nim pożądanie.

Friederike otworzyła szeroko oczy.

- Mam spuścić Christianowi lanie? Theda westchnęła i spojrzała w sufit.

- Oczywiście, że nie masz spuścić mu lania, nie, dziecko, tylko spiąć go ostrogami, rozumiesz? Jeździec także nie bije swojego konia, tylko spina go ostrogami.

Friederike była zmieszana. Przełykała ślinę i spoglądała to na matkę, to na książeczkę.

- Czy teraz zrozumiałaś? - Theda nie mogła opanować zniecierpliwienia w głosie.

- Tak. Nie. Powinam go spać jak konia.

- No, nareszcie. Tak, ale bez bata i ostróg.

Theda znowu kartkowała traktat, a potem przeczytała:

- „Kobieta powinna się wystrzegać prowokowania i podniecania mężczyzny sztucznie”.

Spojrzała na Friederike, która siedziała na krześle okropnie spięta, i powiedziała:

- No tak, ten rozdział mogę przy tobie pominąć. Jeszcze raz badawczo spojrzała na córkę i zapytała:

- Nie prosisz tego młodego Altvatera o pocałunki? Friederike drgnęła ze strachu.

- Nie, nie. Naprawdę nie.

- To dobrze. Poza tym ważne jest, by zachować spokój po odbytych stosunku. Mężczyzna musi odpocząć po utraconych sokach, a kobieta musi odpocząć, żeby męskie nasienie mogło osiąść. A teraz jeszcze o częstotliwości. Na początku małżeństwa mężczyzna jeszcze naciska.

Także temu kobieta nie może się poddać. Jesteśmy ewangelikami i trzymamy z Lutrem, który powiedział:

„W tygodniu dwa razy,

Czyni w roku sto cztery,

I nie szkodzi ani tobie, ani mnie”.

- Czy to jest dla ciebie przystępne, moje dziecko? Friederike przytaknęła.

- Masz jeszcze pytania? Friederike potrząsnęła głową.

- Dobrze, więc pij swoją czekoladę. Muszę iść dopilnować kolacji.

Wiosna ustępowała wczesnej porze letniej. Wszędzie panowały lekkość i swoboda. Młodzi ładowacze pracowali na podwórzu bez koszul. Theda stawała czasem w salonie za zasłoną i dyskretnie przyglądała się grze ich mięśni. Służące ciągle były podniecone uroczystościami, które świętowały w swoje wolne dni i nawet Hedi śpiewała przy pracy w kuchni piosenki.

Dokładnie za dwa tygodnie, w czwartek, 21 czerwca 1792 roku, odbędzie się wesele Jaga i Barbary.

Theda długo się zastanawiała, czy na tę okazję powinna wynająć dom bractwa Alten Limpurg, co dla ludzi jej stanu było oczywiste. Pomyślała jednak o Allbergerach, w szczególności o Gustavie Allbergerze. Może już się przyzwyczył do wszawej wody? Planowała obchodzić tę uroczystość w małym gronie. Gdyby jednak zrezygnowała z domu bractwa, starzy limpurgczycy pewnie wycieraliby sobie tym gębę i wyciągali złe wnioski co do kondycji domu kupieckiego Geisenheimerów. Tego ryzyka Theda nie chciała podjąć. Tak więc zarezerwowała dom Alten Limpurg i zaprosiła wszystkich, kto tylko wpadł jej do głowy. Allbergerowie, miała nadzieję, utoną w tłumie. O wydarzeniu zostali także powiadomieni krewni z Lipska. Ciotka Brigitte miała przyjechać ze swoim mężem już za tydzień,

a pokoje gościnne nie były jeszcze przygotowane! Dla Barbary Theda kazała zamówić u krawca suknię, której wzór wzięła z najnowszego „Żurnala Luksusu i Mody”.

Barbara zgodziła się, zażyczyła sobie jednak prawdziwych brukselskich koronek. Tak jak wyprawienie zaręczyn, tak i finansowanie wesela i naturalnie sukni panny młodej powinno być sprawą jej rodziców. Ale Jago nie mógł przyprowadzić do domu kupieckiego Geisenheimerów, po pozbawionej blasku uroczystości, biednie ubranej panny młodej. Theda przejęła więc dyskretnie dobrą część kosztów. Ale brukselskie koronki? Tego było już za wiele. Zwróciła uwagę Barbary na saksońskie wyroby z Plauen, równie dobre i nie tak drogie. Wino zamówiono w Rheingau i miało przybyć w najbliższych dniach statkiem z Mainz, tak samo jak woda ze Schwalbach, której przypisywano właściwości lecznicze. Ponieważ rodzina w czasie uroczystości zaręczyn zrezygnowała z gratulacji, musiała przygotować stosowne przyjęcie. Theda przypomniała sobie, jak jako dziecko widziała trzystu pięćdziesięciu gości podczas gratulacji na zaręczynach Johanna Georga Leersea z Joanną Elizabeth d'Orville, pośród których byli liczni obcy dżentelmeni z różnych dworów. Miała nadzieję, że wesele z Allbergerówną nie narobi aż tyle wrzawy, ale wolała być przygotowana. Przewornie zarezerwowała pokoje w różnych hotelach, żeby ulokować tam krewnych. W domu mieszkaliby ci z Lipska, do tego cioteczna babka Luzie, która miała ponad siedemdziesiąt lat i której hotelowy pokój nie przystoi.

Theda pospiesznie pobiegła z domu do biura. Niepokoiła się o porządek, ale prokurent Kalis ją uspokoił.

- Wszystko idzie tak jak powinno, pani radczyni. Przyprawy z Genui przybyły punktualnie, także wystarczająco dużo kawy, herbaty i czekolady, do tego tytoń i po raz pierwszy kilka pudełek cygar. Listy są już na poczcie w Czerwonym Domu i jutro będą przesłane dalej.

- Dobrze, dobrze - dyszała Theda. Nie dała sobie czasu na kontrolę ksiąg biurowych i pospieszyła z powrotem do domu, gdzie kilka praczek za w sumie trzydzieści guldenów prało całą pościel. Hedi stała w czystym fartuchu na progu pralni i Theda usłyszała, jak poucza podkuchenne.

- Kiedyś praczki przychodziły co tydzień. Ale teraz, gdy jest wystarczająco lnianych rzeczy i sukien, jest elegancko, żeby przychodziły co kwartał. - Odwróciła się i krzyknęła w stronę pralni: - Czy byliście już u pani Goethe? Czy ma więcej białej bielizny niż my? Theda nie czekała na odpowiedź, tylko zawołała Hedi do siebie.

- Co robi Stefan? Już dawno go nie widziałam. Hedi uniosła ramiona.

- Ja też nie, pani. Ale kiedy jest tutaj, ma doskonały humor. Słyszysz się, że król Francuzów ugiął się i robi teraz te swoje rzeczy ze Zgromadzeniem Narodowym.

- A Jago?

- On robi to, co zawsze robił. Siedzi w kawiarni, czyta gazety, gada z innymi mężczyznami i czasami gra w bilard, tak mówi. A w niedziele między piątą a ósmą chodzi do Czerwonego Domu, jak przystoi Geisenheimerowi. Dokładnie tak jak inni mężczyźni jego stanu.

Theda przytaknęła. Właściwie powinna być z tego zadowolona, bo w Czerwonym Domu dobito niejednego dobrego targu. Przypuszczała, że Jago sam sobie powetuje krzywdę. Wiedziała, że grał także w taroka, lombra i inne gry, ale tym nie powinna się teraz martwić.

Weselne przygotowania niepostrzeżenie przemknęły obok Friederike.

Przeforsowała nową niebieską suknię według greckiego wzoru, która pod piersiami sznurowana była wąskim srebrnym sznurkiem i delikatnie marszczona opa-

dała na ziemię. Poza tym chodziła na lekcje do Instytutu Madame Dupont, a po nich pisała do Christiana listy pełne tęsknoty. Kiedy napisała pierwsze zdanie: „Tęsknię za tobą tak bardzo...” - nie wiedziała, co dalej. Co miała mu napisać? Że Jago się żeni, to wiedział. Czy miała mu opisać, co robi w Instytucie? Jaką suknię kazała sobie uszyć młoda Bolongaro? To nie zainteresowałoby Christiana. Tak więc siedziała przy swoim sekretarzyku, ściskając pióro i gapiąc się nieszczęśliwie na papier. Czasami nachodziła ją myśl, że Christian mógł w Lipsku poznać inną. Wtedy łzy cisnęły jej się do oczu, a całe ciało zaczynało cierpieć. Aż w końcu przyszedł list od niego, z kilkoma tylko zdaniami, i znowu była radosna i pełna nadziei. On o mnie myśli, kocha mnie, mówiła do siebie. Dzień później urwała stokrotkę i odrywała płatek za płatkim według starej gry. Kocha, nie kocha. Kocha, cieszyła się głośno.

Właściwie nagle we wszystkich rzeczach zaczęła widzieć znak. Jeśli rano udało jej się przeskoczyć kałużę, nie brudząc brzegu sukni, to Christian ją kochał. Jeśli wrona nad nią przeleciała, zaczynała wątpić. Kiedy świeciło słońce, szczęście się do niej uśmiechało, kiedy padał deszcz, najchętniej by płakała. Były dni, kiedy uważała się za ładną, w inne rozpaczała nad swoją brzydotą. I tak zmienna w nastrojach, niezdolna była do zrobienia spokojnego kroku.

Stefan trochę się bał. Dzisiaj po raz pierwszy w życiu miał spotkać Georga Forstera, wielkiego pisarza, który żeglował dookoła świata z Jamesem Cookiem! Georga Forstera, który znał świat, który był w Rosji i w Anglii, który znał ark-tyczne wody, Atlantyk i Pacyfik i był świadkiem tego, jak żyją ludzie w Nowej Zelandii, na Haiti, w Nowej Kaledonii i Polinezji. Cieśla na ostatnim spotkaniu, śmiejąc się bezczelnie,

opowiadał, że Forster ze swoją żoną Therese nie mieli szczęścia. Wprawdzie mieli trójkę dzieci, ale na nieszczęście Therese Forster zakochiwała się ciągle w innych mężczyznach. Forster, tak mówił cieśla, szepcząc i parszkając, miał zaproponować *ménage à trois*, jednak Therese nie zgadzała się na to. Stefan nie wiedział, co oznaczało *ménage à trois* i szczególnie go to interesowało. Mężczyźni mogli robić ze swoimi kobietami, co tylko chcieli. On miał inne zmartwienia, którymi chętnie by się podzielił z tym podróżnikiem do dalekich krajów.

Georg Forster, który tyle wiedział o świecie i ludziach i o którego książce *Widok z dolnego Renu, Brabancji, Flandrii, Holandii, Anglii i Francji w kwietniu, maju i czerwcu 1790 roku* nawet wielki Goethe pochlebnie się wyraził - ten mężczyzna przemawiał w sali zajazdu Pod Rycerzem. Frankfurczycy przebąkaliwali, że miało też miejsce spotkanie łoży masońskiej, do której należeć miały takie osobistości jak: baron von Schell, legalista Steinheil, bankier Gontard oraz członkowie rodzin Schoenemann i Leerse. Ale nikt nie przyznawał się, że wie coś więcej o tym tajnym stowarzyszeniu.

Uznanie Stefana dla Georga Forstera było tak wielkie, że obawiał się, iż nie będzie w stanie złożyć mu takiej propozycji. Ale musiał. Ktoś musiał wygłosić mowę do jakobinów z Frankfurtu, których grupa urosła tymczasem do przeszło dwóch tuzinów członków. Georg Forster musiał im powiedzieć, że jest tylko jedna droga do wolności, równości i braterstwa - bez rozlewu krwi. Kto, jeśli nie Georg Forster? W nim młody Geisenheimer pokładał całą nadzieję. Szczerze mówiąc, śledził rozwój wydarzeń we Francji z rosnącą wiarą. Król rozmawiał z przedstawicielami *commune insurrectionnelle*, z radą powstańców. Może wszystko jeszcze będzie dobrze? Ale we Frankfurcie wołania o krew stawały się coraz głośniejsze, także żądania, żeby przywiązać arystokratów do najbliższej latar-

ni. Stefan bał się. Bał się tak bardzo, że w międzyczasie poznał ceny chleba lepiej niż służąca. Złe żniwa ostatniego roku dały się odczuć także we Frankfurcie, ale ceny jeszcze się trzymały, więc lud na razie nie szemrał i nie szturmował sklepów. Jednak sama myśl, że każda służąca, każdy parobek, każdy chłop nadaje się na króla, sprawiła, iż prości ludzie nabrali odwagi. Albo, jak to mówiła Theda, stali się przemądrzali. Służąca robi się coraz bardziej bezczelna, skarżyła się, a Stefan wiedział, że ma rację. Ta dziewczyna stawała przy ładowaczach częściej niż zazwyczaj, pozwalała się klepać po tyłku i mrukliwie wykonywała swoją pracę.

W sali zrobiło się cicho. Zebrało się tu około sześćdziesięciu mężczyzn. Stefan widział nie tylko rzemieślników i sympatyków Francuzów, lecz także uczonych. Stary Senckenberg siedział z przodu, obok niego Leerse. Przybyło też kilku kupców, popierających rozwój nauki i sztuki. A potem Georg Forster stanął przy mównicy i przemówił. Ale jak on mówił! Opowiadał o ostatniej podróży, w którą udał się razem z Humboldtem. Mówił o cierpieniu biednych ludzi, o umieraniu dzieci, o chorobach, które wynikały z głodu. Mówił o oświeceniu, którego wynikiem była rewolucja francuska. Stefan nie wiedział dokładnie, co kryło się za tym pojęciem, ale chciał zrozumieć. Siedział z przodu na brzegu krzesła, zafascynowany, obserwował wielkiego badacza i przysłuchiwał się jego słowom. Oświecenie, mówił Forster, to nic innego jak samodzielne myślenie i działanie. Człowiek nie powinien się kierować autorytetami, lecz korzystając z umysłu i rozumu, uwolnić się od uprzedzeń, przestarzałych wyobrażeń i ideologii. Stefan wyciągnął notatnik, wyjął ołówek ze skórzanej obwoluty i pilnie notował. Forster mówił potem o Immanuelu Kancie. To nazwisko Stefan słyszał już od Jaga. Kant, filozof z Królewca, który wymyślił imperatyw kategoryczny. Forster właśnie go cytował: „Działaj tak, żeby maksyma twojej

woli mogła być jednocześnie w każdej chwili zasadą ogólnego ustawodawstwa".

Ołówek biegał po papierze. Kiedy Forster wreszcie skończył swój wykład, Stefana bolały palce. Schował ołówek i notatnik do torby i przepchnął się do przodu, gdzie mówcę otoczyli już inni słuchacze. Uważnie przysłuchiwał się pytaniom, jednak te dotyczyły jedynie licznych podróży uczonego. W końcu spojrzenie Forstera dotarło do Stefana.

- Podobało ci się, chłopcze? - zapytał wielki człowiek. Stefan potaknął gorliwie i sam zaryzykował pytanie:

- Czy rewolucja bez rozlewu krwi jest możliwa? Wokół zrobiło się nagle zupełnie cicho. Wszyscy patrzyli na Stefana. Cieśla stojący w pobliżu ze swoimi przyjaciółmi uśmiechał się krzywo. Georg skrzyżował ręce na piersiach. Forster zastanawiał się chwilę.

- Dotąd nie było jeszcze żadnej przemiany społecznej, w czasie której nie popłynęłaby krew.

Niektórzy pokiwali głowami, lecz Forster mówił dalej.

- A ta rewolucja już jest krwawa. Każdy chłop biczowany przez swojego lennika, każda matka, która straciła dziecko z powodu głodu lub zarazy, zapłacili krwią. Biedacy krwawią od lat. Może dlatego w czasie rewolucji nadal musi płynąć krew, ale tylko po to, aby już na zawsze uniknąć rozlewu krwi.

- A więc krew, żeby uniknąć krwi? - zapytał Stefan.

- Jeśli tak chcesz to sformułować, to tak. To nie jest niesprawiedliwe. Nawet nasze ustawodawstwo mówi, że mordercy należy się śmierć. Ilu bogatych na świecie jest winnych śmierci biedaków? Śmierci tych, którzy umierają z głodu, którzy do swoich wilgotnych chat przynoszą choroby i z tego powodu umierają? Czy myślałeś o tym, chłopcze?

Stefan potrząsnął głową.

- A jak miałyby to zrobić, jest przecież patrycjuszem! - krzyczał cieśla.

Forster pokiwał głową i długo mu się przyglądał. Stefan przełknął ślinę. Potem powiedział:

- Nie potrafię sobie wyobrazić, że moja rodzina miałaby być winna śmierci człowieka.

Forster odsunął na bok kilku słuchaczy, podszedł do Stefana i położył mu dłoń na ramieniu.

- Jestem pewien, że nikt z twojej rodziny nie wyciągnął kiedykolwiek noża lub broni przeciwko innemu człowiekowi. Ale jak często twój ojciec nie wykazywał zapasów pszenicy, bo miał nadzieję, że za kilka tygodni będzie mógł ją drożej sprzedać? I ilu ludzi nie mogło sobie wtedy pozwolić na tę pszenicę i może zmarło z głodu?

Stefan milczał. Gryzł dolną wargę i grzebał lewą stopą w podłodze.

- Kupcy są więc mordercami? - zapytał cicho.

- Nie mordercami w sensie ustawy. Ale prawdopodobnie są współwinni śmierci starców, kobiet i dzieci.

Stefan przytaknął. Nie ważył się podnieść oczu. Forstera odciągnięto od niego i zasypano pytaniami. Powoli powłócząc nogami, Stefan opuścił salę.

Jago także był w zajeździe. Obserwował brata z daleka, słyszał też jego rozmowę z Forsterem, ale nie wymyślił na to żadnego rymu. Uważał, że młodszy brat jest właśnie na etapie odmawiania posłuszeństwa. Czasami zazdrościł mu wytrwałości, z jaką stawiał czoło matce. Sam za rzadko ryzykował słowa sprzeciwu. Ostatnio w sprawie zaręczyn. Zawsze też mógł liczyć na wyrozumiałość ojca. Co poza tym miałby robić? Był artystą, poetą, nie rozumiał nic z banalnych rzeczy świata i nie chciał nic zrozumieć. Chciał tylko, by zostawiono go w spokoju. I dlatego, tylko dlatego, zgodził się na zaręczyny.

Jago przebiegł wzrokiem pomieszczenie, szukając Erato. Właściciel zajazdu wypożyczył ją bowiem na dzisiejszy wieczór od właściciela kawiarni. Chciał ją stąd wyciągnąć, tylko to było dla niego ważne. Miał potrzebę dzielenia się wszystkim ze swoją żoną. Ona miała znać jego serce, każdą jego myśl, tęsknoty, marzenia, także obawy. Mieli dzielić się ze sobą i sobą. Nigdy nie zapytał, czego chce Erato. Ta myśl po prostu nie przyszła mu do głowy. Była żoną. Uważał to za wielkie szczęście, być żoną poety. Więc opowiadał jej wszystko, od porannego stolca aż po nocne zimne poty. A Erato, która była przyzwyczajona do takich rzeczy, bo miała troje młodszego rodzeństwa, reagowała na jego lekkie dolegliwości jak matka. Dawała mu krople, gotowała kleik z marchewką, głaskała po brzuchu i przysłuchiwała się każdemu słowu, jakby to były objawienia.

- Słyszałaś, co on mówił o imperatywie kategorycznej? - zapytał ją Jago, kiedy już wszyscy goście wyszli, a stoły zostały wytarte.

- On o tym mówił?

- Tak. Mówił, że powinno się żyć tak, żeby wszystko, co myślisz i robisz, jednocześnie mogło być regułą dla wszystkich.

Erato roześmiała się dźwięcznie. Kiedy Jago spojrzał jej w twarz, zasłoniła ręką usta. Nachyliła się do niego, wciąż jeszcze cicho parszkając, i wyszeptała mu do ucha:

- Czy to dotyczy także tego, co wyprawiamy w piwnicy z winami? - Przy tym bez skrupowania przesunęła dłoń w górę po jego udzie.

Jago chwycił mocno tę dłoń, spojrzał jej w oczy i powiedział:

- Nie rozumiesz, że te rzeczy mają największe znaczenie? Nastaje nowa epoka.

Wtedy Erato zarzuciła zamasyżycie włosy na ramiona.

- Nic nie rozumiem z tych rzeczy. Jeżeli potrzebujesz kobiety, która jest tak uczona jak siostra Goethego, to musisz sobie taką znaleźć.

Obróciła się na pięcie i chciała pójść do kuchni, lecz Jago chwycił jej suknię, przysunął ją do siebie i okrył jej twarz, ręce i szyję pocałunkami.

- Wybacz mi, moja Erato, najśłodsza ze wszystkich muz. Nie chciałem cię zranić. Jesteś moją jedyną, kobietą samą w sobie. I nic innego nie chcę. Bez ciebie nie mogę tworzyć wierszy. Przy tobie słowa płyną mi prosto z serca na papier.

Jego muza zmarszczyła czoło.

- To przyjrzyj mi się - powiedziała cicho. - Nie zapomnij nigdy, że jestem tą jedyną. Kobieta samą w sobie. Bo kobieta jest żądna zemsty, mój drogi.

Jako pierwsza z gości do domu na Zeilu dotarła cioteczna babka Luzie. Podjechała powozem i zabrała ze sobą tyle bagażu, że Theda obawiała się, iż będzie chciała zostać już na zawsze. Ciotka Luzie miała na sobie czarną suknię ozdobioną dziwną lamówką, a do tego czepek nazbyt przypominający czepek nocny. Cała jej postać sprawiała wrażenie jakby pokrytej kurzem: szara twarz, suknia, staromodne sznurowane buciki, pożółkłe kieszenie, nawet laska ze srebrną gałką. Theda kazała parobkowi zanieść bagaże do jednego z pokoi gościnnych, a następnie zaprosiła ciotkę na herbatę. Do salonu przyproawdzono także Stefana i Friederike.

- A kim jest ta młoda panienka? - krzyczała ciotka Luzie, która niedosłyszała. Friederike jej odkrzyknęła:

- Jestem Friederike, wkrótce skończę szesnaście lat.

- A ty, chłopcze?

Stefan wymienił swoje imię, wstał przy tym grzecznie i uklonił się.

Ciotka Luzie wyciągnęła ku niemu do pocałunku swoją powykrećaną i pokrytą niebieskimi żyłami dłoń. Kiedy Stefan uchylił się od pocałowania ręki, ciotka Luzie skrzywiła się. Zwróciła się do Thedy, zrzedząc:

- Twoje dzieci, moja droga, są źle wychowane. Ale taka jest ta dzisiejsza młodzież. Żadnej moralności, żadnej wiary

chrześcijańskiej, żadnego szacunku dla wieku. Zobaczysz jeszcze, do czego doprowadzi to twoje wychowanie. Na starość będziesz sama, nikt nie będzie się o ciebie troszczył, nikt nie odkroi ci skórki od chleba.

Theda przewróciła lekko oczami, a następnie pogłaskała dłoń ciotki.

- Ciociu Luzie, zobacz, ty nie masz dzieci, a przecież nie jesteś sama.

- Ach, a kogo ja mam! Jestem zupełnie sama w dużym domu. Do tego służące z bezczelnymi gębami, które mnie okradają, jak tylko odłożę lornion, i po kryjomu zabawiają się z mężczyznami, dziewczyny bez moralności i manier. A modlą się tylko na Boże Narodzenie i Wielkanoc.

- Mogłabyś przecież udać się do domu dla samotnych pań -

zapropozowała Theda, ale ciotka Luzie machnęła laską nad porcelaną.

- Przytułek! Czy ty wiesz, co mówisz? Same stare kobiety, którym nawzajem nie przeszkadza brud pod paznokciami! Och, wiem, o czym mówię. Pani von Bethge musiała pójść do takiego domu, tak postanowiła jej synowa. I co? Żyje według zegarka! Śniadanie o ósmej rano! Ta kobieta całe życie wstawiała o szóstej i pół godziny później jadła śniadanie. A teraz, na starość, musi czekać, aż zegar wybije ósmą. Personel grzebie w jej sukniach, traktuje ją, jakby była małym dzieckiem, i grozi palcem. Nie, moja droga. Przytułek nie wchodzi w grę. W żadnym wypadku! - Wypiła łyk herbaty, spojrzała na Thedę z boku i powiedziała już niemal płaczliwym głosem:

- Jeśli tak dalej ze mną będzie, to prędzej się utopię, niż pójde do takiego domu. Gdyby było tak jak wcześniej, kiedy krewni byli na miejscu, ale dzisiaj... - Westchnęła.

Theda mimochodem pogładziła ją po ręce, nalala herbaty i położyła na talerzu dwa kruche ciasteczka.

Stefan nachylił się do Friederike i szepnął:

- Jak myślisz, czy Luzie to skrót od Lucyfer? Friederike natychmiast zaczęła chichotać i parskać. Theda, powstrzymując się od śmiechu, rzuciła w stronę Stefana karcące spojrzenie.

Ciotka Luzie na szczęście naprawdę niedosłyszała, lecz Theda dobrze pamiętała czasy, kiedy jeszcze nie miała tego problemu. Ciotka zawsze miała talent słyszenia tych rzeczy, które pasowały do jej planów. Na resztę była tak głucha jak teraz.

- Idź, dziecko - zapiała ciotka Luzie i wyciągnęła palec wskazujący w stronę Friederike. - Idź i przynieś moją szarą torbę. Przywiozłam wam coś, mimo że naprawdę na to nie zasługujecie.

Friederike, jeszcze chichocząc, zagryzła wargi, ukloniła się grzecznie i szybko wróciła ze wspomnianą torbą.

Ciotka grzebała w niej przez chwilę. W końcu wyciągnęła dwa zgniecione i już nie całkiem czyste pudełka. Jedno dała Stefanowi, drugie Friederike.

- Otwórzcie, otwórzcie, dzieci! - zażądała i laską przecięła powietrze. Friederike przełknęła ślinę, następnie koniuszkami palców otworzyła pudełko i ujrzała wieżę z czekolady, którą czas pokrył szarością.

- Wyjątkowo możesz zaraz tego spróbować.

Ciotka okazała się wspaniałomyślna! Theda, widząc minę córki, pospieszyła na pomoc.

- Zostaw. Ciociu Luzie, dzisiaj późno jedliśmy obiad i Friederike prawdopodobnie nie ma apetytu.

- Ach, co tam! - Ciotka Luzie nie odpuszczała. - Czekoladę można jeść zawsze. Mówi się, że jest dobra na problemy z trawieniem. Twardy stolec, wiesz przecież, drogie dziecko.

Friederike przytaknęła, po czym zamknęła oczy i wbiła dzielnie zęby w szarą wieżę, później jednak ogarnęły ją mdło-

ści i pędem wybiegła z salonu, trzymając dłoń mocno przyciśniętą do ust. Ciotka Luzie potrząsnęła na to głową.

- Krótko trzymasz te swoje dzieci, co? Nie znają smaku czekolady? Teraz można zrozumieć, dlaczego dziewczynie zrobiło się niedobrze.

- A jak ona wygląda, ta twoja narzeczona? - zapytała Erato.

Jago licznymi pocałunkami doprowadził do tego, że mówiła do niego na „ty”. Właśnie odczytał jej swój nowy wiersz i pławił się jeszcze w tych, jak sądził, udanych wersach:

Ciemne grona wiszą na krzaku, Śmierć już je musnęła. Idę tam w lekkim surducie, Odtąd dojrzały mężczyzna.

- Tak, pięknie to napisałeś. Ale powiedz, jak wygląda twoja narzeczona?

- A jak ma wyglądać? Jak kobieta, całkiem zwyczajna. Jest wysoka, można by powiedzieć przystojna.

- Czy jest ładna? Opisz mi ją. Jago wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Ma piękną skórę, brązowe kręcone włosy opadają jej na ramiona.

- Czy jest ładniejsza ode mnie? - Głos Erato stał się cichszy, jej oddech łaskotał go po szyi.

Jago potrząsnął głową. Erato zakryła mu oczy.

- Jakiego koloru są moje oczy? Powiedz, Jago, no powiedz.

Młody mężczyzna zastanowił się. Charlotte Goethego miała brązowe oczy. Ale Erato nie była Charlotte Goethego- Brązowe, czyż nie? Lśnią jak gwiazdy na niebie w czasie pełni. Zwłaszcza kiedy jesteśmy w winiarni.

Uderzyła go w ramię. Otworzył oczy i zobaczył jej nadąsaną minę.

- Mam zielone oczy - powiedziała.

Jago spojrzał. Rzeczywiście, jej oczy były zielone. Ale nie były tak zielone jak wierzchołki leśnych drzew, lecz miały w sobie mulistą zielen Menu. Tak, mulistą, nieprzejrzystą, brudną jakoś.

Odwrócił wzrok.

- Masz najpiękniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widziałem. Byłem oślepiiony ich blaskiem, dlatego, moja Erato, nie mogłem określić koloru. Słyszał, jak kłamie, i czuł się nieswojo. Jednak Erato zrobiła z niego poetę. To było ponad wszystko.

- Poślubisz ją, prawda? Jago przytaknął.

- Chcę pisać wiersze. Mając ją za żonę, mogę to robić.

- Myślałam, że to ja jestem twoją muzą.

- Tak, moja Erato, jesteś nią. Dzięki tobie uczucia przepelniają moje serce i płyną z niego. Sprawiasz, że jestem poetą. Ale Barbara pozwoli mi tworzyć i nie będę musiał troszczyć się o biuro.

- Powiesz więc „tak” przed ołtarzem? Jago przytaknął.

- A ja, co ja dostanę jako odszkodowanie?

Jago nie od razu zrozumiał. Jednak kiedy zobaczył jej twarz, zapytał:

- Jak mam ci udowodnić, że jesteś tą jedyną?

- Chcę naszyjnik. Ze złota, z kamieniem. Albo jeszcze lepiej ze złotym krzyżem, w którym jest kamień. Mogę

zawsze go nosić, wszyscy będą go widzieć. A ty, Jago, zawsze będziesz blisko mojego serca.

Jago kiwnął głową. Nie wiedział, skąd miałby wziąć naszyjnik lub pieniądze, by go kupić.

- A kiedy będziesz stał przed ołtarzem i mówił „tak” swojej Barbarze, masz się odwrócić do mnie i powiedzieć „tak” do mnie. Słyszysz, Jago? Zaśmiał się, dotknął palcem czubka jej nosa.

- Ale głuptas z ciebie, moja Erato. Nie mogę się do ciebie odwrócić, kiedy będę mówił „tak” mojej narzeczonej.

Znowu się zaśmiał, potrząsnął głową i ucałował ją w policzek. Erato odsunęła się.

- A jednak chcę tego, słyszysz? Jeżeli nie weźmiesz mnie za żonę przed ludźmi, tylko zawsze po kryjomu w piwnicy, to powinieneś przynajmniej powiedzieć do mnie „tak” przy wszystkich.

Jago ponownie się roześmiał i przytulił ją.

- Jesteś taka słodka, moja Erato. Moja mała, uparta bogini. Taka jesteś. Erato oswobodziła się i stanęła obok niego. Patrzyła mu prosto w oczy z ponurą miną.

- Mówię poważnie, Jago. Albo w kościele przy wszystkich powiesz mi „tak”, albo pokażę im, że to ja w rzeczywistości jestem twoją żoną.

Stefan wszedł do biura. Wziął do ręki kałamarz, spojrzął na spisy towarów umieszczone na ścianie i zaczął niepewnie przesuwając się wzdłuż regałów.

- Czego chcesz, Stefanie? Skradasz się, jakby coś cię gryzło. - Prokurent Kalis odłożył na bok pióro.

Był mężczyzną około czterdziestki i już od przeszło dwudziestu lat pracował w domu kupieckim Geisenheimerów. O ile Stefan wiedział, nie miał ani żony, ani dzieci tylko

siostrę, o której mówiono, że ma nie po kolei w głowie, ale jest spokojna. Z tą siostrą dzielił mały dom kilka ulic dalej w kierunku Bramy Wszystkich Świętych. Poza tym rodzina nie wiedziała nic o tym mężczyźnie trzymającym ich interes w ryzach. Nawet nie znam jego imienia, pomyślał Stefan.

- Masz jakieś pytania, chłopcze? - Kalis przetarł zmęczone oczy i spojrzał na niego uważnie.

Stefan potaknął.

- Powiedźcie mi, czy ojciec czasami ukrywał zboże?

- Oczywiście - odpowiedział Kalis. - Byłby złym kupcem, gdyby tego nie robił.

- A wtedy biedacy nie mogli już sobie pozwolić na zboże i w końcu ich dzieci umierały z głodu?

Kalis spojrzał na pulpit i ustawił na swoim miejscu puszkę z piaskiem do osuszania atramentu. Wahając się, odpowiedział:

- To nie jest takie proste, Stefanie. Takimi hasłami tylko mącą biedakom w głowach. Kupcy są winni, mówi się za każdym razem, jednak to nie odpowiada prawdzie. To, co my tutaj robimy, potrafi każda dobra handlarka. Kupujemy w dobrych czasach, a sprzedajemy w złych. W większości ci, którzy teraz rozdierają gęby, nie zabezpieczyli się, kiedy dobrze im szło. Trwonili pieniądze, chcieli stroić się jak bogaci, a teraz, ponieważ czasy są inne, brakuje im najpotrzebniejszych rzeczy. Należy podkreślić, Stefanie, że nie mówię o tych najbiedniejszych biedakach niemających nic do odłożenia. Ale wszystkich innych obowiązuje zasada: co zaoszczędzisz w bogactwie, będziesz miał w biedzie. Ci, którzy nawołują do przemian, to nigdy nie są ci najbiedniejsi, to są ci zazdrośni. Stefan milczał. Czy cieśla był zazdrosny i dlatego chciał powiesić arystokratów na latarniach? A Georg? Obaj mieli pracę, dach nad głową i zawsze dosyć jedzenia. Pomyślał, że

cieśla potrafi sobie doskonale wyobrazić, jakby żył jako arystokrata.

- To nie my jesteśmy więc winni, kiedy dzieci umierają z głodu?

Kalis potrzęsnał głową.

- Kiedy rosną ceny zboża i chleba? Kiedy żniwa były słabe albo panuje wojna. Czy my, kupcy, decydujemy o pogodzie? Czy my sprowadzamy wojny?

Stefan zaprzeczył.

- Widzisz, mój chłopcze. Jak zatem możemy być winni głodu biedaków?

Stefan nic nie powiedział, tylko spuścił głowę.

- Jest wprost przeciwnie, chłopcze. Jak myślisz, ile podatków płacimy każdego roku miastu Frankfurt? Zbyt dużo. I jak myślisz, czyimi pieniędzmi wspiera się najbiedniejszych z biednych? Pieniędzmi z naszych podatków. Tak to jest.

Na twarzy Stefana pojawił się uśmiech, który jednak natychmiast zniknął.

- Najlepiej byłoby, gdyby nikt nie musiał głodować -powiedział i opuścił biuro.

Brigitte Geisenheimer miała pewną zdolność wzruszania siebie i innych i dlatego uważana była za wrażliwą. Jej mąż Albert, którego przewyższała o głowę, nazywał ją czule *Ma petite*, co jej się podobało. Krewni z Lipska przybyli do domu na Zeilu z wielką pompą. Brigitte od samego początku była bardzo serdeczna i troszczyła się o to, żeby każdy w jej towarzystwie czuł się dobrze. Zwłaszcza Friederike była zachwycona tą mieszkanką Lipska, która była zupełnie inna niż jej matka. Ale ciotka Brigitte liczyła też sobie dwanaście wiosen mniej. Jeszcze nie stanęła dobrze w drzwiach, kiedy dostrzegła Friederike i wykrzyknęła:

- Nie, spójrzcie tylko, twarz ma jak Madonna! Będę musiała cię namalować, skarbie.

Potem roześmiała się i zapytała Thedę, gdzie mogłaby rozstawić swoje sztalugi i farby. Przy tym zamachnęła spódnicą tak niebezpiecznie, że Hedi natychmiast zabrała wazon ze stolika w przedpokoju.

Friederike patrzyła na Brigitte, jak gdyby była cudem. Ciotka miała na sobie strój podróżny z zielonego muślinu pokrytego małymi haftowanymi kwiatami, z podwójnym rzędem guzików sięgającym aż do talii. Na to zarzuciła prostą chustę z jedwabiu, która bardziej podkreślała, niż zasłaniała jej dekolt. Na głowie miała wysoki kapelusz z szerokim rondem, ozdobiony zieloną jedwabną wstążką i rozetkami. Z kapelusza spływał welon sięgający aż do ramion, który osłaniał twarz przed niepogodą podczas podróży.

Szyję ciotki Brigitte otaczała biżuteria przypominająca orientálną, a na nadgarstkach obu rąk brzęczały liczne bransoletki.

- Kazałam przygotować dla was pokój na drugim piętrze, zaraz obok biblioteki. Mam nadzieję, że się wam spodoba - poinformowała Theda krewnych z Lipska, torując sobie drogę pomiędzy torbami, skrzyniami i pudłami zastawiającymi cały przedpokój.

- Och, nie mam żadnych wątpliwości, moja droga - odpowiedziała Brigitte i zwróciła się do Friederike. - Czy chcesz mi pomóc przy rozpakowywaniu?

- Ale to przecież może zrobić służąca - wtrąciła się Theda, jednak Friederike weszła jej w słowo.

- Nie, nie, chętnie pomogę.

Razem weszły po schodach na górę, podczas gdy mąż Brigitte Albert udał się do salonu, żeby napić się tam z ciotką Luzie portwajnu.

- Czy te wszystkie rzeczy należą do was? - zapytała zasko-

czona Friederike, kiedy parobek przyniósł do pokoju około tuzina sztuk bagażu, łącznie z pudłami na kapelusze.

- Ależ oczywiście, dziecko, a co ty myślisz? W końcu zostajemy kilka dni. A na weselu w żadnym wypadku nie chcę wyglądać jak szara mysz. Friederike potaknęła, ciągle jeszcze będąc pod wrażeniem. Przy najlepszych chęciach nie umiałyby sobie wyobrazić ciotki jako szarej myszy.

- Weź tę sukienkę i powieś w szafie. Ale zostaw drzwi otwarte, żeby rzeczy mogły się przewietrzyć.

Friederike trzymała już w rękach wspaniałą jedwabną suknię. W skupieniu przesuwała palcami po materiale.

- Podoba ci się? - zapytała Brigitte, rzucając kapelusz i welon na łóżko. Ciemne włosy miała wysoko uniesione, a po bokach kręciły się delikatne loczki, prawie aż do ramion.

- Jest przepiękna - odpowiedziała Friederike i miała tutaj na myśli zarówno Brigitte, jak i suknię.

- Chciałabyś ją przymierzyć? Uciska mnie trochę nad piersiami.

Prawdopodobnie w tym bogatym mieście uznano by to za niestosowne. - Roześmiała się i pogardliwie machnęła ręką. Przymierz spokojnie, moja droga. Jeśli ci się spodoba, będę się cieszyć, mogąc ci ją podarować. To suknia z *crepe-de-Chine*. - Jej lipski dialekt zrobił z tego „grededeszine” i Friederike zgadywała, o czym była mowa.

- Naprawdę? Suknia? Dla mnie? - Friederike nie mogła pojąć swojego szczęścia. Po chwili jednak szybko wyskoczyła z domowego stroju, jakby chciała wygrać wyścig, i włożyła suknię z delikatnego jak gwiazdny pył materiału, której dekolt obszyty był srebrną koronką. Długie do łokcia rękawy przylegały dokładnie do jej ramion, szeroka szarfa w talii z ciemnoszarego błyszczącego jedwabiu ozdobiona była białą różą.

- Obróć się!

Brigitte położyła palec na brodzie.

- I jak?

- Wyglądasz zachwycająco, moja mała!

Brigitte wzięła ją w ramiona, ucałowała w policzek i obróciła wokół.

- Suknia jest jak na ciebie szyta. Musisz ją założyć przy najbliższej odpowiedniej okazji. Ale teraz zdejmij ją, jest trochę zmięta, służąca powinna ją odprasować. I powiedz mi spokojnie, przecież nie jestem taka stara i zasadnicza.

Brigitte patrzyła na rozbierającą się Friederike. Dziewczyna była zakłopotana i odwróciła się, jednak ciotka przyglądała jej się dalej, nieskrepowana.

- Powiedz, masz dosyć pełne piersi jak na swój wiek. Czy to dzięki zdrowemu powietrzu we Frankfurcie?

Friederike poczerwieniała i potrząsnęła głową.

- Jeszcze kilka tygodni temu byłam bardziej płaska. Dopiero teraz piersi mi urosły.

- Ach tak? - Brigitte nadal oglądała ciało dziewczyny.

- Czy masz już chłopaka? Jesteś już komuś obiecana? Friederike najpierw potrząsnęła głową, a potem przytaknęła.

- To Christian, nasz sąsiad. Wyjechał na studia do Lipska. Chcemy się pobrać, kiedy wróci, ale tego nie powiedzieliśmy jeszcze nikomu.

Kochamy się, wiesz?

- Pisziesz do niego?

- Tak, codziennie. W przyszłym miesiącu ma urodziny i zastanawiam się już teraz, co mogłabym mu sprezentować.

- Och, temu łatwo zaradzić. Jeśli usiądziesz mi do portretu, to mogę szybko namalować mały obrazek dla twojego ukochanego i wziąć go nawet ze sobą do Lipska.

- Zrobiłabyś to? - Friederike podskoczyła i objęła ciotkę.

- Oczywiście, ale w zamian musisz mi opowiedzieć wszystko o waszej miłości.

- Dlaczego? - Friederike zmarszczyła czoło.

- Ach, wiesz, dziecko, kiedy się żyje tak jak ja, to miłość zna się tylko ze wspomnień.

- Ale ty i Albert? Jesteście przecież poślubieni.

- Tak, oczywiście, jesteśmy. Małżonkowie, i to porządni do tego. Ale prawdziwa miłość, moje dziecko, jest zarazem prawdziwą namiętnością, a ta w małżeństwie jest nie na miejscu. Albert i ja lubimy się. Szukałam mężczyzny, który będzie się za mnie troszczył o wydawnictwo i gazetę, żebym mogła w spokoju malować. A Albert szukał kobiety, która da mu zajęcie. Od tej pory oboje jesteśmy szczęśliwi. *C'est la vie, ma chere.*

Theda była bardziej zdenerwowana niż pan młody. Biegając po domu, rzuciła okiem na Friederike, która miała na sobie nową suknię od Brigitte, i natychmiast pędziła dalej, żeby przywołać do porządku Stefana, stamtąd do ciotki Luzie, która nie mogła znaleźć swojej laski, a od ciotki Luzie do siedzącego przy biurku Jago, który palce miał poplamione atramentem.

- Może się w końcu ubierzesz? - złościła się, jednak Jago sprawiał wrażenie, jakby w ogóle nie słyszał. Podeszła do niego i potrząsnęła go za ramiona. Jago wystraszył się. Przewrócił kałamarz i rozlał atrament po kartce.

Natychmiast podskoczył, poderwał kartkę do góry, opryskał twarz, szyję i koszulę atramentem, krzycząc przy tym, jakby go atakowano:

- Mój wiersz, mój wspaniały wiersz, wszystko zepsułaś!... Theda była niewzruszona.

- Żenisz się dzisiaj i nic nie jest ważniejsze od tego. Jutro możesz znowu pisać te swoje wiersze.

Wyrwała mu kartkę z ręki, położyła na parapecie do wyschnięcia i bez słowa wskazała na wiszący nad łóżkiem kalendarz z zaznaczonym dniem ślubu.

Jej syn stał na środku pokoju i gapił się zrozpaczony przed siebie.

Wreszcie cierpliwość Thedy się skończyła.

- Za niedługą chwilę masz być ubrany, synu, w przeciwnym razie inaczej z tobą porozmawiam!

Dwie godziny później młoda para wkroczyła miarowym krokiem do kościoła Świętego Mikołaja. Theda chciała odprawić tę ceremonię w katedrze Świętego Bartłomieja, jednak ta znowu była katolicka, a ponadto zamknięta z powodu przygotowań do wielkiego wydarzenia. Zmarł cesarz Leopold II i Frankfurt, miasto Rzeszy, szykował się do koronacji nowego cesarza.

Gustav Allberger obstawał przy tym, żeby ślub odbył się w ratuszu, bo uważał to za elitarne, a kościół Świętego Mikołaja, wcześniej kościół garnizonowy, na pewno nie był elitarny. Ojciec panny młodej, jak to było w zwyczaju, ponosił koszty ślubu, przynajmniej oficjalnie, więc jego słowo miało znaczenie nawet wtedy, kiedy tak naprawdę to dom Geisenheimerów od początku skrycie przejął dwie trzecie kosztów, ponieważ wiadomy był stan finansów Allbergerów. W końcu jednak stanęło na kościele Świętego Mikołaja.

Kiedy Theda spojrzała na uroczyście przystrojony ołtarz, wybór nie wydawał się jej już taki wątpliwy. Siedziała z przodu, Stefan i Friederike obok niej, dalej krewni z Lipska, a na końcu rzędu ciotka Luzie. Za Thedą zajął miejsce Eckehard von Hohenstein. Myślała o nim, powiększając i okalając srebrnym jedwabiem dekolt sukni, która oczywiście była jeszcze w kolorze żałoby. W rzędzie za nią, ale z boku, siedziała kucharka Hedi, która za nic w świecie nie chciała usiąść z tyłu z innymi służącymi. W końcu była przy tym, jak Jago przyszedł na świat. I czy nie czuwała przy nim nocami na zmianę z Thedą, kiedy ząbkował? Czy go nie pocieszała, gdy się przewrócił? A teraz, kiedy się żeni, miałyby siedzieć daleko z tyłu? Nie, właśnie dzisiaj chciała być tak blisko niego jak w dniu powszednim.

Otworzyły się drzwi, zabrzmiały organy i przez całą nawę popłynęła muzyka Bacha. Gustav Allberger, który w odświętnym garniturze wyglądał jak dyrektor teatru, prowadził córkę do ołtarza.

Goście obserwowali wejście panny młodej, wzdychali zauroczeni suknią ślubną, koronkowym obszyciem i haftowanym welonem. Allbergerówna wysiąkała pierwsze łzy w chusteczkę do nosa. Jago, stojący przed ołtarzem, po dyskretnej wskazówce męża Brigitte, a jego świadka, nawet się odwrócił i przyglądał się swojej narzeczonej. Tylko Theda nie dostrzegła tej sceny. W czasie przymiarki sukni ślubnej zauważyła, że Barbara wygląda w niej jak anioł tuż przed grzechem pierworodnym, i to jej wystarczyło. A i na Gustava Allbergera nie chciała patrzeć częściej niż to bezwzględnie konieczne. Chętniej wspominała w tej chwili swój własny ślub. To, jak marzyła, że w ostatniej chwili wpadnie jej wciąż jeszcze kochany zdrajca i ją uprowadzi. Wtedy drzwi pozostały zamknięte. Dzisiaj jednak otworzyły się z cichym skrzypieniem. Theda odwróciła się i zobaczyła, jak skromnie ubrana dziewczyna wślizguje się i cichutko siada w ostatniej ławce. Natychmiast przeniosła wzrok przed ołtarz. Zauważyła, jak Jago drgnął.

Panie w niebiosach, tylko żadnego skandalu! - wzniosła modły do Boga. Panna młoda stała obok pana młodego, ksiądz zaczął przemowę, a Theda znowu odwróciła się i zerknęła na tę obcą dziewczynę. Teraz przyszedł czas na przysięgę małżeńską.

- Jeżeli ty, panno Barbaro Elizabeth Ingeborg Allberger, bierzesz sobie za męża tego tu obecnego Jaga Theodora Ber-trama Geisenheimera, będziesz go kochać w dobre i złe dni, dopóki śmierć was nie rozłączy, odpowiedz „tak”.

Barbara chrząknęła. W kościele rozległ się głośny szloch starej Allbergerowej, która nie mogła już dłużej powstrzymać łez. W końcu panna młoda wypowiedziała mocnym głosem zdanie, które brzmiało jak wyćwiczone.

- Tak, tego chcę.

Gustav Allberger zaczął klaskać, przestał jednak natychmiast, kiedy małżonka dała mu torebką kuksańca w bok. Ksiądz spojrzał poirytowany, lecz ciągnął dalej:

- Czy ty, Jago Theodorze Bertramie Geisenheimerze, bierzesz sobie tu obecną pannę Barbarę Elizabeth Ingeborg Allberger za żonę i będziesz ją kochał w dobre i złe dni, dopóki śmierć was nie rozłączy?

Jago przełknął ślinę, złapał się dwoma palcami za kołnierzyk, jakby mu brakowało powietrza, spojrzał na Barbarę, która nie spuszczała z niego wzroku, i uniósł lekko lewą brew, jakby chciał się usprawiedliwić, po czym odwrócił się. Theda dokładnie widziała, jak utkwił wzrok w tej obcej w ostatnim rzędzie.

- Tak, chcę cię wziąć za żonę przed Bogiem i ludźmi.

Przez kościół przeszedł pomruk, Allberger zerwał się, jednak ksiądz ruchem ręki zarządził spokój. Ten gest zmroził całe towarzystwo, lecz po chwili znowu zaczęły się szepty. Każdy oglądał się na dziewczynę w ostatniej ławce, która z zarożumiałą miną przekornie patrzyła przed siebie. Nawet Barbara uchyliła welon, żeby móc lepiej widzieć. Dopiero po wielokrotnym chrząkaniu udało się księdzu uzyskać spokój i skupienie.

- Jago Theodorze Bertramie Geisenheimerze, powtórz, proszę, przysięgę i wymień imię swojej narzeczonej - zażądał.

Jago, zdziwiony, uczynił to, a następnie, patrząc Barbarze w oczy, obiecał kochać ją aż do samego końca.

Po przysiędze włożył jej obrączkę na palec, potem uniósł welon i pocałował ją delikatnie w policzek.

Theda odetchnęła. Po raz ostatni obejrzała się, jednak obca zniknęła.

- Myślę, moja droga, że wesele wymyślono tylko po to, żeby pannę młodą pocieszyć przed bólem nocy poślubnej -powiedziała, a raczej wykrzyczała prosto do ucha swojej sąsiadce Brigitte ciotka Luzie. - To biedne dziecko musi się czuć jak świnia na chwilę przed zarżnięciem. Brigitte wybuchnęła gromkim śmiechem.

- Ciotko Luzie, aż tak zła noc poślubna nie jest. Są nawet kobiety, którym sprawia radość to, co się wtedy dzieje.

Ciotka Luzie machnęła ręką.

- Z tymi wyluzowanymi kobietami ludzie tacy jak my nie mają nic wspólnego. Przyzwoita kobieta znosi ten akt bez słowa protestu, tak jak przykry katar.

Friederike siedząca obok Brigitte położyła ciotce rękę na ramieniu.

- Czy tak jest? - zapytała cicho.

- Ależ co ty, dziecko.

Rozmowę przerwał wynajęty służący, który serwował jako pierwsze danie z weselnego menu pożywny bulion wołowy. Po nim nastąpiły: szparagi z malinowym sosem winegret, zupa krem z dyni z gałką muszkatołową, raki z delikatnymi warzywami w wywarze z ziół, sandacz z karmelizowanym szczypiorkiem, pierożki nadziewane szpinakiem i orzeszkami piniowymi, pieczeń z bażanta z marchewką w śmietanie, boeuf de Hohenlohe w sosie z szalotkami i czerwonym winem, sorbet maślankowy i na koniec hohenloherski kozi ser w cieście naleśnikowym z marynowanymi gruszkami.

Właśnie wnoszono czwarte danie, kiedy Friederike zbladła. Zerwała się, zatkała obiema dłońmi usta i wybiegła. Brigitte spojrzała za nią, następnie odłożyła serwetkę i podążyła za bratanicą tylnym wyjściem do małego ogródka.

Przytrzymała Friederike włosy, przetarła jej twarz ręcznikiem, podała szklanę wody i pastylki fiołkowe.

- Już dobrze? - zapytała. Friederike przytaknęła.
- Prawdopodobnie za dużo zjadłam - powiedziała smutno.
- Często wymiotujesz? Odkąd tu jestem zauważyłam, że to już trzeci raz.
- Może przeziębiam sobie brzuch.
- Hmm... Ty masz przecież chłopaka, nieprawdaż? Ma na imię Christian?
- Tak. Co masz na myśli?
- Czy leżałaś już obok niego?

Friederike poczerwieniała. Spuściła wzrok, popatrzyła w ziemię i potrząsnęła głową.

Brigitte złapała ją za podbródek i zmusiła, żeby na nią spojrzała.

- Czy już przy nim leżałaś, dziecko? Czy spałaś z nim? W oczach Friederike stały łzy.

- Tylko raz. Jeden jedyny raz.
- A twoja miesiączka? Pojawiła się? Friederike wzruszyła ramionami.
- Nie wiem. Czasami krwawię, czasami nie. Czasami trwa to sześć tygodni, czasami tylko trzy.
- Kiedy ostatni raz krwawiłaś? Friederike zmarszczyła czoło.
- Przed pięcioma tygodniami, tak myślę. Albo sześcioma. Nie zwracałam na to uwagi.

Brigitte potaknęła.

- Czy myślałaś o tym, że możesz być w stanie błogosławionym?

Friederike otworzyła oczy ze zdziwienia.

- Ależ nie! Oczywiście, że nie. Christian i ja... my tylko ten jeden jedyny raz... Nie, wykluczone, nie jestem w ciąży.

Brigitte westchnęła i pogłaskała dziewczynę po włosach.

- Wiesz, czasami zdarza się tak, że młoda kobieta zachodzi w ciążę już za pierwszym razem. Musisz zwracać uwagę na swoje ciało. Na każdą zmianę, szczególnie piersi. Poza tym mam nadzieję, że naprawdę masz rozstrój żołądka. Byłoby dla ciebie straszne urodzić teraz dziecko.

Friederike zaszlochała, oplótła talię Brigitte ramionami i wyszeptała:

- Ty był tylko jeden jedyny raz, tylko jeden raz, nie więcej...

Tymczasem nastrój na ucztę weselnej rozluźnił się. Zespół zamówiono dopiero na wieczór, tak że teraz, po obiedzie, mogły się zacząć gratulacje.

Theda poprowadziła młodą parę do małego salonu, gdzie mieli przyjmować życzenia i prezenty. Była także księga gości, do której każdy musiał się wpisać.

Panowie opuścili ucztę i udali się do salonu dla pałacowych, podczas gdy damy podzieliły się: jedna grupa, dla dobrego trawienia, chciała wybrać się na krótki spacer nad kanałem, druga rozciągnęła się na obitych jedwabiem otomanach w salonie dla pań.

Całe towarzystwo zebrało się ponownie w dużym salonie na kawę.

Barbara pojawiła się z płonącymi ze zdenerwowania policzkami i szeptała swojej matce, jakimi prezentami już zostali obdarowani:

- Wyobraź sobie, dyrektor Komедii Miejskiej sprezentował nam bilety na cały rok! Od Leersea dostaliśmy figurki z porcelany miśnieńskiej, od Bołongarów mydło z Marsylii, a od Senckenberga książkę o przyrodzie. Całą czerwoną, w twardej safianowej oprawie.

Allbergerowa myślała raczej praktycznie.

- A czy była przy tym biała pościel? Haftowane poduszki, kapa z futra, bielizna stołowa?

Barbara, której oczy mocno błyszczały, przytaknęła.

Po kawie podano likier i koniak. Panowie zrezygnowali z tego poczęstunku i odseparowali się w salonie dla palących. Rozdano popielniczki, zapalono fajki i cygara i nadszedł czas rozmów o polityce.

Allberger przypomniał, że wkrótce mają się odbyć wybory cesarza.

Pierwszego marca zmarł Leopold II i już ustalono, że jego syn Franciszek II zastąpi go na tronie Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego.

- A Franciszek - krzyczał Allberger - jest prawdziwym zuchem! On łaknie wrzawy wojennej, zgiełku zarzynania i zapachu krwi. Przepędzi tę francuską hołotę.

Eckehard von Hohenstein pykał z fajki i wypuszczał gęste obłoczki dymu aż po sufit.

- Koło Koblencji stoi armia licząca około dwudziestu tysięcy Francuzów. To wprawdzie niewiele, ale są natchnieni ideą swojej rewolucji. Sama chęć zwycięstwa będzie ich nieść, dokąd tylko zechcą. Austriacy i Prusacy natomiast nie wiedzą, o co walczą. Dostają jedynie swój żołd i jest im obojętne, za kogo, gdzie, kiedy i dlaczego umrą. W tym przypadku postawiłbym na Francuzów.

- Ech! - odpowiedział Allberger. - Francuzi! Skończ z nimi! Te same prawa dla mężczyzn i kobiet. To są bzdury! Ale powetuję sobie na tych zwariowanych francuskich ideach.

Wymachiwał wokół cygarem, wskazując nim na von Hohensteina.

- Mój interes będzie przy tym kwitł, to wam mówię już dzisiaj. Wojna przyniesie zwycięstwo kupcom. Tak było zawsze i tak już zostanie. A ja jestem dobrym kupcem, zobaczycie.

Stefan wychylił się trochę w przód.

- Jak chcecie to zrobić, wujku? Czy chcecie wstrzymać sprzedaż zboża?
Gustav Allberger rzucił w jego stronę krzywe spojrzenie.

- Nie wtrącaj się, kiedy rozmawiają dorośli. Tu omawia się rzeczy, których ty nie rozumiesz. Ale dobrze, jeśli chcesz koniecznie wiedzieć, kupię drewno. Wojsko potrzebuje drewna na wozy i inne rzeczy. Kupię armaty, jeżeli będę mógł je dostać. I proch strzelniczy. Do tego karabiny i wszystko inne, co jest konieczne do wojny. Mam już kilka opcji na rudy żelaza z Saksonii i na miedź z Mansfeld.

- To wtedy będziecie współwinni śmierci walczących -wtrącił Stefan.

- Ach, bzdura! Nie kładę przecież ręki na spuście. Jeśli o mnie chodzi, to mogą strzelać z karabinów do brukwi. Dla mnie jest ważne tylko to, żebym zbijał forszę i żeby bracia z Komuny zniknęli z Niemiec ze swoją wolnością i równością.

- To nie jesteście za wolnością i równością? - zapytał Stefan.

Allberger rzucił cygaro do popielniczki.

- Wolność i równość dla nierobów, też coś! Tego chcieliby. Biedacy są biedni, ponieważ są głupi i leniwi. Gdyby byli mądrzy, nie byłiby biedni. Zawsze tak było. Spójrz na służbę. - Wskazał palcem na młodego mężczyznę opierającego się o ścianę i ziewającego ukradkiem. - Czegoś takiego nie było za moich czasów. Głupi i leniwi, tak właśnie jest. Każdy jest kowalem swego losu. W mieście jest wystarczająco dużo przykładów, które dowodzą, że ten, co naprawdę chce, to i potrafi. Eva von Noesch, która dzisiejszego dnia niezbyt dużo powiedziała, wtrąciła:

- Wolność i równość, czy nie ma tu sprzeczności? Jeśli chcę wziąć sobie tylko wolność, to co wtedy?

Na to nikt nie znał odpowiedzi, także Stefan. Toteż ucieszono się, że właśnie w tym momencie wniesiono kolację. Potem zagrał zespół, a Theda, która koniecznie chciała udowodnić, że ten ślub został zawarty z prawdziwej miłości, uwzględniła w programie uroczystości różne zwyczaje ślubne. Najpierw wprowadzono pannę młodą. Theda, wiedząc, że Jago nie ruszy się, aby poszukać Barbary, posadziła pannę młodą w kawiarni, do której zawsze zaglądał. Było dla niej jasne, że gdy tylko Jago opuści weselne towarzystwo, na jednej nodze skoczy właśnie tam. Tymczasem Barbarę wprowadzono do kawiarni zgodnie ze zwyczajem z pomocą Stefana i Brigitte. Czowała się tu wyraźnie nieswojo. Oczy wszystkich skierowane były na nią i lustrowały jej białą suknię. Usta szeptały, unosiły się w górę i w dół, ciągle przelatywały nad nią śmiechy. Barbara jeszcze nigdy nie była w kawiarni i miała jedynie nadzieję, że wkrótce zostanie stąd zabrana.

Posługaczka, przemądrzała dziewczyna z kołyszącymi się piersiami, długo mierzyła ją wzrokiem, z góry na dół.

- Czego chcecie się napić? Barbara wzruszyła ramionami.

- Może być czekolada?

- O to nie musicie mnie pytać!

- Dobrze, w takim razie wezmę czekoladę ze śmietanką na wierzchu.

Dziewczyna potaknęła i chwilę majstrowała przy garnku nad kuchnią.

Zdmuchnęła włosy z czoła, odwróciła się i zapytała wścibsko:

- Wy jesteście teraz żoną Geisenheimera?

Barbara wysunęła podbródek, popatrzyła na dziewczynę i odpowiedziała zarozumiale:

- Nie wiem, co cię to obchodzi, ale tak, ja nią jestem. Dziewczyna zaśmiała się, odrzucając przy tym głowę.

- Jago właśnie tak was opisał - powiedziała.

- A co on o mnie opowiadał?

Stefan towarzyszący Barbarze chciał skierować jej uwagę w inną stronę, jednak panna młoda była uparta.

- No, dziewczko, mów szybko! Dziewczyna zaśmiała się.

- Nie będę się tutaj narażać gościom ani wam w ten piękny dzień.

Zachwycał się wami, tylko tyle.

Śmiała się znowu, ale w taki sposób, że widać było, iż kłamie. Barbara jeszcze nie ochłonęła po bezczelnych wypowiedziach tej osoby, kiedy wszedł Jago. Był szczerze zaskoczony, widząc swoją młodą małżonkę w kawiarni. Ale jeszcze bardziej był zaskoczony Erato, która uwiesiła mu się na szyi, okryła jego twarz pocałunkami i zwrócona do Barbary powiedziała:

- Takie są u nas zwyczaje. Każdy, kto się żeni, musi pocałować dziewczynę z wyszynku.

- Zgoda - odpowiedziała Barbara i odpędziła ręką dym tytoniowy sprzed twarzy. - To mam nadzieję, że jeszcze wiele lat będziecie wyszynkową dziewczką i pod koniec swoich dni będziecie mogli powiedzieć, że całowaliście cały Frankfurt. - Jeszcze raz zlustrowała dziewczynę. Miała wrażenie, że już gdzieś ją widziała, ale nie mogła sobie przypomnieć gdzie.

Tymczasem Brigitte wróciła z kawiarni i udała się z damami do małego salonu. Korzystając z czasu wolnego, zrobiła kilka szkiców Friederike. Inne damy przyglądały się jej pracy. Szczególnie Eva von Noesch była zainteresowana tymi rysunkami, a przede wszystkim życiem Brigitte.

- Jak to się stało, że zostałąście malarką? - zapytała.

- Ach, to długa historia. Moja prababka wydawała w Lipsku gazetę, którą później prowadził mój ojciec. Matka zmarła w połogu. W dzieciństwie ciągle rysowałam i opie-

kunka, nie mogąc sobie ze mną dać rady, tak długo naciskała, aż ojciec załatwił mi lekcje. Moim nauczycielem był starszy mężczyzna, miedziorytnik, który kazał mi bezustannie rysować według wzorów. Myślę, że sportretowałam wszystkie antyczne głowy - zaśmiała się.

- A potem? Co było potem?

- Nie mam rodzeństwa, wiedziałam więc, że pewnego dnia odziedziczę drukarnię. Nie odczuwałam najmniejszej ochoty, by angażować się w działalność gazety. Dlatego poślubiłam mężczyznę, którego lubiłam i który już od dawna był zatrudniony w naszym wydawnictwie.

Mężczyznę, który potrafił prowadzić interes beze mnie. Sama wyszukiwałam sobie nowych nauczycieli, uczyłam się coraz więcej, a teraz po prostu maluję. Czasem sprzedam obraz, czasem nie. Tak to jest. Eva von Noesch westchnęła.

- Też chciałabym mieć taką życiową pasję. Czasami piszę potajemnie, ale w gruncie rzeczy zupełnie nie wiem, czy to potrafię.

Brigitte wzruszyła ramionami.

- Kto decyduje o tym, czy ktoś coś potrafi, czy nie? To nie dla mnie. Jak długo malowanie sprawia mi radość, tak długo będę malować. Wszystko jedno, czy moje obrazy podobają się innym, czy też nie.

Nachyliła się nad Evą von Noesch.

- Wiem, że dla kobiety takie życie, jakie ja prowadzę, jest niestosowne. Urodziłyśmy się po to, żeby służyć mężczyznom, naszą domeną są dzieci, kuchnia i kościół. Ale ja tak nie potrafię. Jestem sobą, człowiekiem, i chciałabym mieć własne życie. Odrobinę czegoś osobistego. Choćby kilka obrazów. Rozumiecie?

- Och, aż za dobrze - odrzekła Eva. - Która z nas nie tęskni za tym, żeby mieć coś tylko dla siebie? Mieć cel albo coś podobnego. Wiele wykorzystuje do tego dzieci, jednak to, co wy robicie, wydaje mi się bardziej słuszne.

Friederike przesunęła ręką po sukni.

- Czy dlatego nie masz dzieci? Ponieważ malowanie jest dla ciebie ważniejsze niż wszystko inne?

- A kto tak mówi? - zapytała Brigitte. Friederike przełknęła ślinę.

- Ciotka Luzie tak powiedziała.

- No, ona wie najlepiej! Ale tak nie jest. Chcieliśmy koniecznie mieć dzieci. Ale nie możemy, chociaż Bóg wie, jak bardzo byśmy chcieli. Z tymi słowy zamknęła szkicownik i wsunęła ołówek w obwolotę.

- Myślę, że panna młoda wróciła, bo zespół gra dalej. Jeszcze nawet nie zatańczyłam ze swoim mężem.

Podniosła się. Inne damy podążyły za nią do dużej sali, którą opuściły dopiero o północy.

Pół godziny później Jago siedział na swoim łóżku, które od tej chwili miał dzielić z Barbarą. Spoglądał na biurko i szukał słowa, którym nazwałby miłość, nie używając tych sześciu liter.

Po drugiej stronie łóżka widział Barbarę, która powoli zdejmowała ślubny strój, starannie składając każdą sztukę i kładąc na krześle.

Kiedy wreszcie była w koszuli nocnej, położyła się do łóżka, naciągnęła kołdrę wysoko aż pod brodę i czekała.

Jago jednak w ogóle na nią nie patrzył. Mamrotał coś cicho, potrząsał głową, jakby chciał wymazać rodzące się tam słowa. Raz nawet podszedł do biurka, zanotował coś piórem na kartce papieru, po czym skrzyżował ręce na piersiach, podszedł do okna i na nowo zaczął to swoje mamrotanie.

Po chwili Barbara poczuła się zmęczona.

- Jago - zawołała cicho. - Nie chcesz się położyć?

Jago obrócił się, jak gdyby usłyszał głos ducha. Zdumiony spojrział na nią, jednak po chwili uśmiechnął się.

- Jeszcze chwilę, moja droga, muszę jeszcze coś zanotować.

Machnął ręką w jej stronę, nieobecny duchem, następnie usiadł przy biurku, zanurzył pióro w kałamarzu i zaczął nim skrobać po papierze.

Barbara przyglądała mu się przez chwilę, a potem zasnęła.

- „Musimy zapłacić prawie siedem z dziesięciu zarobionych przez nas guldenów panu feudalnemu, podczas gdy on korzysta z wolności podatkowej. Gdybyśmy chcieli przywieźć do miasta na targ nasze towary, to musimy zapłacić cło drogowe i mostowe. W końcu nasze towary będą tak drogie, że nikt nie będzie mógł ich kupić. Nie sprzedamy ich. Tymczasem towary pochodzące z klasztorów są zwolnione od podatków, a mnisi zawsze robią dobre interesy.

W minionym roku przez sto dwanaście dni pracowaliśmy na hrabiowskich ulicach i przez siedemdziesiąt osiem dni harowaliśmy dla panów feudalnych na ich polach. Nie zostało nam już czasu na uprawianie naszej roli. Latem musieliśmy każdej nocy łowić wędkami w zamkowych stawach, żeby żaby nie hałasowały i pozwoliły państwu dobrze się wyspać”.

Cieśla opuścił trzymane w ręku pismo i spojrział ponad stołem w twarze innych jakobinów.

- Poprosiłem jednego chłopca, żeby opisał mi własnymi słowami swoje życie. Wszystko zapisałem i kazałem uwierzytelnić pastorowi, żeby wam to dzisiaj przeczytać.

Żelazna Ręka pękała w szwach. Gospodarz musiał nawet otworzyć dużą salę, żeby pomieścić wszystkich tych, którzy nazywali siebie jakobinami. Siedzieli tam obcy towarzysze

obok miejscowych, pracownicy dniówkowi obok praktykantów, asystenci obok motłochu. Jeden z nich uderzył pięścią w stół.

- I każde słowo jest prawdziwe i szczere, tak mi dopomóż Bóg. Mój szwagier także jest chłopem i serce mi się kroi za każdym razem, kiedy słyszę o jego biedzie.

- Pracownikom dniówkowym we Frankfurcie też nie idzie najlepiej. Ich płace są tak niskie, że niemal nie są w stanie sami się wyżywić, nie mówiąc o żonie i dzieciach - wtrącił inny.

- A ty, Stefanie, co o tym powiesz? - zapytał Georg. Stefan wzruszył ramionami.

- Chłopi i biedacy doprawdy załamują się pod ciężarem obowiązków i biedy. To się słyszy i o tym się czyta ostatnimi czasy. I widzę tę niesprawiedliwość. Ale muszę zapytać, co robi ten chłop przez sto sześćdziesiąt sześć dni w roku, które mu jeszcze zostają.

Natychmiast podniosło się szemranie. Dotarły do niego rozgniewane szepty.

- Stójcie! - zawołał. - Nie zrozumcie mnie źle. Nie chcę dla chłopów nic złego. Ale na pytania zadawane przeze mnie wpadną też inni. Jak wtedy odpowiecie?

Przez chwilę panowała cisza, następnie głos zabrał Georg.

- Z tych stu sześćdziesięciu sześciu dni dwadzieścia pięć to niedziele. Wtedy nie można pracować, inaczej się zgrzeszy. Odliczę jeszcze dni świąteczne: Wielkanoc, Zielone Świątki, Boże Narodzenie, Wniebowstąpienie, Boże Ciało, Zadzuszki, Wszystkich Świętych i jak tam się jeszcze nazywają. I znowu minęło około trzydziestu dni. Teraz chłopom pozostało tylko sto jedenaście dni. To jest osiemnaście tygodni, bo niedziele już odliczyliśmy. Sam powiedz, czy można w osiemnaście tygodni, bez niedziel, zarobić tak dużo, żeby wystarczyło dla całej rodziny na cały rok?

Stefan potrząsnął głową

- Wiem, jak bardzo ludzie cierpią. Nie chcę dla tych ludzi źle. Potrzebuję jedynie jasności. Muszę zrozumieć, jak wszystko jest połączone. Kto nie rozumie, nie wie, o co walczy. Kto nie walczy, nie może zwyciężyć. -

Spuścił oczy i dodał: - Tak w każdym razie podobno mawiał kiedyś wielki Wallenstein.

- Kto? - warknął cieśla. - Wallenstein? A kto to taki? Tak się nazywa wasz domowy nauczyciel, tak?

Georg przerwał mu.

- Wszystko jedno, kim albo czym był Wallenstein. Chłopak ma rację. Jednak nie powinniśmy zatrzymywać się na takich sprawach. Wiecie, o co tak naprawdę chodzi dzisiejszego wieczoru.

Niektórzy przytaknęli, inni potrząsnęli głowami.

- Jutro o świcie będziemy okupować bramy miasta i zmuszać miejskich sługusów do otwarcia przed czasem wrót chłopom. Nie mogą też inkasować cła drogowego i mostowego. Potem będziemy towarzyszyć chłopom aż na targ i nie dopuścimy, żeby nadzorcy zgarnęli opłaty targowe. Chłopi będą mogli wybrać sobie najlepsze miejsca na swoje stoiska i negocjować między sobą tak, żeby dla każdego było sprawiedliwie. Kiedy zbliżą się później klasztorni mnisi ze swoimi wozami, nadzorcy targowi powetują sobie na nich straty w opłatach.

Niektórzy śmiali się, inni bili brawo, jeden krzyknął nawet: *Vivat!* i wyrzucił monetę w powietrze. Jedynie Stefan trwał w zamyśleniu. Nie chcąc tego, myślał o wieży na moście i o czterech palach, na które w roku 1616, jak mu kiedyś ojciec opowiadał, nadziano głowy czterech rebeliantów. Do dzisiaj można było zobaczyć tam ostatnią czaszkę.

Ojciec mówił, że ten, do którego przed laty należała ta czaszka, nazywał się Vincent Fettmilch. Był piekarzem, wypiekał pierniki, był też buntownikiem opowiadającym się przeciwko rządowi miasta i plądrującym ulicę Żydowską. Głowa na wieży na moście

z upływem czasu poczerniała, widać było jedynie pojedyncze zęby, w niektórych miejscach spod słomianych włosów prześwitywały kości. Fettmilch został wtedy słusznie zamordowany, wyjaśniał ojciec Stefanowi. Przede wszystkim dlatego, że zwrócił się przeciwko Żydom i chciał im się dobrać do skóry. Rewolucja natomiast chciała wolności i równości dla wszystkich.

- Czy znowu masz coś przeciwko, patrycjuszu? - kpił cieśla.

- Nie, zupełnie nie. Absolutnie nic - powiedział Stefan spieszenie. - Mam jeszcze tylko jedno pytanie: Czy chłopci nie będą musieli znowu płacić za to krwią?

Georg położył mu dłoń na ramieniu.

- Nad tym też się zastanawialiśmy. Ale rewolucja nie działa tak, jak myślisz. Będzie tak, że do następnego razu strażnicy zrozumieją, z naszą pomocą, że także oni są wykorzystywani i żyją w niewoli i nierówności. Przyłączą się do nas i dobrowolnie będą otwierać bramy chłopom. Będą braterscy dla swoich braci.

Ostatnie zdanie wypowiedział triumfalnym tonem i tłum zaczął na nowo wznosić okrzyki radości. Stefan jednak pozostał sceptyczny. Georg ponownie zwrócił się do niego.

- Twoje wątpliwości szybko znikną. Taka już jest ta rewolucja.

Rozprzestrzeni się szybko, z dzielnicy na dzielnicę, z ulicy na ulicę, z domu do domu. Tak było w Paryżu. Dlaczego we Frankfurcie miałyby być inaczej?

Tak, pomyślał Stefan. Dlaczego we Frankfurcie nie miałyby być tak jak we Francji? Jeśli każdy by tak wątpił, to nigdy nie doszłoby do żadnej rewolucji. Tak więc i on klaskał w dłonie, zerwał czapkę z głowy i krzychał: *Vivat!*

Kiedy Friederike obudziła się rano i wyjrzała przez okno, nie wiadomo dlaczego zaczęła płakać. Gęste chmury zawisły

nad dachami miasta i przyniosły drobny deszcz, który jak jedwabna zasłona szybował z nieba i osiadał na ubraniach ludzi, przenikając je na wylot. Delikatny deszcz, który miękko, czule i po cichu przyniósł ze sobą zimno, tak żeby ludzie poczuli je dopiero wtedy, gdy przeniknie do kości. Friederike, widząc to, wybuchnęła jeszcze większym płaczem. Potem umyła twarz, spłukała łzy wodą i ubrała się. Łzy jednak nadal płynęły i spadały na jej suknię, tworząc ciemne plamy.

Wydymuchała nos, przetarła oczy pięściami, lecz nadaremno. Nic nie mogło sprawić, by deszcz z jej oczu przestał padać. Tak więc zeszła na dół do kuchni na śniadanie, kazała Hedi przynieść sobie ciepłe mleko z miodem, wdrobiła biały chleb i pozwoliła łzom płynąć.

- Dziecko, co się z tobą dzieje?

Friederike spojrzała smutno w górę i wzruszyła ramionami.

- Czy nie uważasz, że świat jest smutny? - zapytała żałośnie.

Hedi przyciągnęła głowę Friederike do piersi i pogłaskała ją po włosach.

- Tak, moje dziecko, moja mała Fritzi, czasami tak jest.

- Aaa dlaaczeegoo? - szlochało dziecko.

- No cóż, myślę, że to jest znak tego, że się dorosło. Kiedy jest się dzieckiem, słońce świeci każdego dnia. To jest wprawdzie piękne, ale zawsze takie samo. Kiedy rośnie się, słońce świeci czasem jaśniej, czasem ciemniej. Dzisiaj tobie, mój skarbie, świeci ciemniej.

- Albo wcale.

- Wręcz przeciwnie, na pewno. Zobaczysz, w niedługim czasie znowu będziesz radosna. Nie myśl teraz o tym, co złe, myśl o tym, że właśnie teraz znowu trochę doroślejesz.

Friederike odważyła się na uśmiech przez łzy, po czym zjadła chleb i poszła z powrotem do pokoju.

Kilka dni później odbyła się koronacja cesarza. Cały Frankfurt stanął na głowie. Instytut Madame Dupont zamknięto na czas, dopóki miasto nie wróci do zwykłego stanu.

Friederike znowu stała przy oknie i płakała na wyścigi z deszczem. Potem wodziła oczyma po pokoju. Nagle wróciły jej siły. Długimi susami podbiegła do łóżeczka dla lalek, chwyciła Linę i Lenę, szarpnęła je za ręce, tak że ich kołderki tylko fruwały. Z sukieneczki Liny oderwał się kawałek jedwabiu, Lena straciła pęk włosów, jednak Friederike niczego nie zauważyła. Niemal z nienawiścią szarpała lalki, rzucając nimi o ścianę, o drzwi, a potem zbiegła po schodach, ciągnąc je za sobą, a biedne nogi lalek uderzały o stopnie. Zatrzymała się dopiero w ogrodzie.

Dysziała, pozwoliła lalkom upaść na rozmiękłą ziemię, prysnęło błoto.

Friederike przyniosła łopatę, wzięła lalki za nogi, rzuciła pod drzewo wiśniowe i zaczęła pod nim kopać. Pracowała, jakby odeszła od zmysłów. Jej plecy były mokre od potu i deszczu, jednak nie czuła tego. Wciąż wbijała łopatę w ziemię, aż wykopała kwadrat przypominający mały grób.

Tymczasem mżawka przeszła w ulewę, uderzenia kropli deszczu stały się ostre i gwałtowne, i to ją zatrzymało. Przetarła ręką czoło, oparła łopatę o drzewo, a potem usiadła obok swoich lalek i zaczęła szlochać. Głęboko tłumiona rozpacz przecisnęła się przez gardło i z zaciśniętych ust wydobył się bolesny krzyk. Całym jej ciałem wstrząsała niewidzialna siła, ramiona drżały, nawet kolana trzęsły się tak bardzo, że musiała opaść na ziemię. Po chwili Friederike podniosła Lenę, wzięła ją w ramiona i kołysała jak niemowlaka, pokrywając twarz lalki setką pocałunków.

Delikatnie wyskubała ziemię z jej włosów i pozwoliła łzom kapać w jej nieruchome oczy. Potem wzięła Linę, ją także pocałowała, znowu wyskubała ziemię z włosów, płacząc przy tym tak, jak jeszcze nikt nigdy nie płakał pod tym wiśniowym drzewem.

Była tak wyczerpana, że najchętniej położyłaby się do tego wykopanego dołu i przykryła ciepłą, pachnącą, ciężką ziemią. Włożyła tam jednak Linę i Lenę, ułożyła je przytulone do siebie, policzek do policzka, brzusek do brzuszka. Nachyliła się, jeszcze raz pocałowała każdą w czoło, po czym przysypała je ziemią, którą na koniec udeptała stopami. Wciąż płakała i płakała, ale coraz ciszej i ciszej. A kiedy już z wyczerpania nie mogła utrzymać się na nogach, zawlokła się do domu. Nie zauważyła, że Barbara obserwowała ją przez dłuższą chwilę.

Już od kilku dni w mieście panował niepokój. Ceremonię rozpoczął najwyższy pisarz kancelarii we Frankfurcie. Jechał na rumaku przez główne ulice w towarzystwie miejskich trębaczy.

Na wszystkich rogach ulic i na wszystkich placach odczytywał długie obwieszczenie informujące obywateli o zbliżających się uroczystościach. Theda stanęła z Hedi na chodniku pomiędzy Fahrgasse a Zeilem, przysłuchując się obwieszczeniu ze znudzoną miną. Nie mogła powstrzymać uśmiechu, kiedy pisarz kancelarii poprosił obywateli o stosowne sumy.

- Każdy, kto zostanie przyłapany na niegrzecznym zachowaniu względem gości - krzyczał donośnym głosem i z surowym wyrazem twarzy - pójdzie natychmiast do lochu i będzie musiał tam czekać na sprawiedliwą karę. Ponadto zabrania się przyglądania się obcym, czynienia obraźliwych uwag na temat ich ubioru i zachowania, opluwania i wszczynania burd. Żebracy, kaleki i zniekształceni przez chorobę będą wydalenii z miasta na czas uroczystości koronacyjnych. Wszystkim innym osobom zabrania się surowo wchodzenia przed oczy Jego Wysokości w brudnym odzieniu. Czeladź powinna być porządnie ubrana, studnie i fontanny mogą być używane tylko do nabrania wody...

Pisarz kancelaryjny miał jeszcze sporo do ogłoszenia, ale Theda naprawdę nie miała ochoty słuchać rad kogoś, kto ze zdenerwowania wycierał sobie gile w rękaw, zamiast, jak należy, porządnie wysmarkać się w chusteczkę.

Ruszyła spieszenie do domu, wypychając przed siebie Hedi, która chętnie by jeszcze została.

- Pani, nie tak szybko, jeszcze nigdy nie brałam udziału w koronacji cesarza od początku do końca.

Theda stanęła.

- Nie opowiadaj mi bzdur, Hedi. Od urodzenia żyjesz we Frankfurcie i masz teraz sześćdziesiąt lat. Mogłaś widzieć przynajmniej trzy koronacje.

- Tak, pani. Ale raz nie mogłam, ponieważ wy jako niemowlę ciągle chcieliście mojej piersi. A za drugim razem byłam obłożnie chora. Jestem mieszkanką Frankfurtu i mam prawo raz w życiu usłyszeć wszystko od początku.

Theda westchnęła.

- A więc dobrze. Ale weź ze sobą Friederike. Przespała ostatnią koronację, była jeszcze za mała. Także ona powinna wiedzieć, jak wybierany jest nasz cesarz.

Hedi przytaknęła gorliwie, po czym rzuciła pisarzowi kancelaryjnemu czułe spojrzenie. Theda zrozumiała.

- Idziesz teraz ze mną, bierzesz Friederike, a później róbcie, co musicie robić. W drodze do domu zatroszcz się o jedzenie z garkuchni, ale przypatrz się, żeby mięso było świeże, a olej niezjełczały.

- Pani, dziękuję po tysiącokroć. Wiedziałam, że nie zabronicie mi tej radości.

- Czy to będzie radość, pożyjemy, zobaczymy.

Godzinę później Hedi i Friederike dokładnie na czas przyszły do ratusza, żeby zobaczyć przybycie kwatermistrza Rzeszy. Był oddelegowany przez marszałka do prze-

prowadzenia inspekcji w zajazdach i mieszkaniach dla delegatów, przejściowo wynajętych u bogatszych frankfurt-czyków. Potem nastąpi przydział gości według stanu i pochodzenia. Dom handlowy Geisenheimerów na Zeilu położony był w dzielnicy, w której już z dziada pradziada dostawali przydział delegaci z Palatynatu. Hedi dowiedziała się, że hrabia von Frankenthal i Dürkheim ze swiątą sześciu osób wprowadzą się do ich dzielnicy. Natychmiast pobiegła do domu, żeby poinformować o tym Thedę i poczynić pierwsze przygotowania. Friederike zaś w tym całym zamieszaniu spotkała Madame Dupont i przyłączyła się do niej, żeby obejrzeć wystawnie przystrojone pomieszczenia w ratuszu.

Podczas następnych dni przybywali kolejni delegaci. Miasto opanowały tłumy ludzi, było jeszcze gorzej niż w dniach targowych. Obcy pędzili ulicami, składali wizyty u innych delegatów i przyjmowali rewizyty. Pomędzy nimi przeciskali się sztukmistrze ze wszystkich sąsiednich krajów, pluli ogniem, czytali z ręki, pokazywali tańce akrobatyczne i wystawiali sztuki teatralne. Wydawało się, że każda gospoda przeniosła swoje interesy na zewnątrz, bo wszędzie stały stoły, na których podawano piwo, wino i lemoniadę. Kawiarnie wypełniły się po brzegi, a na ulicach i placach rozbrzmiewały trąbki miejskich grajków i zapowiadały przybycie kolejnych delegatów. Z balkonów ratusza zwisały godła i flagi gości, tak że w niektórych miejscach niemal nie można było zobaczyć nieba.

Wrzawa osiągnęła punkt kulminacyjny, kiedy przybyli książęta elektorzy wraz ze swiątą. Do Frankfurtu wjechali trzej biskupi książęcy:

arcybiskup Moguncji,

arcybiskup Kolonii

i arcybiskup Trewiru, jak również świeccy książęta:

palatyn reński, książę Saksonii, margrabia Brandenburgii, król Czech, książę Bawarii

i książę Brunszwiku-Luneburgii z Hanoweru.

Ich wjazd był tak pompatyczny i okazały, że mieszkańcy szeroko rozdziawiali gęby i wybałuszali oczy ze zdziwienia. Huk armatni zagłuszył hałas wzniesiony przez ludzi, dym z prochu armatniego nałożył się na zapach wód kwiatowych. Można było przyjrzeć się prawdziwym książętom i naród gapił się na nich, zachwycony.

Barbara, która przysłała dziś pod ratusz, nie chcąc przegapić uroczystego pochodu, lekko szturchnęła w bok Friederike.

- Zamknij buzię - szepnęła. - Ci tam są wprawdzie książętami elektorami, ale kiedy srają, też krzywią nogi.

Friederike drgnęła, uśmiechnęła się i zamknęła usta, jak kazała bratowa.

- Ci książęta elektorzy - wyjaśniła natychmiast kucharka - dlatego są książętami elektorami, bo wybierają cesarza.

Friederike przytaknęła znudzona.

- Wiem, Hedi, uczę się tego w Instytucie. Już od kilku tygodni nie rozmawiamy o niczym innym. Najwyższym księciem elektorem spośród nich jest arcybiskup Moguncji.

Hedi potaknęła zadowolona, ale nie zawiesiła wzroku na wysokich rangą politycznych osobistościach, lecz poświęcała uwagę sukniom towarzyszących im kobiet.

Co jakiś czas Friederike wykradała się z tłumu gapiów i przytrzymywała się mocno ściany jednego z domów, ponieważ kręciło jej się w głowie.

Właśnie pojawił się arcybiskup Moguncji jako arcykanclerz, drugi rangą mąż Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego, ubrany w czarną sutannę obszytą ko-

ronką. Towarzyszył mu, jak wcześniej jego poprzednikowi, księżę Esterhazy w modnym hiszpańskim płaszczu i w przystrojonym piórami kapeluszu.

W następnych dniach w mieście znowu zapanowało ogromne poruszenie. Wydawało się, że cały naród wyszedł na ulice. Podejmowano wizyty i rewizyty, jednak dla Friederike, Hedi i Barbary złożenie przysięgi było ważniejszym spektaklem, bo większość delegatów i tak poruszała się po mieście powozami, więc nie można ich było zobaczyć.

W ratuszu miały się stawić w celu złożenia przysięgi radzie miasta wojsko i ogół obywateli. Obywatele w żadnym wypadku nie mogli być reprezentowani przez delegatów, lecz każdy musiał się stawić osobiście, również Theda, która wzięła na siebie ten obowiązek za swoich nieletnich jeszcze synów. Frankfurczycy wystroili się, żeby nie ustępować w niczym obcym. Mieli na sobie niedzielne stroje, choć i tak niektórzy wystawili się na pośmiewisko, ponieważ przedobrzyli. Stała tam więc wdowa po kupcu Holzenbachu z parasolką w pełnym słońcu, pewien szewc założył dla uczczenia tego wyjątkowego dnia czerwone buty ze sprzączką, ktoś inny chciał ukryć brak peruki, posypując włosy mąką, a jedna majstrowa miała na sobie suknię uszytą niewątpliwie z brokatowej zasłony.

Złożenie przysięgi magistratu i oficerów sztabowych odbywało się w sali ratusza, podczas gdy ogół obywateli ustawił się według stanu i stopnia na placu Ratuszowym.

Theda miała swoje miejsce z przodu, prawie w pierwszym rzędzie. Przed nią stała tylko pani Goethe, która także nie miała jeszcze tytułu szlacheckiego, i uczonego Leerse, również bez tytułu. Theda kłaniała się należycie na prawo i lewo i obserwowała przy tym dokładnie, który obywatel zajmuje które miejsce. Kiedy zobaczyła Allbergera prawie trzy długości wozu za sobą, pomachała mu z wielce zadowolonym uśmie-

chem. W gruncie rzeczy, pomyślała, to całe składanie przysięgi jest absurdalne. Kto publicznie przyzna, że nie trzyma z cesarzem? Ale jest pięknie, że w końcu dom Geisenhei-merów znowu wyraźnie nabiera w mieście znaczenia. I to bez męskiej głowy.

W przeddzień wyborów uzbrojeni miejscy strażnicy jeździli konno po ulicach i uliczkach Frankfurtu i wypędzali z miasta każdego obcego, który nie miał nic wspólnego z uroczystościami. Bramy miejskie mocno zaryglowano, Żydów zamknięto w ich ulicy za klasztorem Dominikanów, zamknięto też dom niedołężnych na Gutleufhofie.

Delegaci, którzy dotąd przemierzali się powozami kryjącymi blask ich przepychu, poruszali się dzisiaj, w dniu wyborów, na wspaniałych rumakach. Tu błyszcząły pokryte złotem naszywki, tam księżęta, pomimo letniego ciepła, prezentowali płaszcze ozdobione gronostajem, ówdzie połyskiwały pierścienie z drogocennymi kamieniami. Friederike wkrótce zrobiło się niedobrze od patrzenia na złoto i klejnoty.

Przepchnęła się przez tłum, oparła o ścianę domu i łapała powietrze.

Barbara poszła za nią.

- Co ci jest? - zapytała.

- Nie wiem - odparła Friederike. - Wszyscy ci ludzie, tłok, ścisk, ciasnota i hałas sprawiają, że robi mi się niedobrze aż po sam żołądek. Czuję się tak, jakbym miała zaraz zwymiotować.

Barbara podstawiła dziewczynie pod nos buteleczkę z pachnidłem.

- A teraz, lepiej ci?

Friederike przytaknęła. Kupiły u handlarza kubek wody, którą powoli wypijała, wkrótce skończył się też uroczysty pochód. Księżęta elektorzy zaszyli się w Sali Cesarskiej, żeby wybrać cesarza.

Lud rozplątał się. Każdy znowu myślał o swojej codziennej pracy. Theda tymczasem wybrała się do Eckeharda von Hohensteina. Musiała wykorzystać czas, kiedy dom był niemal pusty i nikt jej nie obserwował. Zanim się jednak na to zdobyła, założyła swój najpiękniejszy czepek, zrosiła szyję i płatki uszu wodą różaną z Paryża, włożyła suknię z czarną spódnicą i szarym, wysoko zapinanym gorsetem, która wciąż jeszcze mogła udawać żałobę, i dopiero kiedy była zadowolona ze swojego wyglądu, udała się w drogę.

Eckehard von Hohenstein już na nią czekał. Od czasu jego nieudanych oświadczeń nie rozmawiali ze sobą, bo na weselu Jaga nie było ku temu okazji.

Eckehard sam jej otworzył i zdjął jej z ramion lekką letnią chustę. - Ładnie pachniesz, zauważył, podał jej rękę i poprowadził do salonu, gdzie stały cenne meble, a ściany pokryte były szlachetnymi gatunkami drewna. W srebrnych ramach wisiały akwarele w chińskim stylu, na licznych małych stolikach stały srebrne kandelabry.

- Kawa, herbata czy czekolada? Czego chciałabyś się napić?

- Poproszę czekoladę.

Theda cicho westchnęła. Serce biło jej szybko. Jak często od tamtej chwili zadawała sobie pytanie, czy dobrze postąpiła! Eckehard von Hohenstein był mężczyzną, którego nie tak łatwo urazić. Był jednym z najbardziej znaczących patrycjuszów w mieście, miał wpływy, pieniądze i cieszył się wszędzie dużym poważaniem. Theda wiedziała, że we Frankfurcie było ponad tuzin wdów, które umierały z tęsknoty za nim. Przyszłyby, czołgając się na kolanach, gdyby to było warunkiem poślubienia go.

Theda w duchu zżymała się na siebie. Nie mogła go przecież poślubić tylko dlatego, żeby żadna inna go nie miała! Ale co by było, gdyby on nagle zaczął faworyzować inną kobietę? Co stałoby się z ich spokojnymi godzinami na kawę?

- O czym teraz myślisz, moja droga? - Ekehard von Hohenstein usiadł naprzeciw niej w fotelu z polakierowanymi na złoto nogami i zielonym obiciem.

Theda uśmiechnęła się.

- Ach, nic. Tyle dzieje się w mieście, myślałam właśnie o koronacji.

- A myślałaś już może o moich oświadczeniach, Thedo? Machnęła ręką, zaśmiała się zakłopotana, skubnęła czepek, wypła łyk czekolady i na koniec wzięła biszkopta.

- Thedo, zapytałem cię o coś.

Tak nagle jak nadciąga letnia burza, twarz Thedy zachmurzyła się. Pochyliła się odrobinę do przodu i spuściła wzrok, nie mogła jednak ukryć łez spadających na jej szary gorset

1 pozostawiających tam ciemne plamy.

- Ależ Thedo, co się dzieje?

Ekehard von Hohenstein zerwał się z fotela, podbiegł do Thedy, upadł przed nią na kolana i spojrzał jej w oczy.

- Ty płaczesz, moja droga. Dlaczego? Zrobię wszystko, żeby ukoić twoje łzy.

Theda westchnęła.

- To nie rozmawiaj ze mną więcej o ślubie.

- Czy ta myśl wydaje ci się tak bardzo nie do zniesienia? Teraz Theda dała upust łzom. Ekehard von Hohenstein ukrył jej głowę na swojej piersi, głaskał ją po plecach i ramionach i szeptał uspokajająco:

- Już, spokojnie, spokojnie. Całkiem spokojnie. Theda wreszcie uspokoiła się. Oswobodziła się z ramion

Kckeharda, spojrzała na niego podpuchniętymi oczami i wyszeptała:

- Nie mogę cię kochać. I dlatego nie mogę zostać twoją żoną.

Eckehard von Hohenstein się zmartwił.

- Dlaczego nie możesz mnie kochać, Thedo? Czy uważasz, że jestem odrażający?

- Ależ nie, absolutnie nie. Ale kochania, Eckehardzie, nie nauczyłam się. Nie wiem, jak to się robi.

Przełknęła ślinę, ugryzła się w usta aż do czerwoności, jak młoda służąca. Eckehard wziął jej twarz w obie dłonie i chciał przycisnąć swoje suche, twarde usta do jej miękkich i ciepłych warg, ale Theda powstrzymała go, włożyła sobie szybko do ust dwie fioletowe pastylki i dopiero wtedy pozwoliła się pocałować.

Kiedy Barbara z Hedi i Friederike wróciły do domu, Jaga nie było. Ani w domu, ani w biurze, ani też w magazynie.

- Wiecie, gdzie się ukrywa mój mąż? - zapytała Barbara prokurenta Kalisa.

Ten potrząsnął głową.

- Też chciałbym to wiedzieć. Ktoś musi jeszcze raz sprawdzić księgi.

Targi są już za pasem. Skąd mam wiedzieć, które weksle będą płatne?

- Daj je tutaj!

Barbara usiadła przy dużym stole i zaczęła kontrolować księgi handlowe.

Tu znalazła mały błąd, tu niedokładny opis towaru, tam nieczytelne słowo.

Po czterech godzinach jej oczy płonęły. Odłożyła pióro na bok, zakreśliła kałamarz i posypała ostatnią stronę księgi piaskiem.

- Wszystko jest w najlepszym porządku. Sam zobacz. Kalis wstał i przyjrzał się pracy młodej pani.

- Macie wprawę, prawda? Barbara potaknęła.

- Od wielu lat prowadziłam księgi ojcu. Wysyłałam także zamówienia, właściwie robiłam wszystko, co jest do zrobienia w domu kupieckim. Kalis uśmiechnął się.

- Cieszę się, że to słyszę. Od wielu dni nikt mi nie daje żadnych wskazówek. Pani przychodzi wprawdzie punktualnie, ale jest za bardzo zajęta, żeby prowadzić interesy. A Jago? Sami wiecie, jak to z nim jest. Możecie mi zatem powiedzieć, co jest do załatwienia w następnych dniach?

Barbara zastanowiła się chwilę.

- Armia francuska podchodzi pod Moguncję. Myślicie, że to możliwe, że obiegną także Frankfurt?

Prokurent pokiwał głową.

- Oczywiście, pani. Tutaj, w tym mieście znajduje się większość krajowego kapitału. Wszystkie drogi handlowe prowadzą przez Frankfurt. Francuzi byliby głupi, gdyby ominęli miasto. A tacy z pewnością nie są.

- Tak więc musimy zrobić zapasy na czas oblężenia. Potrzebujemy pszenicy, wina, wędzonego mięsa, do tego drewna i sporo lnianego płótna. Specjały są tak samo ważne. Francuzi są rozpieszczeni. Najlepiej by było, gdybyśmy wypełnili magazyny aż po brzegi.

Prokurent pokręcił głową.

- Kiedy okupanci będą plądrować, możemy wiele stracić - zwrócił uwagę.

- Ten dom jest prowadzony przez wdowę - powiedziała Barbara. - Nikt się nie ośmieli do niego zbliżyć. Poza tym Francuzi nie będą się narażać frankfurckim osobistościom... Potrzebują nas, Kalisie, uwierz mi.

Mężczyzna uśmiechnął się.

- Możliwie, że macie rację, młoda pani. W czasie ostatniej okupacji Francuzi także nie przywłaszczyli sobie własności kupców.

- A jeśli zaraz na początku oblężenia zaoferujemy kwa-

tery dla wysokich rangą oficerów, to nic już nie będzie mogło się nam stać.

Barbara, uśmiechnięta, spojrzała na prokurenta Kalisa z miną konspiratorki. Ten odwzajemnił uśmiech i wzruszył ramionami.

- Naturalnie, w latach sześćdziesiątych, podczas wojny, najlepiej szło tym, którzy zbratali się z Francuzami. Dlaczego tym razem ma być inaczej?

Jego ostatnie słowa jeszcze nie przebrzmiały, kiedy huk armatni wstrząsnął miastem.

- Co to było? - Barbara przestraszona, podbiegła do okna.

- Wybory się zakończyły. Teraz ogłoszą nowego cesarza - odparł Kalis spokojnie, jakby oglądał takie uroczystości do znudzenia.

Na Zeilu słyhać już było pierwsze uderzenia kopyt konnych posłańców. Barbara wybiegła na zewnątrz, Kalis za nią. Miejscy trębacze jechali przodem, za nimi pisarz kancelarii, głośno wykrzykujący, że na nowego cesarza wybrano Franciszka II. Poza tym ogłoszono, że cesarz przebywa na zamku hrabiego Schoenborna w Heusenstamm.

Heroldzi już prawie zniknęli, kiedy zaczęły rozbrzmiewać dzwony wszystkich kościołów w mieście. Wszędzie odbywały się msze. Ludzie spieszyli we wszystkich kierunkach. Członkowie Kościoła ewangelicko-reformowanego udali się w drogę do Bockenheim, do swojej świątyni, nieliczni katolicy napływali do kościoła Najświętszej Marii Panny, ponieważ katedra wciąż jeszcze była zamknięta z powodu przygotowań do koronacji. Protestanci mieszkający na Zeilu udali się miarowym krokiem do Świętej Katarzyny.

Theda, Hedi i Friederike stały już w drzwiach domu. Theda trzymała pod ręką czerwoną Biblię.

- Synowo, nie idziesz z nami?

Barbara zastanowiła się krótko, po czym potrząsnęła głową.

- Jak to by wyglądało, gdybym w taki dzień pojawiła się w kościele sama, bez męża? Dlatego chętniej będę się trzymała z daleka i pozwolę myśleć tym u Świętej Katarzyny, że jestem z Jagiem u Świętego Mikołaja, po drugiej stronie.

Theda uśmiechnęła się i przytaknęła z aprobatą, po czym zwróciła się do Kalisa.

- Pojutrze, zaraz po koronacji, przyjdę do was i omówimy, co trzeba zrobić w biurze i magazynie.

Kalis machnął ręką.

- Nie ma pośpiechu, pani. Tymczasem mam wystarczająco dużo zajęć.

- Jak to? Czy Jago namyślił się i zabrał się do pracy?

- Nie, pani. Młoda pani przyszła do kantoru.

- Ach tak? - Theda wysłała Barbarze badawcze spojrzenie. Zrobiła to jednak tak, jakby przyglądała się wróblom na dachu. Potem podeszła bliżej do Kalisa.

- I jak ona sobie radzi?

- Zna się na rzeczy, ma głowę kupca i dukaty w spojrzeniu. Lepiej niż Jago. Wybacz, pani, ale ona jest z pewnością lepsza od Jaga.

Kalis uklonił się po tych słowach i odszedł. Theda życzyła jeszcze

Barbarze pięknego wieczoru i wielce uradowana udała się do kościoła.

Barbara siedziała na najwyższym stopniu schodów, mając oko na drzwi wejściowe. Odkąd ogłoszono wybór nowego cesarza, minęły godziny.

Miała na sobie cienką koszulę nocną, a na ramionach lekką chustę. Letnia noc była rześka. Siedziała tu już dość długo i nocny chłód wkradł się pod jej koszulę. W domu było cicho. Theda pół godziny temu położyła się do łóżka, nie zapominając nagrodzić Barbary za dzisiejszą pracę w biurze.

- Jesteś taką synową, jaką sobie wymarzyłam - powie-

działa. - Słyszałam, że przydałaś się w kantorze. To jak będzie? Może podzielimy się pracą? Ja w dalszym ciągu będę odpowiedzialna za wszystkie sprawy domowe, a ty będziesz się troszczyć o biuro?

Oczywiście, to Jago jest właścicielem, ale wiesz, jaki on jest.

Theda spojrzała przyjaźnie na Barbarę i nawet uszczypnęła ją lekko w policzek. Lecz Barbara nie pozwoliła się omamić uprzejmościami Thedy.

- Chcecie, teściowo, żebym pracowała jak prokurent, nie płacąc mi za to. *C'est vrai, n'est-ce pas?*

- *Mon Dieu, ma chère*, a co ty sobie wyobrażasz? Oczywiście, że dostaniesz za to zapłatę, ale inną niż Kalis, pisarze, uczniowie, ładowacze i wszyscy inni. Kiedyś urodzisz mężowi dziecko i ono wszystko odziedziczy.

- Jednak, *chère maman*, tak się też stanie, jeśli nie będę nic robić w kantorze.

Theda westchnęła.

- Czego więc żadasz?

- Takiej samej zapłaty jak Kalis.

- Ale Kalis jest bardziej doświadczony niż ty.

- Zgadza się, ale ja znam się lepiej na bankowości. Obie panie targowały się jeszcze chwilę, po czym Theda zgodziła się na żądania Barbary.

- Dobrze. Pod koniec każdego miesiąca będę przekazywać twojemu mężowi twoją wypłatę zgodnie z umową.

- Będziecie dawać mnie te pieniądze, *chère maman*. Nie jemu. Przecież wiecie, że zanosiłby je tylko do kawiarni albo kazał za to drukować te swoje rymowanki.

- Masz rację, moja droga. Z uwagi na to będę pozwalala tobie wypłacać pensję. Nie chciałabym jednak, żeby od razu całe miasto wycierało sobie tym gębę.

- To, *chère maman*, nie byłoby także w moim interesie. Theda przez dłuższą chwilę przyglądała się badawczo synowej. W końcu uśmiechnęła się.

- Nie wiem, Barbaro, czy powinnam cię podziwiać, czy obawiać się ciebie. W wielu sprawach jesteś tak bardzo do mnie podobna.

Następnie odwróciła się i poszła do swojego pokoju.

Stefan, Friederike i służący również spali już od dawna. Z ulicy dochodziły tylko kroki stróża nocnego sprawdzającego latarnie.

Czas mijał. Barbarze zrobiło się bardzo zimno. Podniosła się więc i zeszła na dół do kuchni, żeby przygotować sobie gorące mleko migdałowe.

Mleko właśnie się gotowało, kiedy Jago wrócił do domu.

- Muszę z tobą porozmawiać - oświadczyła Barbara w przedpokoju. -
Chodź ze mną do kuchni.

- Teraz? Jest już późno, jestem zmęczony. Jedyne, co chciałbym zrobić, to pójść spać.

Wtedy Barbara przysunęła się blisko do niego i syknęła:

- Spać? Tak, ja też bym tego chciała. I to już od paru godzin. Wiesz, co zamiast tego robiłam? Pracowałam w kantorze, wykonując twoje zadania. A ty? Gdzie ty byłeś cały dzień?

Jago zwiesił nos na kwintę, nie rozumiejąc.

- Byłem tam, gdzie był cały Frankfurt. Dziś bowiem odbyły się wybory na cesarza, moja droga.

- To wiem. - Barbara prychnęła znowu. - A w którym kościele byłeś na mszy, podczas gdy ja czekałam tu na ciebie?

- Miałem jeszcze coś do załatwienia. W niedzielę pójdziemy do kościoła. Jago chciał się odwrócić, jednak Barbara skuliła się na kuchennej ławie i wybuchnęła płaczem, trzymając kurczowo w dłoniach kubek mleka.

- O co chodzi? - Jago usiadł obok niej i pogłaskał ją delikatnie po plecach. Barbara spojrzała po chwili w górę.

- Czego ty szukasz poza domem, tutaj nie możesz tego znaleźć? - zapytała, i po raz pierwszy w jej słowach dało się słyszeć rozczarowanie małżeństwem i nim.
- Szukam życia. Chcę je zawrzeć w wierszach. Wiesz, że jestem poetą, nie jestem stworzony do interesów.
- Szukasz życia w swoich wierszach, czy znajdujesz je tam?
Jago wzruszył ramionami.
- Ani jedno, ani drugie, moja droga.
- Co w takim razie?
- Piszę je tylko, to wszystko.
- Dlaczego je piszesz, Jago? Dlaczego twoje szczęście leży w tych wierszach?
- Ponieważ światem rządzą idee i duch. I rozum. Barbara westchnęła.
- Myślałam, że miłość. Jago zrobił obrażoną minę.
- W każdym razie nie są to pieniądze, biuro czy stałe miejsce w Alten Limpurg - powiedział, po czym wstał i zostawił ją samą z kubkiem powoli stygnącego mleka.

Koronacja cesarza została świadomie przesunięta na 14 lipca 1792 roku. Dokładnie trzy lata temu szturm na Ba-stylię zyskał rozgłos w całej Europie. Gdyby ta iskra przeskoczyła choć w niewielkim stopniu na inne państwa, to czy ustalony przez Boga porządek nie zostałby wywrócony do góry nogami? Nie w Świętym Cesarstwie Rzymskim Narodu Niemieckiego, tu książęta byli ze sobą zgodni, a już na pewno nie we Frankfurcie, wolnym mieście Rzeszy, gdzie dzisiaj zostanie ukoronowany cesarz.

W nocy gwałtowna burza zmyła kurz z ulic i domów. Rankiem bruk lśnił, a czerwone gonty dachów błyszcząły w złotym świetle słońca. Ze wszystkich domów, z ostatniej chałupy, przez wszystkie ulice i uliczki, od wszystkich bram nadciągali do ratusza odświętnie ubrani frankfurt-czycy. Już na wiele godzin przed koronacją, która odbywała się w katedrze Świętego Bartłomieja, plac Ratuszowy roił się od ludzi. Stali tam rzemieślnicy obok praczek, czeladnicy obok mistrzów, służące obok zakonnic, kramarki obok właścicieli kantorów.

Zamożni mieszczanie już wcześniej zapewnili sobie miejsca w oknach domów stojących wokół placu, żeby nie stracić nic z uroczystości. Theda wraz z rodziną stała przy

dużym oknie w domu Alten Limpurg. Friederike wyglądała blado, jednak jej oczy błyszczały.

- Chciałabym zobaczyć saksońskich delegatów - oznajmiła.

- Dlaczego akurat Saksończyków? Mówi się o nich, że są głośni i grubiańscy - zapytała Barbara.

- Też coś! Zazdrosna gadanina, nic więcej. Nasz Goethe studiował w Lipsku. Czy nie mówił, że Lipsk jest małym Paryżem i kształci swoich ludzi?

- Goethe. No tak. Jeśli on by tego nie wiedział, to kto! -Głos Barbary brzmiał pogardliwie.

Herzguetl i Hedi, które stały w drugim rzędzie i trzymały pieczę nad koszami z zimną pieczenią i winem, wtrąciły się.

- Myślę - powiedziała Herzguetl - że nie powinnaś być wściekła na wszystkich poetów.

Hedi ruszyła z pomocą.

- Goethe, który jest prawie jak Bóg, nie unieszczęśliwi cię, moje dziecko. Barbara pokiwała głową i dobitnie zapewniła:

- Do poetów nic nie mam. Nie potrafię tylko znaleźć w ich działaniach żadnego pożytku. Co to za poeta z mężczyzny, który nie troszczy się o kobiety i dobrobyt swojego domu.

Jago, słysząc to, odwrócił się. Szykował się już, żeby się ulotnić, ale Theda przytrzymała go mocno.

- Tak długo, jak tu stoimy na widoku, nie ruszysz się. Zrozumiałeś?

Kiwnął potakująco głową i wrócił do drugiego rzędu. Ludzie zebrani na placu przekazywali dalej, co wołali do nich stojący bliżej, na moście.

- Teraz cesarz otrzymał klucze miasta. Jest jeszcze przed bramą, jeszcze na moście.

Narastał szum, jakby zbliżały się roje setek, tysięcy zdenerwowanych pszczoł. Pierwsi rzemieślnicy rzucili czapki

w powietrze i zawołali: *Vivat!* Powoli zbliżało się czoło pochodu, torując sobie w ścisku drogę. Na czele, na szlachetnym rumaku jechał koniuszy Frankfurtu w narzuconym na ramiona płaszczu z godłem. Lew na złotym polu prezentował się bardzo majestatycznie. Tak przynajmniej Hedi przedstawiła to Herzguetl, a zachowywała się przy tym tak, jakby sama była nieodzowną częścią cesarskiej koronacji. Na co Herzguetl odparła: - Jesteście bardzo dumni ze swojego monarchy, czyż nie? Ale my w Szwajcarii mamy takich więcej niż wy.

Hedi zaniemówiła. Chętnie podeszła bliżej okna i objaśniała teraz Friederike, która sama mogła to dobrze widzieć, co działo się przed ich oczami:

- Spójrz, dziecko, teraz nadchodzą oficerowie naszego miasta, a także dobosze i trębacze. Za nimi idą przedstawiciele rady. Gdyby twój pan ojciec jeszcze żył, z pewnością szedłby między nimi. A z tyłu, to... marszałek Rzeszy.

I tak orszak przesuwał się, aż w końcu za świeckimi książętami elektami ukazała się wystawna świta arcybiskupa Moguncji. Najpierw szło dziesięciu cesarskich gońców w towarzystwie czterech tuzinów lokajów i tuzina hajduków, a potem pojawił się drugi rangą mąż cesarstwa we własnej osobie. Jechał w okazałej karocy, pokrytej malowidłami, rzeźbami i złoceniami, które wprost oślepiały widzów. Zanim władze miasta w piętnastu dwukonnych powozach zakończyły pochód, lud podziwiał nowego cesarza, Franciszka Józefa Karola Habsburga, arcyksięcia Lotaryngii i Toskanii i władcę Węgier i Czech. Lecz wkrótce cały ten blask, cały książęcy przepych zniknął w katedrze Świętego Bartłomieja. Hedi wiedziała, wprawdzie tylko z opowiadań, co teraz nastąpi, ale nie odmówiła sobie poinformowania Herzguetl drobiazgowo, co się dzieje za potężnym portalem świątyni.

- Teraz insygnia Rzeszy wnoszone są do katedry. Zazwyczaj przechowuje się je w Norymberdze i Akwizgranie, ale

dzisiaj będą użyte tutaj. Insignia Rzeszy to oczywiście berło i jabłko Rzeszy. Korona musi być wykonana specjalnie dla każdego nowego cesarza. Także ona zostanie wniesiona do katedry. Panowie stróże dziedzictwa Rzeszy przyjmują ją i kładą na ołtarzu. Potem następuje przysięga Rzeszy, w której nowy cesarz obiecuje sumiennie wykonywać swoje obowiązki. A potem wszystko idzie dalej. Po koronacji jeszcze kilku panów pasowanych jest na rycerzy, w tym przypadku przedstawiciele Akwizgranu i Norymbergi, którzy przywieźli kosztowności Rzeszy. Herzguetl zrobiła duże oczy.

- To z pewnością długo potrwa, czyż nie? - zapytała, a Hedi przytaknęła.

- O tak, to potrwa, moja droga. Całe godziny. Widzicie fontannę po drugiej stronie? Po tym, jak cesarz pokaże się na balkonie, z fontanny wytryśnie czerwone i białe wino. I jest już góra worków owsa. To wszystko zalicza się do koronacji, także kuchnia z desek ustawiona z tyłu. Widzicie tego okazałego wołu, który smaży się nad ogniem? Pierwszy kawałek należy się cesarzowi, resztę podzielią między ludzi. Ale, jak już mówiłam, to może potrwać wiele godzin. Jak dobrze, że przygotowaliśmy już ucztę dla naszych państwa.

Obie kobiety obróciły się i zobaczyły, że Theda i reszta rodziny zasiadła właśnie do stołu. Dla uczczenia dzisiejszego dnia otworzono butelkę najlepszego wina i wzniesiono toast za cesarza.

Słońce stało w zenicie, kiedy cesarz wraz ze swoją świtą udał się wreszcie z katedry do ratusza. Ubrany był w płaszcz koronacyjny z czerwonego jedwabiu, bogato zdobiony perłami i kamieniami szlachetnymi. Na głowie miał koronę, a w rękach jabłko i berło.

Kiedy z setek gardeł wyrwał się okrzyk wiwatu, Geisenheimerowie podbiegli do okna, żeby podziwiać Jego Wysokość na ratuszowym balkonie.

U stóp schodów ratusza pojawił się marszałek na pięknym rumaku. Trzymając w ręku srebrną misę, podjechał do góry owsa, nappełnił nim naczynie i ofiarował cesarzowi.

- Chodzi o to - wyjaśniła Hedi Herzguetl - żeby nikt w całej Rzeszy nie głodował.

Teraz skarbnik miasta Frankfurtu podjechał ze srebrnym dzbanem do fontanny, otworzył beczki i wino połało się strumieniami. Skarbnik nappełnił dzban i przekazał nowemu władcy.

- A to - powiedziała Hedi do Herzguetl - żeby nikt w Rzeszy nie musiał cierpieć z pragnienia.

Jako trzeci pędził stolnik, żeby przynieść władcy kawałek pieczonego wołu.

Kiedy dostojnicy podeszli do cesarza, nic już nie powstrzymało tłumu. Jak tylko urzędnik sprawujący pieczę nad cesarską winiarnią sięgnął po torbę przy swoim siodle, tłum zakołysał się. Setki rąk wystrzeliło w górę, ściągnięto czapki z głów. Mężczyzna chwycił za torbę i na ludzi spadł brzęczący deszcz złotych i srebrnych monet. Zaczęła się przepychanka, jakiej Herzguetl jeszcze nigdy nie widziała. Przebierała nogami i patrzyła tęsknie w stronę drzwi.

- Co, chcielibyście być na dole z ludem? - zapytała Hedi.

- Tak - odpowiedziała Herzguetl. - Przydałby się złoty dukat, czyż nie? Geisenheimerowie jeszcze chwilę przypatrywali się przepychance. Potem jako pierwszy pożegnał się Jago, który mówił o pilnych interesach, za nim podążył Stefan, podając jako powód konieczność odrobienia szkolnych zadań, a na koniec podążyła Barbara oraz Friederike i Theda ze służbą.

W domu Theda poszła do swojego salonu, rzuciła czepek na stół, przejechała ręką po krótkich, szarych włosach, zdjęła buty i opadła na otomanę, wzdychając.

- Co za szczęście, że ten jarmark kiedyś się skończy. Barbara przytaknęła, usiadła w fotelu i wachlowała się wachlarzem dla ochłody.

- Ja także jestem zadowolona, że w końcu znowu wróciłam do dnia powszedniego - powiedziała. - Słyszysz się, że Francuzi wciąż jeszcze zagrażają Moguncji.

Theda podniosła się.

- Też to słyszałam, ale co to ma wspólnego z naszym dniem powszednim? Barbara ściągnęła usta.

- Uzgodniłam z Kalisem, że przezornie zaopatrzymy się na wypadek oblężenia.

Theda skinęła głową i badawczo spojrzała na synową, po czym zapytała:

- Gdzie jest Jago?

Barbara wzruszyła ramionami.

- Myślę, że w kawiarni. Powiedział, że chce się tam spotkać z wydawcą. Mercurius, tak się nazywa, planuje wydrukować wiersze Jaga i rozpowszechnić w formie książki.

- Co? - Theda wyprostowała się. - On chce zrobić książkę ze swoich trąb powietrznych?

Barbara zachichotała, jednak Theda z miejsca przywołała ją do porządku.

- Nie wiesz, co to oznacza? Barbara potrząsnęła głową.

- Zbłąźni się. To w zasadzie nie miałoby znaczenia, ale przy tym ośmieszy i nas. Wyobraź sobie, że przyjedzie tu jakiś klient, może kupiec z Saksonii albo bankier, który wie, jakie straszne wiersze Jago rymuje. Będą się szyderczo uśmiechać, obłudnie będą nas pytać, jak się ma sztuka, i nie będą mogli się powstrzymać od śmiechu. A na koniec będą cytować te błazeństwa, które wypływają spod pióra Jaga. Nie, muszę temu zapobiec. Koniecznie. A ty, Barbaro, pomożesz mi w tym.

Barbara się wyprostowała.

- Ale, *chere maman*, czy myśleliście już kiedyś o tym, że Jago może naprawdę mógłby zostać poetą?

- Co masz na myśli? - Theda ściągnęła brwi.

- To, że może on ma do tego talent. Tak jak Goethe, i wszyscy inni.

- A skąd by miał go mieć, *ma chere*? Barbara wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Możliwe, że był w waszej rodzinie ktoś, kto wyróżniał się pisaniem wierszy.

- Bzdura! - Twarz Thedy była tak niezłomna jak drzwi banku po skończeniu pracy. Nikt z nas nie zajmował się nigdy tak bezużytecznymi rzeczami. Geisenheimerowie nie, a i Eisenbergerowie też nie. On nie może mieć tego po nikim.

- Hmm... - Barbara chrząknęła. - Ojciec Goethego też nie był żadnym poetą. Mówi się, że jego babka miała karczmę. Tak więc także Goethe nie miał żadnych wzorców, a został poetą.

Theda potrząsnęła energicznie głową.

- Jago nie jest poetą. Wiem to. W końcu jestem jego matką. On jest marzycielem, a nawet wałkoniem i snobem, który unika uczciwej pracy. Mogłabym powiedzieć, że jest obibokiem bez stałego zajęcia, ale poetą? Nie, poetą to on nie jest.

Wypowiedziała te słowa tak pewnie, że Barbara mogła tylko przytaknąć.

- Dobrze, skoro tak uważacie. Mnie jest to obojętne. Jago może sobie pisać, dopóki pióro mu się nie rozpadnie. Ja mam wystarczająco dużo pracy.

Lato powoli blakło, blakła też świeżość na twarzy Friederike. Błada, z pustymi oczami, ciężkim krokiem snuła się po domu.

Barbara nie mogła dłużej na to patrzeć:

- Friederike, dziecko, co się z tobą dzieje? Czy na pewno nie jesteś ciężarna?

- Zostaw mnie - odpowiedziała Friederike. - Nie wiem, czym jestem i jaka jestem, i nie chcę tego wiedzieć. - Jej oczy wypełniły się łzami.

- Już długo do ciebie nie pisał, prawda? Twój Christian z Lipska.

Friederike wybuchnęła szlochem i wybiegła z pokoju. Barbara spojrzała za nią, westchnęła, po czym udała się do Thedy do salonu.

- Przypuszczam, że mała urodzi dziecko - powiedziała. Nastawiła się na to, że Theda będzie przerażona, ta jednak pozostała całkiem spokojna, odłożyła książkę na bok i odparła:

- Wiem. A przynajmniej przeczuwałam to od kilku tygodni.

- I co chcecie zrobić, mamó? Rozmawialiście już z nią? Theda potrząsnęła głową.

- Narobiła sobie kłopotu i teraz do niej należy wyjawienie mi tego. Pomóc można tylko temu, kto prosi o pomoc.

- Jak was znam, myślałyście już o przyszłości Fritzi, prawda?

- Oczywiście. Jak tylko będzie coś po niej widać, a to nastąpi wkrótce, Friederike będzie musiała opuścić Frankfurt. Do akuszerki nie zechce pójść. Ma za łagodne usposobienie, mogłaby się załamać. Poza tym wiele z tych akuszerok robi fuszerki. Tak więc wyjedzie i wyda gdzieś dziecko na świat. Potem trzeba będzie poszukać dla niego rodziców. Dziecku nie powinno niczego brakować. Nie pozwolę jednak zniszczyć przyszłości mojej córki przez nieprzemyślany młodzieńczy grzech. Mam jeszcze plany z nią związane.

- A dokąd zamierzacie ją wysłać?

Theda uniosła głowę i spojrzała na drzwi. Po czym powiedziała głośniejszym głosem niż przed chwilą:

- Wyślę Friederike do ciotki Luzie do Bingen. Tam zostanie, dopóki nie urodzi się dziecko. Ludziom powiemy, że jedzie do Bingen, żeby zaopiekować się ciotką.

- Mamo, czy naprawdę myślicie, że ciotka Luzie będzie dobra dla Friederike? - Barbara nie chciała wierzyć własnym uszom.

- Nie chodzi przecież o to, kto albo co jest dla niej dobre. O tym powinna była pomyśleć wcześniej. Teraz chodzi tylko o to, żeby wstyd trzymać z dala od domu. Jago wystarczająco się troszczy o to, żeby ludzie gadali. Reputacja Friederike nie będzie zbrukana.

Po tych słowach Theda wstała i podeszła do okna. Był to dla Barbary znak do opuszczenia salonu.

Udała się do pokoju muzycznego, jak zawsze, kiedy była zamyślona. Tam wyciągnęła cymbalki i zaczęła uderzać pałeczkami w struny. Pierwsze tony jeszcze dobrze nie przebrzmiały, kiedy pojawiła się Herzguetl.

Wzięła swoje cymbalki i obie aż do zmierzchu grały piosenki z Appenzel. Friederike była przerażona. Oni wszystko wiedzą, myślała. Wiedzą wszystko, tylko nie to, że Christian mnie zdradził. Nie pisze już do mnie. Skąd mam wziąć siły, żeby urodzić dziecko, kiedy jego nie ma? I jak mam to dziecko oddać? Nie, nie mam serca, żeby to zrobić. Ono należy do Christiana i do mnie. I mam jechać do ciotki Luzie? Już na samą myśl o ciotce po plecach Friederike przeszły ciarki. Przez całe życie jej własna matka nie miała dla niej zrozumienia, ale od ciotki Luzie nie oczekiwała niczego poza zarzutami i wymówkami.

Dlaczego Christian już do mnie nie pisze? Czy zapomniał o mnie? Przez te studia po prostu zapomniał? Friederike rozmyślała. Ach, wiem, że ucieszyłby się z dziecka. Naszego dziec-

ka. Może nie od razu, może nie z całego serca. W końcu jest ogólnie przyjęte, że najpierw bierze się ślub, a potem rodzi się dzieci. A może jego ojciec ma co do niego inne plany? Ale bądź co bądź jestem przecież dobrą partią. Nie jest niczym niezwykłym, że dziewczyny w moim wieku stają przed ołtarzem. A Christian ma w końcu już dziewiętnaście lat. Muszę do niego pojechać, pomyślała Friederike. Muszę mu powiedzieć, że go kocham. I że spodziewamy się dziecka. Muszę pojechać do Christiana, nie mogę z tym czekać ani jednego dnia dłużej.

Pospiesznie spakowała kilka rzeczy. Łzy płynęły jej po twarzy i czuła się tak samotna jak jeszcze nigdy w swym młodym życiu.

Tymczasem Theda nadzorowała prace załadunkowe na podwórzu. Targi właśnie się zakończyły i wspólnie z Barbarą i Kalisem postanowili, że dadzą karawanie kupieckiej z Lipska trzy wozy specjałów, które zamówił tamtejszy kupiec.

Ładowacze przynosili worek za workiem i uważnie pakowali te wartościowe towary na wóz. Pisarz stał obok magazynu, sprawdzał wagę każdego worka i notował w księdze biurowej. Kiedy Theda była pewna, że wszystko odbyło się należycie, poszła do biura.

- Kto jest naszym najsolidniejszym pracownikiem? -zapytała Kalisa.

Prokurent nie zastanawiał się długo.

- Ronald. Jest wprawdzie jeszcze młody, ale to bardzo solidny chłopak i działa z głową. Do czego go potrzebujecie?

- Chciałabym, żeby odwiózł towary do Lipska. Kalis uniósł wysoko brwi.

- Jeszcze nigdy tego nie robiliśmy. Nasze wozy są częścią wielkiej karawany kupieckiej. Będzie pilnowana przez konnych. Nie potrzebujemy dodatkowej ochrony.

- Tym razem jednak tak - postanowiła Theda. - Przyślij go do mnie, muszę z nim pomówić.

Kalis spojrzał zaskoczony, ale zaraz przyprowadził chłopaka. Theda wyszła z nim na podwórze i coś mu tłumaczyła. Kalis nadstawił ucha, lecz choć bardzo się wysiłał, nie udało mu się niczego wychwycić. Potem Theda udała się do siebie i usiadła przy biurku. Westchnęła głęboko i zabrała się do pisania listu, żeby skierować przyszłość córki na dobrą drogę.

- Obiecałeś mi przynieść naszyjnik. - Erato zrobiła nadąsaną minę.
- Jeszcze mi się to nie udało, moja kochana. Wiesz, targi, jestem kupcem.
- Jesteś poetą.

- Dobrze, ale w czasie targów także kupcem.

- A kiedy wreszcie dostanę naszyjnik?

- To już nie potrwa długo, moja Erato. Jak tylko będę miał czas.

Dziewczyna zerwała się z jego kolan.

- Nie! - krzyknęła wściekle. - Nie kiedyś tam, nie, kiedy znajdziesz czas. Chcę go mieć teraz! Jesteś mi to winien.

Jago patrzył na nią zdumiony.

- Winien? Jak to?

- Tak to. Bo się ze mną nie ożeniłeś.

Głos Erato słyhać było w całej sali. Goście siedzący przy stolikach zaczęli zwracać na nich uwagę. Do kawiarni wszedł wydawca Mercurius.

- Cicho, Erato, proszę cię. Jutro rozejrzę się za naszyjnikiem dla ciebie, ale teraz trzymaj język za zębami.

Jago przestraszył się. Z przerażeniem patrzył na Erato, ale w jej oczach dostrzegł tylko ośli upór.

Tymczasem wydawca podszedł do jego stolika.

- Czy można?

Jago zerwał się gorliwie, pomógł mu zdjąć płaszcz, podsunął krzesło. Mówili o tym i o tamtym, i o najnowszym wydaniu literackiego „Merkurego”. Omówili także spór na uniwersytecie w Jenie dotyczący pism Kanta i na marginesie wspomnieli o Goethem, który wspólnie z księciem Weimaru miał stacjonować pod Valmy. W końcu Mercurius uśmiechnął się.

- Powiedz, najczcigodniejszy, jak stoisz z wierszami? Jago nie słyszał go. Patrzył na Erato, która stała przy innym stole i śmiała się z odrzuconą do tyłu głową. Widział, jak głaskała po włosach młodego kupca, który miał dobre pieniądze i złą sławę. Płoneła w nim zazdrość.

- Geisenheimer?

Jakby z oddali usłyszał głos Mercuriusa, zagłuszany przez trzaskający w nim ogień.

- Geisenheimer?

- Tak? Przepraszam, zamyśliłem się.

- Co z waszymi wierszami? Są gotowe?

- Jeszcze niezupełnie, ale wkrótce będą. Naprawdę. Potrzebuję jeszcze jednego albo dwóch wierszy, żeby dopełnić całości. Rozumiecie?

- Szczerze mówiąc, nie. Prosiłście mnie, błagaliście wręcz na klęczkach, żebym wydrukował wasze wiersze. Wiecie, że nie byłem zachwycony. Wiersze w czasie wojny! Teraz trudno coś takiego sprzedać. Ale dobrze, chciałem dać wam szansę. A teraz zostawiacie mnie na lodzie, zwodząc obietnicami raz za razem.

Jago ścisnął nad kawiarnianym stolikiem rękę Mercuriusa.

- Jeszcze dwa albo trzy wiersze, nie więcej. Za tydzień będziecie je mieć na stole. Obiecuję wam.

Mercurius wstał i wepchnął sobie pod pachę kapelusz.

- Zdaję się na wasze słowo, mój drogi. Tydzień, i ani dnia dłużej. Każcie Pegazowi frunąć, radzę wam.

Jago przełknął ślinę i przytaknął. Bezradnie patrzył, jak wydawca sztywnym krokiem opuszcza kawiarnię. Potem poszukał spojrzeniem Erato, ale jej nie znalazł. Słyszał tylko jej śmiech i stwierdził, że kupiec nie siedzi już na swoim miejscu. Wtedy wstał i wyszedł, żeby kupić naszyjnik.

- Gdybym tylko mógł cię zrozumieć, Thedo. Gdybyś mogła mi powiedzieć, jak się czujesz.

Eckehard von Hohenstein kazał podać kawę w Belvederchen, małym ogrodzie na dachu domu.

Theda powoli zdejmowała eleganckie rękawiczki z jedwabiu, palec za palcem. Potem skierowała twarz ku słońcu i zamknęła oczy.

- Czy musimy o tym rozmawiać, Eckehardzie? Mężczyzna westchnął.

- Nie, oczywiście, że nie, moja droga. Wybacz, nie chciałem cię wprawić w zakłopotanie. Ale jest po prostu tak, że chciałbym cię zrozumieć.

Przerwał, wodził oczyma po Belvederchen, następnie zapytał:

- Czy on był dobrym kochankiem?

- Słucham? - Theda zerwała się, mrużąc lekko oczy. - O czym ty mówisz?

- O Theodorze, twoim mężu. Czy według ciebie był dobrym kochankiem?

Theda przełknęła ślinę.

- Eckehardzie, proszę. Nie sędzę, żebym chciała to z tobą omawiać.

- Odpowiedz mi! - To był już rozkaz, nie prośba. Theda chrząknęła, opuściła wzrok na kolana, skubała rękawiczkę.

- A więc... mamy w końcu troje dzieci. - Theda spojrzała w górę i napotkała spojrzenie Eckeharda, które zdawało

się na coś czekać. - Nie, nie był dobrym kochankiem. A może jednak. Może to ja nie nadawałam się do miłości.

- Czy nigdy nie sprawiało ci przyjemności bycie z nim? Theda opuściła głowę.

Mimo że nie widziała twarzy Eckeharda, jego spojrzenie paliło jej skórę. Teraz wziął jej dłoń w swoją.

- Nie ma kobiety, która nie jest stworzona do miłości. A już na pewno nie taka kobieta jak ty. Theodor był moim przyjacielem i bardzo go lubiłem. Nie wiem nic o nim jako kochanku, ale znałem go. Czy to możliwe, że nie poruszał ani ciebie, ani twego serca, ani też twojej duszy? Czy powiedział ci kiedyś, jaka jesteś piękna?

- Przestań, Eckehardzie, nie mów tak do mnie. Ja... ja tego nie chcę - odpowiedziała Theda. Jej głos brzmiał tak, jakby dochodził z otchłani. Eckehard wstał, objął ją czule spojrzeniem i położył swoje usta lekko jak piórko na jej ustach.

Friederike bardzo się ucieszyła, że matki nie było w domu. Hedi zawsze udawało jej się łatwo oszukać, ale matka była inna. Ona po prostu widzi wszystko, pomyślała. Muszę być gotowa, zanim wróci. Pospiesznie biegła między skrzynią, szafą i komodą, tam i z powrotem. Wyjechać, muszę wyjechać. Tak szybko, jak to możliwe. Mama chce mnie wysłać do ciotki Lucyfer, dokładnie to słyszałam, mówiła Barbarze. Ale ja nie chcę tam jechać. Nie tam jest moje miejsce. Należę do Christiana. Muszę pojechać do Lipska, jak najszybciej.

Wyjęła ze skrzyni pelerynę obszytą futrem. Uśmiechnęła się. Co powiedział do niej Christian, kiedy na jednym z zimowych spacerów miała na sobie ten płaszcz? „Najukochańsza, powiedział, jesteś jak małe zwierzątko. Tak delikatna i tak miękka jak drogocenne obszycie futra”.

Ach, Christian! Friederike westchnęła, położyła się na łóżku i na chwilę zamknęła oczy. Zobaczyła siebie siedzącą w małej studenckiej izbie. Na biurku była tylko jedna lampa olejna, obok stała kołyska, a w niej spokojnie spało dziecko. I wszedł Christian, z wiatrem we włosach i głową pełną wiedzy. Byliby biedni, żałośnie biedni, ale szczęśliwi. Friederike wstała, włożyła pelerynę z powrotem do skrzyni. Po co mi futro, pomyślała, przecież ogrzeje mnie miłość!

Wzięła duży worek, który ukradła z magazynu z zapasami, wepchnęła do niego kilka sukien, związała go i usiadła na łóżku. Po raz pierwszy położyła rękę na brzuchu i poczuła swoje dziecko. Poczowała coś, co przypominało jej lekkie mrowienie. Jak gdyby motyl rozpościerał w jej ciele delikatne skrzydła. Friederike roześmiała się, a potem długo wsłuchiwała się w swoje wnętrze, aż zmierzch stłumił światło.

- Erato, musisz się ze mną spotkać.

Jago trzymał przed sobą srebrny naszyjnik z krzyżykiem, jednak Erato odepchnęła jego rękę.

- Złoty - powiedziała. - Obiecałeś mi złoty naszyjnik. Z kamieniem, rubinem. A co masz w dłoni? Tani kawałek srebra. Naszyjnik, jaki byle frajer przynosi swojej konkubinie w każdy piątek.

- Chciałaś natychmiast dostać naszyjnik, moja Erato. Ale taki, jaki chcesz mieć, musi być najpierw wykonany przez złotnika. To przecież trwa.

Przyjmij ten, dopóki ten drugi nie będzie gotowy.

- Nie! - Erato wzięła się pod boki i tupnęła nogą. - Wystarczająco długo czekałam. Zwodziłeś mnie. Przynieś mi złoty naszyjnik, wtedy zobaczymy. Do tego czasu nie chcę cię znać.

- Nie możesz tego zrobić, Erato. Potrzebuję cię, żeby pisać wiersze. Jesteś moją muzą. Kocham cię.

- Ja też cię kocham, Jago. Mimo to muszę wiedzieć, na czym stoję. W końcu wszystko, co robimy, to interes. Także miłość. Przynies naszyjnik, a wszystko będzie dobrze.

Szybkim ruchem odrzuciła do tyłu włosy, odwróciła się i odeszła.

Theda stała przy oknie i spoglądała z góry na podwórze. Księżyc był w nowiu i skąpił światła.

Wozy, które następnego ranka miały jechać do Lipska, wyglądały jak mury zamku. Chłopak wskazany jej przez prokurenta, leżał na koźle jednego z nich i spał, nakryty jedynie lekką derką.

Strzępiaste chmury sunęły wolno przy księżycu. Zrobiło się jeszcze ciemniej, mimo to Theda rozpoznała szczupłą postać przemykającą przez podwórze z ciężkim workiem na plecach.

Już wcześniej poleciła Rolandowi, by w pierwszym wozie uchylił trochę plandekę. Zatrzaszczyła się także o to, żeby w środku można było znaleźć kołdry i poduszkę. Służący dostał prowiant dla dwóch osób. Kiedy Theda zobaczyła, jak smukła postać wspina się na pierwszy wóz, wciąga worek i zaciąga za sobą plandekę, uśmiechnęła się z ulgą.

W panującej wokół ciszy pukanie do drzwi zabrzmiało wyjątkowo głośno. Theda zadrżała. Trudno jej było oderwać się od okna, ale potem odpowiedziała.

Barbara weszła do środka. Była w nocnym stroju i miała rozpuszczone włosy. Jej oczy były lekko spuchnięte, nos zaczerwieniony, wargi pogryzione.

- Co ci jest, dziecko? - zapytała Theda. Usiadła w fotelu ze złożonymi nóżkami i wskazała synowej miejsce obok.

Barbara wydmuchwała nos.

- Tak dłużej nie może być - poskarżyła się. - Jago zachowuje się tak, jakby nie miał żony. Wstaje rano, natychmiast

idzie do kawiarni albo spotyka się gdzie indziej z tymi, którzy mają podobne zapatrywania. W niedziele organizuje wypadki do młyna grabarza, jakby mnie nie było. To nie jest tylko tak, że unika biura jak diabeł święconej wody. On także unika wspólnej sypialni, a jego gabinet jest dla mnie zamknięty. „Wypędziłabyś muzy” - zarzucił mi ostatnio. Kim ja dla was jestem, mamó? Tylko lepszym pracownikiem, któremu płacicie i który za to dzień i noc jest do waszej dyspozycji? Dłużej nie mogę tego znieść. Wyszłam za męża, żeby być dobrą żoną, a nie źle opłacanym pisarzem. Gdyby moja matka wiedziała, co ja tu robię, posiwiwałyby jej włosy na głowie. A najpierw mojemu ojcu!

- Hola! Nie wszystko naraz, moja droga. - Theda uspokajająco położyła dłoń na ramieniu synowej. Wtedy Barbara wybuchnęła płaczem.

Szlochała jak dziecko. Theda wreszcie dostrzegła, że Barbara czuje się oszukana we wszystkich swoich nadziejach, tęsknotach i marzeniach.

- To Jago doprowadza cię do łez, prawda? - zapytała ostrożnie. - Nie jest taki, jaki powinien być małżonek, czy tak? I nie myśli o tym, żeby zrobić ci dziecko?

Barbara przytaknęła.

- A jakby tego było mało, to obawiam się jeszcze, że on ma kochankę. Theda odchyliła się w fotelu.

- To nie musi być nic złego, moje dziecko. Nie powinnaś, jeżeli zgadza się to, co powiedziałaś, widzieć w kochance konkurentki, lecz raczej przyjaciółkę, która przejmuje za ciebie dużo rzeczy.

- Ale on nazywa ją muzą! Theda wzruszyła ramionami.

- I to ci przeszkadza? Czy naprawdę chciałabyś każdego dnia być zmuszana do wysłuchiwania jego wierszy? Czy chciałabyś go za to podziwiać i zapewniać go, że Goethe lepiej by nie napisał? Och, to mi się wydaje śmiertelnie nudne. Sie-

dzieć ciągle w fotelu, nie móc się ruszyć podczas całej recytacji, a potem jeszcze musieć bić brawo. I po co? Co byś z tego miała? Może nową sukienkę? Nowy kapelusz albo przynajmniej kawałek czekolady? Nie, moje dziecko, nic z tego. Marnowałabyś swój czas i nudziła się śmiertelnie. Tak więc chwal tę kochankę. Ona wszystko to robi za ciebie. I za to on nazywa ją swoją muzą. Bóg mi świadkiem, nie mogłabym sobie nic lepszego wyobrazić.

Po twarzy Barbary przemknął delikatny uśmiech.

- Macie rację, *chere maman*. Macie dużo racji! Bez rymowanek Jaga mogę spokojnie żyć. Ale tego, że nie jestem najważniejszą kobietą w jego życiu, że nie istnieję dla niego w ogóle jako kobieta, tego nie mogę dłużej znieść.

Theda przyglądała się chwilę synowej spod przymkniętych powiek, po czym pokiwała głową.

- Wiem, co masz na myśli, moje dziecko. Skoro się ożenił, to ma obowiązki. Dopilnuję, żeby je w przyszłości wypełniał.

Słońce paliło z nieba, jakby chciało wynagrodzić ludziom i zwierzętom deszczowy maj. Powietrze było ciepłe, ale nie gorące, rześki wiatr podwiewał spódnice kobiet, wywołując salwy śmiechu.

Hedi, zagniewana, z koszem przewieszonym przez ramię biegła obok Thedy.

- Nie patrz tak na mnie. Wiem, że ci się nie podoba, że zdjęłam suknię żałobną, zanim minął rok. Ale pogoda jest zbyt piękna. Zresztą żałobę nosi się w sercu, nie na zewnątrz.

- Tu macie rację, pani, ale co ludzie mają myśleć? Theda przystanęła i poprawiła czepek, pod którym było jej bardzo gorąco.

- Czy to ludzie się pocaą, czy ja? - zapytała. Hedi nic nie odpowiedziała.

Na targu jak zwykle panował tłok. Najpierw podeszły do stołów z mięsem przy Liebfrauenbergu. Hedi chciała dziś zrobić ozory wołowe w sosie chrzanowym, bo w ogrodzie pełno było tych pikantnych korzeni.

Gdy Hedi targowała się z rzeźnikiem, Theda rozglądała się. Zwykle nie znosiła mieszać się z przekupkami, kra markami i służącymi. Nie była szczególnie zarozumiała, jednak odrzucał ją ordynarny język targu. Do tego miała

wrażliwy nos, który zapamiętywał nazbyt dobrze nieprzyjemne zapachy. Odsunęła się trochę na bok i przyglądała zgiełkowi. W oczy wpadł jej mały piesek. To nie był pies z tych chorych na świerzb kundli ulicznych, które żywiły się martwymi szczurami i odpadkami, lecz jamnik z grubą, czerwoną sierścią, która w słońcu błyszczała jak złoto. To był pies myśliwski, specjalnie hodowany, żeby gonić do nor lisy i borsuki. Skąd się wziął w mieście? Czy ktoś się w ogóle o niego troszczy? Chyba tak, świadczyła o tym dobrze utrzymana sierść.

Z uśmiechem obserwowała psa, który ostrożnie skradał się od tyłu kramu do ochłapów pozostałych po uboju, zawsze wtedy, kiedy rzeźnik właśnie rozmawiał z klientką. Chwytał, co się dało, uciekał na stronę, połykał zdobycz z niepohamowaną zachłannością i ponownie powtarzał manewr. W pewnej chwili rzeźnik odwrócił się, zobaczył zwierzę i pogroził mu pałką. Pies spojrzał na niego błagalnym wzrokiem. Wzdychając, rzeźnik opuścił pałkę i podał jamnikowi kawałek kielbasy. Theda roześmiała się. Pies odwrócił się do niej, podszedł, stawiając ostrożnie kroki, po czym usiadł obok niej, jak gdyby tam było jego miejsce i nigdzie indziej.

- Gdzie jest myśliwy, któremu służysz? Co? - zapytała Theda, schyliła się i pogłaskała zwierzę po głowie.

Pies zaskomlał, spojrzał na nią z politowaniem, tak samo jak rzeźnik, i pozwolił dalej się głaskać.

- A co tam macie, pani? - zapytała Hedi, wskazując na jamnika, który teraz usadowił się wygodnie pomiędzy nogami Thedy.

- Psa, Hedi, i to w dodatku upartego. Takiego, który wie, czego chce. Spójrz tylko, jaki jest piękny.

Hedi mamrotała niechętnie:

- Kundla w domu nie potrzebujemy. Psy brudzą, śmierdzą i kradną wszystko, co tylko da się złapać.

Theda kiwnęła głową.

- Masz rację. Z pewnością należy on do kogoś tu na targu.

Zostawiła psa i odeszła z Hedi. Nie zrobiły jeszcze dziesięciu kroków, kiedy jamnik znowu podbiegł do Thedy, jakby robił to od lat.

- Hedi, myślę, że będziesz musiała przyzwycząić się do tego kundla. On ubzdurał sobie, że z nami pójdzie.

- Od kiedy to pies wyszukuje sobie pana? Theda zaśmiała się.

- Myślę, że to właśnie mi się w nim podoba. Pochyliła się i pogłaskała zwierzę, które zaczęło się do niej łąsić. Hedi tymczasem podniosła mu tylne łapy i sprawdzała płęć.

- To suczka - parsknęła, w połowie już pogodzona. - One przynajmniej tak bardzo nie śmierdzą.

- Tak? W takim razie nazwę ją Tilly - zdecydowała Theda i uśmiechnęła się.

- Dlaczego chcecie nająć się jako nauczyciel domowy? - Pani von

Boesdorff spojrzała Stefanowi prosto w oczy. - Jesteście jeszcze bardzo młodzi, pochodzicie z jednego z najlepszych domów we Frankfurcie. Nie wydaje mi się, żeby wam to było potrzebne.

Stefan siedział naprzeciwko kobiety, która była tylko kilka lat starsza od niego, ale miała już dwoje dzieci.

- Wiecie, że mój ojciec zmarł trzy kwartały temu. Matka nie chce, żebym poszedł na uniwersytet do Jeny albo Moguncji. Powinienem zostać tu, we Frankfurcie, i znaleźć utrzymanie. Jednak mnie ciągnie daleko, mojego pragnienia wiedzy nie da się tu ugasić. Na to te pieniądze.

Pani von Boesdorff skinęła głową, Stefan spuścił wzrok. Nie znosił kłamstw, czuł się zbrukany.

Wiedział dobrze, że byli ludzie, którym kłamanie sprawiało nieskrywaną przyjemność. Jednak nie jemu. On chciał być szczerzy, czysty jak łąza. Czysty i cnotliwy jak Dziewica Maryja. Wszystko, co robił z czystego serca, musiało się udać. Ale potrzebował pieniędzy na rewolucję i dlatego te kłamstwa jeszcze bardziej mu ciążyły. Każdy z jakobinów coś już wniósł, tylko nie on. Nie mógł poprosić brata o pożyczkę, a matki tym bardziej. Tak więc sam musiał szukać sobie pracy.

- Zakładam, że będziecie tu u mnie w każde popołudnie przez trzy godziny, żeby uczyć dzieci, prawda?

- Jak sobie życzycie, madame. Mówię oczywiście po francusku, opanowałem również łacinę i włoski. Moje umiejętności matematyczne są bardzo dobre, możecie to wywnioskować ze wszystkich moich świadectw.

Stefan podał pani von Boesdorff teczkę.

- Nie, dziękuję, znam waszą rodzinę, to wystarczy. Moje dzieci są jeszcze małe, mają dopiero pięć i siedem lat. Powinny nauczyć się trochę liczyć, trochę pisać i czytać. Ale przede wszystkim zależy mi na tym, żeby miały właściwe poglądy. Rozumiecie, co mam na myśli?

- Niezupełnie, łaskawa pani.

- Chciałabym, żeby moje dzieci były dumne z tego, co zrobił ich ojciec i jego praojcowie. Nie trzeba się wstydzić swojego stanu i majątku. Ludzie powinni zachować przyzwoitość i godność i zrezygnować z pychy.

Rozumiecie teraz?

- Wydaje mi się, *madame*, że nie jesteście przyjaciółką rewolucji?

- Nie, nie jestem. Masz całkowitą rację. Nieraz kazałam sprowadzać z Paryża moje ulubione perfumy. Nie jestem chętna do usuwania różnic. To przypomina... Stary Testament, nie sądzicie?

Stefan potrząsnął głową.

- Co macie na myśli?

- Taniec wokół złotego cielca u podnóża góry Synaj. To mam na myśli. Taniec, podczas gdy przykazania były już wyryte w kamieniu.

- Rozumiem, *madame*. Już w Biblii mówi się, że każdy ma swoje miejsce wyznaczone przez Boga. A mówiąc o tańcu wokół złotego cielca, macie na myśli biedaków, którzy domagają się części bogactwa zamożnych, nieprawdaż?

Pani von Boesdorff uśmiechnęła się. Przez zasłony, które zaciemniały salon, wpadł promień słońca i rozświetlił jej włosy.

Stefan zastygł. Jak urzeczony patrzył na blask świętości ponad delikatnym obliczem tej kobiety, zobaczył usta, jakby posypane złotym pudrem, i blask jej skóry. Musiał przełknąć ślinę, tak nieziemsko piękna mu się wydała. Obawiał się niemal, że pod jego spojrzeniem jej obraz zgaśnie. Albo zamieni się w anioła, którego on nie będzie mógł zatrzymać. Prawie nie ważył się oddychać.

- Geisenheimer? Czy z wami wszystko dobrze? Jak z daleka usłyszał jej głos. Chrząknął.

- Tak, z pewnością, to tylko chwila niedyspozycji. Już minęła.

Przechyliła lekko głowę i uśmiechnęła się. Przy tym czubek jej języka nieumyślnie przebiegł po wargach, wzmacniając ich blask.

- Chciałabym, nauczycielu, żebyście zostali dziś na obiedzie i mogli poznać swoich wychowanków.

Ściągnęła usta w dziubek, roześmiała się jak dziewczynka i pociągnęła go za rękę.

- Nie słyszeliście gongu? Obiad gotowy.

Stefan podążył za nią posłusznie jak dziecko, wszedł do jadalni i skłonił się obecnym.

Tęgi mężczyzna, który siadał właśnie przy stole, uniósł masywną głowę osadzoną na byczym karku. Jego grube, mokre wargi przypominały Stefanowi tłuste pierścienice.

- Nowy nauczyciel. Witam w moim domu. Najlepiej usiądźcie obok waszych wychowanków. Jednak przedtem -zwrócił się do dzieci - powiedzcie mistrzowi dzień dobry.

Dzieci, pięcioletnia dziewczynka i siedmioletni chłopiec, podniosły się i podeszły do niego.

- *Bonjour, monsieur* - wyszeptała mała i dygnęła.

- *Bonjour, monsieur* - powiedział mały i uklonił się. Stefan, zmieszany, zastanawiał się, jak długo to wszystko

potrwa, co jeszcze zostanie powiedziane, co się wydarzy, aż w końcu znalazł się naprzeciwko pana von Boesdorffa. Widział, jak jego grube palce sięgały po kandyzowane marchewki i wrzucały je pomiędzy mokre wargi.

A obok jej palce chwyciły sztucze delikatnie jak pajęczą sieć i podnosiły je do ust tak, że zapragnął całować potrawy, zanim je zjadła.

Później Stefan poszedł do Żelaznej Ręki. Bywał tam niemal każdego wieczoru, bo wydarzenia zmieniały się jak w kalejdoskopie.

- „Od tu i teraz zaczyna się nowa epoka w historii świata i możecie mówić, że byliście przy tym” - te słowa powiedział Goethe, donosił jeden z towarzyszy, który był w Valmy.

Poeta jako towarzysz księcia Weimaru został zaraz na początku wojny wciągnięty przez koalicjantów w rzeź. Wieczorem 20 września 1792 roku skończyła się w Valmy kanonada, a Goethe radował tym zdaniem uczony świat.

Mężczyźni w Żelaznej Ręce poczuli podmuch nowej epoki inaczej niż książę poetów. Wojska zawiązanej przeciwko Francji koalicji musiały się wycofać. Francuzi podbili Spire i Works i znaleźli się na drodze do Moguncji.

- Bracia! - wykrzyknął Georg, wskoczył na krzesło i wymachiwał jakobińską czapką. - Bracia, już wkrótce! Kiedy Francuzi wezmą Moguncję, przyjdą do Frankfurtu. Wresz-

cie będziemy mieć u nas rewolucję na wzór *commune insurrectionnelle*. Rozbrzmiewały okrzyki radości, ktoś zaintonował *Marsylianę*. Georg jednak poprosił o spokój.

- Bracia, nie możemy za wcześnie się cieszyć. Rewolucja ma wielu przeciwników. My, jakobini z Frankfurtu, musimy być dobrze przygotowani. Jest jeszcze wiele do zrobienia, zanim Francuzi wreszcie tu przyjdą.

Okrzyki ucichły. Za to rozmowy przy stołach zrobiły się głośnie.

- Co zamierzasz? - zapytał Stefan.

- Jeszcze nic konkretnego, ale pewne jest, że niektóre rzeczy trzeba zrobić - odparł Georg niejasno.

Jego przyjaciel cieśla oparł łokcie na stole i nachylił się do Stefana.

- Czy ty tymczasem przyniosłeś już do kasy swoje rewolucyjne guldeny? Stefan potrząsnął głową.

- Nie, dopiero dzisiaj objąłem posadę nauczyciela domowego. Na koniec miesiąca dostanę swoją pensję i natychmiast wpłacę.

Cieśla parsknął pogardliwie, rzucił na stół kilka krajcarów i zawołał posługaczkę.

- Przynieś nam piwa, pełny dzban. A do tego wodę. Mamy tu przy stole dziecko, które jeszcze nie ma swoich drobniaków i dlatego musi pić wodę.

- Zostaw go! - powiedział Georg ostro. - Nie może nic na to poradzić, że nie ma pieniędzy. On może w inny sposób być nam przydatny w przygotowaniach.

- E! Chcę to zobaczyć. Czy masz może na myśli te kilka chlebów i kielbas na sylwestra? To nawet nie było jak kropla spadająca na gorący kamień.

- Przymknij się. - Georg zacisnął pięści. - Bóg wie, że są rzeczy ważniejsze niż twoja kłótność.

Cieśla jeszcze przez chwilę się złościł, potem wziął swój dzban, wstał i przesiadł się dwa stoły dalej.

- Jakie przygotowania masz na myśli? - zapytał Stefan, kiedy Georg się uspokoił.

Georg spojrział na niego zmrużonymi oczami, po czym zapytał:

- Czy znasz tego radnego, który jest odpowiedzialny za straż miejską?

- Masz na myśli radnego Hansa Heynolda?

- Tak. Znasz go?

- Jest moim wujem.

- Jakie ma nastawienie do Francuzów? Stefan zaśmiał się.

- Nienawidzi ich.

- Czy można go przekonać, żeby zostawił im otwarte bramy?

Stefan uniósł wysoko brwi.

- Oczywiście, że nie. Dlaczego miałby to zrobić? Francuzi przyjdą z różnych stron. Nie będą czekać na to, że zaproponuje im się wstęp, sami postarają się wejść. Wtedy przekażą radzie swoje żądania. Jeżeli rada je spełni, to jest możliwe, że zostawią mieszkańców w spokoju. A jeżeli żądania żywności, drewna, wina, pieniędzy i czego tam jeszcze nie zostaną spełnione, wtedy dojdzie do grabieży.

Georg uniósł wysoko brodę.

- A skąd akurat taki wyrostek jak ty miałby wiedzieć coś takiego?

Stefan oparł łokcie na stole.

- Myślicie, że mieszczanie i patrycjusze są tak głupi, że nie zauważają, tego wszystkiego? To bardzo się mylicie. Oni mają wszędzie swoje oddziały i natychmiast się dowiadują, co się dzieje tu i u sąsiadów. Kupcy już od dawna czynią przygotowania do oblężenia. Byliby głupi, gdyby tego nie zrobili. A biedacy powinni być zadowoleni, że kupcy myślą z wy-

przedzeniem, w przeciwnym razie przez kilka tygodni nie mieliby co jeść. Stefan wypuścił powietrze i spojrzał na Georga, którego ostro zarysowana broda wysunęła się do przodu, a zaciśnięte szczęki aż chodziły.

- Czy posunąłem się za daleko? - zapytał Stefan trwożliwie.

Georg odwrócił się do niego.

- Co według ciebie powinniśmy zrobić?

Po raz pierwszy starszy poprosił o radę młodszego. Stefan czuł się prawie tak, jakby mu schlebiano.

- To zależy od tego, czego właściwie chcemy.

- Czy to nie jest jasne jak słońce? Wolności, równości i braterstwa.

- To są tylko słowa. Co chcemy zrobić, żeby nadać tym słowom znaczenie? Jak chcesz zaprowadzić wolność, równość i braterstwo?

Georg milczał. Cieśla wrócił tymczasem do stołu.

- Tak - powiedział i pozuł chwilę szczyptę tabaki. - Mały ma rację. Jak chcesz to zaprowadzić?

- Jak to? Tak jak w Paryżu, oczywiście. Etienne powiedział nam, jak to było. Etienne nam pomoże. Rada miejska zostanie pozbawiona władzy, a urząd będzie sprawowało zgromadzenie mieszczan. Mieszczanie wybiorą nową głowę miasta i wkrótce zostaną ogłoszone ustawy służące nam wszystkim.

- Myślisz, że rada tak łatwo da się odwołać? - zapytał cieśla.

- Oczywiście nie. Będziemy musieli użyć przemocy. Cieśla przytaknął.

- Tak zrobimy. Ale proponuję, żebyśmy nie zaskakiwali starszyzny miasta. Już wcześniej musimy doprowadzić wśród nich do rozdzwięków. Musimy przeszkodzić ich spójności.

- A jak chcesz to zrobić? - zapytał Georg i dolał sobie wina.

- Paryżanie zrobili błąd. Dzięki Bogu zrobili go, dlatego my nie musimy go powtarzać. Proponuję, jak tylko Moguncja się podda, dokonać egzekucji na kapitanie straży miejskiej.

- Chcesz zabić bez powodu? - Stefan otworzył szeroko oczy.

Cieśla zaśmiał się.

- Nie sam. Ty mi w tym pomożesz. On cię zna i ufa ci. Zwabisz go do mnie.

Theda niespokojnie kręciła się po swojej sypialni. Już od dwóch dni Friederike była poza domem, a dotąd nie przyszła jeszcze żadna wiadomość od RONALDA. Powoli zaczynała pytać samą siebie, czyjej plan rzeczywiście był tak doskonały, jak z pozoru wyglądał. Wiedziała przecież, że ona chciała pojechać do swojego Christiana do Lipska, myślała. Nic i nikt nie mógł jej od tego odwieść. A ja musiałam zatroszczyć się o to, żeby bezpiecznie tam dotarła. Nigdy nie zrobiłabym czegoś takiego, nie wysłałabym swojej własnej córki do ciotki Luzie, ciotki Lucyfer, tej starej jędzy. Słyszałam, jak Friederike szła korytarzem, znam przecież kroki mojej córki. Dlatego powiedziałam wtedy głośno, że następnego dnia odchodzi transport do Saksonii, żeby został jej czas na spakowanie rzeczy. I udało się przecież. Mała była porządnie wystraszona i jeszcze tej samej nocy wkradła się na wóz. Czy nie widziałam tego na własne oczy? Wóz przejechał przez Bramę Friedberską i zniknął na drodze. Jednak od tamtej pory nic. Żadnego listu, żadnego bileciku, nawet linijki. Nic.

Theda westchnęła ciężko. Z kim mogłabym o tym porozmawiać? Hedi wypłakuje sobie w kuchni oczy ze zmartwienia, Herzguetl opowiada o zaginionych dzieciach ze swojej appenzelskiej ojczyzny, Jago jak zawsze zatopiony jest w swoich rymowankach, a Stefan od wielu dni kręci się dookoła jak

chory. Tylko Barbara zachowała zimną krew. Biegała po całym mieście i podsłuchiwała w Instytucie Madame Dupont. Nikt nie wiedział, gdzie mogła się ukryć Friederike. Opowiedziała mi o tym i dziwiła się, że jestem taka spokojna. Płakała za swoją Fritzi, a także dlatego że nie znalazła żadnej przyjaciółki, której moja córka się zwierzyła.

Czy powinnam była powiedzieć jej to, co wiem? Wtedy nie poszłaby do jarmarcznych sztukmistrzów, którzy tak samo mało wiedzieli. Na stacji dyliżansów na Darmstaedter Hof dowiadywała się, czy Friederike kupiła miejsce w powozie do Lipska. W końcu zaprzestała poszukiwań.

Przykro mi z całego serca, kiedy widzę ją taką smutną. Ale nie mogę jej pocieszyć. Nie mam prawa. Nie mogę wyjawić tajemnicy dotyczącej Friederike. Nie zrozumiałaby, że kierowała mną miłość matki. Ale jeśli służący wkrótce nie napisze, będę płakać razem z nią.

Dzień później nareszcie przyszedł list od Rolanda. Theda w pośpiechu złamała pieczęć. Młody służący pisał, że dojechali do Wartburga. Drogi były przejezdne, tylko pomiędzy Waechtershausen i Fuldą zatrzymało ich pęknięcie osi. Dobrze jest mieć Friederike koło siebie, pisał, ale panienska jest niespokojna i w bardzo ponurym nastroju.

- Wiedziałyście, że ona jest w drodze do Lipska, prawda, mamo? - zapytała Barbara z oburzeniem.

Theda przytaknęła.

- Tak, moja droga, zatroszczyłam się o to, żeby pojechała do Lipska i żeby jej podróż była tak wygodna, jak to tylko możliwe. Brigitte, moja krewna z Lipska, odbierze ją, jak tylko wozy dojadą.

- Ona chce do Christiana.

- Tak, też tak myślę. Ale Christianowi ona teraz nie jest potrzebna. Musi skończyć studia, jeżeli chce wyżywić rodzinę. Friederike zostanie u Brigitte. Za kilka lat wezmą ślub i wrócą tutaj z dobrą opinią.

- Czy rzeczywiście tak myślicie? - Barbara spojrzała z powątpiewaniem.

- A co przemawia przeciwko temu?

- Oboje są młodzi. Mogą nie wiedzieć, czego chcą. Czy nie byłoby lepiej oddać to dziecko w dobre ręce i zostawić ich miłość własnemu losowi?

- Pffft! - Theda roześmiała się. Tilly siedziała obok niej i szczekała. - Żadna z nas nie wyszła za mąż z miłości. Dlaczego w przypadku Friederike miałybyśmy mieć nadzieję na coś niemożliwego?

Barbara potrząsnęła przecząco głową. Wcisnęła dolną wargę między zęby i przygryzała ją nerwowo.

- Ponieważ to jest możliwe, *chere matnan*. Żyjemy w innych czasach. Miłość jest możliwa. Miłość jest niemalże obowiązkiem. W każdym razie prezentem od Boga, którego nie można zmarnować.

Jeszcze gdy mówiła, łzy napłynęły jej do oczu. Odwróciła się i wybiegła z pokoju.

- Dziecko! - krzyknęła za nią Theda. - Dziecko, poczekaj! Ale Barbara zniknęła już z domu. Theda wzięła jamnika na ręce, pocałowała go w delikatne miejsce nad okiem, przejechała wargami po jego głowie i wyszeptwała:

- Wszyscy nagle mówią o miłości, moje małe, psie serduszko. A ja wciąż jeszcze nie wiem, co to właściwie jest. Tylko dlaczego?

Chwilę później Theda udała się do miasta, ubrana w nową suknię w niewielkim stopniu uwzględniającą kolor czarny. Tilly podskakiwała obok niej na swoich krótkich nóżkach.

U Altvaterów musiała chwilę poczekać, zanim przyszedł gospodarz. Kiedy kupiec wreszcie się pojawił, Theda zapomniała o kuszącym uśmiechu. Altvater zaprosił ją do swojego gabi-

netu, a nie do salonu. Tutaj zaproponował jej krzesło. Jeszcze chwilę szperał w papierach, wyjął szufladę i w końcu zwrócił się do gościa.

- Pani sąsiadko, jak mogę wam pomóc?

Theda wyciągnęła rękę i przywołała pieska do siebie.

- Skąd ta myśl, że potrzebuję pomocy? - zapytała. Altvater odchylił się, wydał krótki śmiech, który brzmiał jak szczekanie, i pozwolił swoim tłustym policzkom trząść się jak galareta.

- Ach, pani radczyni, znamy się wystarczająco długo. Całe miasto mówi o upadku waszego domu. Więc ile chcecie pożyczyć?

Theda usiadła wyprostowana.

- Nic nie wiem o upadku mojego domu. Musieliście mnie z kimś pomylić.

- Czyż wasz syn Jago nie przesiaduje całymi dniami w kawiarni, zamiast troszczyć się o interesy?

Theda odrzuciła głowę do tyłu.

- To już wiecie! Nie martwcie się o moje interesy, idzie nam lepiej niż kiedykolwiek. Nie musicie się też troszczyć o waszego chrześniaka Jaga, jemu idzie wyśmienicie.

Altvater śmiał się teraz tak głośno, że całe biurko się trzęsło.

- Jesteście naiwni jak niemowlę, droga radczyni. Alten Limpurg rozważa właśnie odebranie wam członkostwa.

Teraz już Theda miała dosyć.

- Wiecie, jak stoją moje interesy?!

- Mówią o tym inni kupcy, że nie dalej jak wczoraj znowu odesłaliście handlarza z Genui, który zaoferował wam najdroższe specjały.

Widziałem to zresztą na własne oczy.

Theda zastanowiła się krótko. Barbara opowiadała jej wczoraj o kupcu z Genui, ale w tej chwili nie mogła sobie przypomnieć jej słów. Poza tym nie dlatego tu przyszła.

- Słyszysz się o tym, że macie wystarczająco dużo pieniędzy, żeby kupować drewno. Drewno jest teraz tak tanie, że komuś takiemu jak my po prostu się je rzuca. Ostatnie dwa lata były suche, potem jesienią burze. Drewno jest teraz tańsze niż powietrze do oddychania. Czy to jest to, na co możecie sobie jeszcze pozwolić? - Altvater znowu wybuchnął swoim szczekającym śmiechem, lecz potem spoważniał. - Ile zatem potrzebujecie? Zaraz wam powiem, wezmę te same stopy procentowe, co Żydzi w Wollgraben.

- Nie przyszedłam, żeby pożyczyć pieniędzy. Tego, mój drogi, nigdy nie doświadczycie. Przyszedłam, ponieważ wasz syn zrobił dziecko mojej córce. Musimy uzgodnić sprawę wesela.

- Co takiego? Co mówicie?

- Dobrze słyszeliście. Wasz Christian zrobił dziecko mojej Friederike, zanim pojechał do Lipska na uniwersytet. Myślę, że dziecko urodzi się zimą. Sama życzyłabym sobie innego zięcia, jednak powiedziano mi, że żyjemy teraz w takich czasach, kiedy miłość więcej znaczy niż interesy. Kupiec potrząsnął głową, podniósł się z fotela i podszedł do okna.

W tym czasie Theda szperała w swojej torbie.

- Oto jest rozporządzenie w sprawie posagu. Mój mąż ustanowił je przed śmiercią. O gotówce będziemy musieli jeszcze pomówić.

Altvater odwrócił się zamaszyście.

- Nie, radczyni. Mój syn nie poślubi waszej córki.

- Och, a dlaczego to?

- Zawsze was bardzo lubiłem, ale jestem starej daty. Miłością nie można żyć. Od śmierci waszego męża wasze interesy idą w dół. W biurze nie ma żadnej osoby odpowiedzialnej, wasze położenie finansowe jest jednoznaczne, na ważnych zebraniach kupców brakuje waszej rodziny. Żyjemy w niespokojnych czasach, nikt nie ma nic do rozdania.

- Czy to znaczy, że moja córka nie jest wystarczająco dobra dla waszego syna?

- Inaczej bym to wyraził, ale jeżeli tak chcecie, to macie rację.

- Ale ona urodzi jego dziecko!

Altvater oparł się obiema rękami na biurku i zapytał podchwytliwie:

- Skąd to wiecie, Geisenheimerowo? Trzymałyście lampę?

Theda się podniosła. Zrobiła to powoli, oszczędnym ruchem i z opanowaniem, którego nauczyła się przez długie lata, aż stało się to jej drugą naturą. Głowę w głowę stanęli naprzeciwko siebie, tak blisko, że Theda mogła zobaczyć każdy por na tłustych policzkach sąsiada.

- Co chcecie przez to powiedzieć? - zapytała bardzo uprzejmie.

- No, sąsiadko, wiemy, jaka jest młodzież w dzisiejszych czasach. Żadnej moralności, żadnych zasad.

- Czy chcecie powiedzieć, że moja córka jest dziwką? - Głos Thedy brzmiał jeszcze nad wyraz uprzejmie, jednak jej piesek już od dłuższej chwili siedział z podkulonym ogonem.

- Bądźmy szczerzy, radczyni. Co my właściwie wiemy o naszych dzieciach? Stawiacie mnie w takiej sytuacji, w obowiązku niejako, którego nie mogę wypełnić. Wiecie, jak w życiu bywa. Mam plany związane z Christianem, plany, w których wasza rodzina nie gra żadnej roli. Wcześniej, kiedy wasz mąż jeszcze żył, kiedy co tydzień wyładowywano u was worek pełen guldenów, wtedy nie było mowy o małżeństwie naszych dzieci. A teraz, ponieważ źle wam idzie, przychodzicie do mnie i obarczacie zobowiązaniem, którego nie mogę sprawdzić. Nie jestem potworem. Przyjdźcie do mnie, kiedy dziecko się urodzi. Nie okażę się skąpy, w końcu jesteśmy sąsiadami.

Theda potaknęła. Także to zrobiła powoli. Następnie powiedziała cicho i wciąż jeszcze z tą zajadłą uprzejmością:

- Rozumiem, co powiedzieliście, sąsiedzie. Usłyszałam także, że nie chcecie ponosić odpowiedzialności za czyny waszego syna. Mam tylko nadzieję, że wasza przyszłość będzie tak różowa jak wasza dupa.

Widziała, jak drgnął przy ostatnim słowie, łapiąc powietrze i przygotowując odpowiedź, jednak Theda Geisenheimer, z domu von Eisenberg już wyszła.

- Och, jest przepiękny, Jago. Jeszcze piękniejszy, niż mogłam to sobie wyobrazić!

Rozradowana Erato chwyciła naszyjnik z otwartej dłoni Jaga z prędkością sroki i natychmiast włożyła go na szyję.

- Do twarzy mi?

- Tak, jesteś przepiękna, i naszyjnik także. - Ciszej dodał: - Tylko Bóg jeden wie, jak powiem Barbarze, że jej naszyjnik ozdabia inną szyję.

Z tej małej kwoty, którą dostawał od matki, mógł sobie tylko z ledwością pozwolić na czasopisma literackie i codzienne wizyty w kawiarni. Złoty naszyjnik nie wchodził w rachubę, w każdym razie nie tak szybko. Ale Erato nalegała, a on jej potrzebował, żeby napisać ostatnie wiersze dla Mercuriusa.

Erato przytuliła się do jego piersi i obsypała szyję pocałunkami.

- Zejdziemy do winiarni? - zapytała, ciągnąc go za rękę. - Chciałabym ci podziękować za prezent. Na mój sposób, mój kochany - wyszeptała.

Jago podążył za nią, jakby jego stopy przyszyte były do jej pięt.

Kiedy z nastaniem nocy wrócił do domu, głowę miał pełną liryki.
Wszystko w nim rwało się do biurka, pióra, papieru.
*Muzy tańczę taniec miłości, Harfy i skrzypce hymny grają. A ja,
szczęśliwy, na skraju przepaści. Natchnienia sięgam duszą moją.*
Przystanął na środku schodów, rozpostarł ramiona, jakby chciał latać.
*Ty, ma Erato, muzo pożądania, Wiedziałaś, co mnie cieszy. Dziecię
miłości, ślepe od rozkoszy...*

- Też to wiem, mój drogi, ale to nie ma nic wspólnego z muzą!

Jago drgnął ze strachu. Jego ramiona opadły jak połamane skrzydła. Tępo patrzył na matkę, która stała na górze schodów i przewiercała go wzrokiem.

- Wejdz na górę, Jago, muszę z tobą porozmawiać. I żebyśmy się dobrze zrozumieli: Będziemy rozmawiać. Całymi zdaniami i bez rymów na końcu.

Theda owinęła się mocniej peleryną i odwróciła się. Jago-wi nie pozostało nic innego, jak tylko pójść za nią.

Usiadł na brzegu łóżka w jej sypialni, podczas gdy Theda zajęła miejsce przy toalecie.

- Powiem krótko, bo jestem zmęczona. Jago potaknął.

- Jest już późno.

- Nie mówię o godzinie, mój chłopcze, jestem zmęczona tobą.

- Co mi zarzucacie, mamó?

- Och, wszystko, co możliwe. Przede wszystkim to, że nie wypełniasz swoich małżeńskich obowiązków.
- Wybaczcie, ale to nie wasza sprawa.
- Wręcz przeciwnie, mój drogi. Twoja żona skarżyła mi się na ciebie. Od teraz będziesz w nocy leżał przy niej. Zrozumiałeś?
- Nie, to niemożliwe. Czasami wracam do domu późno, obudziłbym ją. Theda pochyliła się do przodu i odkryła zdradziecki ślad na jego szyi. Przygryzła dolną wargę.
- W porządku, kiedy wrócisz zbyt późno, to śpij, gdzie chcesz. Ale wymagam, żebyś przynajmniej trzy razy w tygodniu leżał przy niej. Jesteś jej to winien.
- A jeżeli nie?
- To wtedy przekonam ją do tego, żeby zażądała rozwodu. Wiesz, co to dla ciebie oznacza. Przemyśl to.
- Ludzie będą gadać, będą myśleć, że mam kulawe lędźwie.
- Otóż to. A poeta z kulawymi lędźwiami jest jak koń bez nóg. A zatem?
- Dobrze, mam. Zrobię, czego żadasz.
- W takim razie przejdę do części drugiej. Od teraz będziesz codziennie spędzał w biurze kilka godzin. Powiedzmy, od dziesiątej do godzin południowych.
- Dlaczego? Barbara chyba wykonuje moje zadania.
- Robi to, mój chłopcze, i to lepiej niż ty czy ja kiedykolwiek robiliśmy. - Nagle na twarzy Thedy pojawił się przelotny uśmiech. - Udaje jej się nawet wodzić za nos wszystkich kupców we Frankfurcie.
- Do czego mnie zatem potrzebujecie?
- Chodzi o osobę do kontaktów z klientami. To musi być mężczyzna. Nie muszę ci tego wyjaśniać, sam wiesz. Jeśli

o mnie chodzi, to układaj sobie te wiersze, kiedy jesteś w biurze, albo rób cokolwiek. Żądam wyłącznie tego, żebyś tam był, kiedy przyjdzie klient. Zrozumiałeś mnie?

Jago potrząsnął głową.

- Nie, nie zrozumiałem. Mam dwadzieścia jeden lat, mam, i mogę sam decydować.

Theda przyjęła obojętny wyraz twarzy.

- Możesz mieć tyle lat, ile chcesz, ale ja jestem twoją matką. I jeśli chcesz mi być tak bliski jak wcześniej, to zrobisz, co ci mówię.

Teraz Jago wybuchnął śmiechem.

- Tak, zrobię to, czego żądasz. Ale nie dla ciebie. Rozumiem, że interes żywi także mnie i dlatego muszę wnieść swoją część. Dwie godziny dziennie, sam przy pulpicie, to da się zrobić.

Wstał, spojrzał na matkę i powiedział:

- Nie oczekujcie jednak, mam, że dam wam moją miłość albo trochę tego, co nazywacie bliskością.

Theda spojrzała zaskoczona.

- Co ty powiedziałaś? Jesteś moim synem, urodziłam cię. Już w świętych pismach jest zapisane, że trzeba szanować ojca i matkę.

- Tak - odparł Jago. - Czy zapytaliście kiedyś dlaczego? Kochałem was, kiedy byłem dzieckiem, kocham was, odkąd jestem mężczyzną. Ale ta miłość nie będzie już dłużej trwać. A wiecie dlaczego?

- Powiedz mi, mój synu.

Głos Thedy brzmiał nisko i słabo. W świetle świec, kiedy siedziała w tym dużym, szerokim fotelu, sprawiała wrażenie szczupłej i kruchej.

- Kocham was, ponieważ potrzebuję świadków mojej obecności. Kto może mi opowiedzieć o mnie w pierwszych latach, jeśli nie wy? Nie mam wspomnień, jestem zdany na

was. Widzę siebie waszymi oczami. Gdybym się od was odwrócił, brakowałoby mi kawałka mnie samego, tak jak brakuje mi pierwszych lat.
- A co zrobisz, kiedy, po twoim ojcu, i ja kiedyś umrę? Wtedy nie będzie nikogo, kto będzie mógł dać świadectwo twojego wczesnego dzieciństwa.

Jago wzruszył ramionami.

- Nie szkodzi. Dotąd tak wchłonałem w siebie wasze historie, że mogę się podpisać pod tym, co mi opowiedzieliście i co sobie przypominam. A może w dniu waszej śmierci sam będę miał syna, któremu będę musiał dać świadectwo.

Dziewiętnastego października 1792 roku armia francuska pod wodzą Custinea, zasłużonego generała rewolucji, podbiła Moguncję. We Frankfurcie krążyły wieści, że szalenie odważni Francuzi próbowali uprowadzić generałów armii pruskiej, jednakże nikt nie wiedział, czy im się udało.

Masa ludzi, w tym duża część frankfurckich jakobinów, zebrała się na brzegu Menu, tam gdzie zwykle przybijały barki kupieckie z Moguncji. Jednak dzisiaj nie pojawiły się. Plotki roznosiły się po mieście szybciej niż mgła. Mówiono, że Francuzi wokół całego miasta kopali groby dla obłożonych. Słyszac to, niektórzy mieszkańcy Frankfurtu spoglądali z troską na mury obronne, które w ciągu wielu lat pokoju zostały trochę zaniedbane. Zwykle spacerowały tam wytworne damy w towarzystwie swoich pokojówek i salonowych piesków. Czy frankfurckie mury oparłyby się oblężeniu? A jak było z grobami? Z Moguncji dochodziły słuchy, że Francuzi tak się rozpanoszyli na drogach, iż dwa powozy jadące z naprzeciwka nie mogły się wyminąć, nie zahaczając o siebie. Ustawiali też działa na pozycjach i już z daleka ostrzeliwali wszystko, co się ruszało, a sami uciekali przez Ren. Niektórzy opowiadali nawet o statku z sianem, który według trojańskiej zasady wypełniony był ukrytymi żołnierzami.

W gruncie rzeczy nikt nic dokładnie nie wiedział, ale niektórzy frankfurczycy się przestraszyli. W wielu domach zasłaniano okna deskami i przybijano belki do drzwi wejściowych. Bielizna zniknęła ze sznurów, bydło trzymano w stajni i na razie nie wyprowadzano na pastwiska. A wszędzie było słycać zatroskane pytania: Co się stanie, kiedy oni przyjdą? Czy będą grabić, plądrować, gwałcić? Tylko jakobini byli dobrej myśli.

- Nareszcie - szeptali do siebie nawzajem, kiedy spotykali się na ulicach i placach, w uliczkach i przy studni. - Czas najwyższy. Nareszcie nadchodzi nowy czas, nasz czas.

Stefan był wewnątrznie rozdarty. Z jednej strony pragnął rewolucji nie mniej niż jego przyjaciele, z drugiej jednak strony nie mógł po prostu uwierzyć, że wolność, równość i braterstwo można było osiągnąć tylko przy użyciu przemocy. Bał się. Bał się tego, że przyjdą Francuzi, i również tego, że nie przyjdą.

Ale największy strach odczuwał na myśl o wydaniu swojego wuja przyjaciołom. Od tamtego wieczoru w Żelaznej Ręce zastanawiał się, jak ma tego uniknąć, lecz nic nie przychodziło mu do głowy.

Niespodziewanie zatęsknił za ojcem, a przynajmniej za starszym bratem, z którym mógłby wszystko omówić. Jednak ojciec nie żył, a brat był daleki od utrzymywania braterskich więzi.

Stefan szedł powoli ulicami i przyglądał się dobrze znanej okolicy, jak gdyby widział ją po raz ostatni. Zrozumiał, że nie może zostać w mieście, jeżeli nie chce być winnym śmierci wuja. Musi wyjechać. Tylko w ten sposób mógłby uniknąć zdrady. Ale dokąd miałby się udać?

Zatopiony głęboko w rozmyślaniach, dotarł wreszcie do domu

Boesdorffów. Jeszcze w przedpokoju mały Arno wyszedł mu naprzeciw.

- Zobacz, Stefanie, co dostałem od taty. Spójrz tylko. -Wziął Stefana za rękę i pociągnął go do pokoju zabaw.

- Zobacz, Stefanie, czy to nie jest świetne? Stefan usiadł obok malca.

- Co to jest? - zapytał.

- Nie wiesz? Gilotyna. Czymś takim ukatrupiono króla Francji. Zobacz, jak to działa.

Chłopczyk wziął rzodkiewkę, położył ją na drewnianej podpórce, a następnie zwolnił mechanizm. Ostry jak brzytwa stalowy nożyk świsnął, jednym ciosem przecinając rzodkiewkę.

Stefan wbił wzrok w niebezpieczną zabawkę. Zamiast rzodkiewki wyobraził sobie leżącą tam głowę wuja. Musiał przełknąć ślinę, bo wzbierało w nim uczucie mdłości.

- No, nauczycielu? - Pan von Boesdorff, który właśnie wszedł do pokoju, położył gruby palec na swej wilgotnej dolnej wardze i badawczo przyglądał się Stefanowi. - Czy jesteście zbyt wrażliwi na taką zabawkę? Stefan wzruszył ramionami.

- Nie przepadam za przemocą. Nawet względem rzodkiewek. To wszystko.

- A gdyby to chodziło o was? O wasze ciało, życie, miłość albo też o waszą własność? Co wtedy byście zrobili?

Stefan odparł bez zmrużenia oka:

- Broniłbym tego, co kocham i posiadam. Szpadą, bronią palną, a jeśli trzeba by było, to gołymi pięściami.

- Właściwe słowa dla mężczyzny, nauczycielu. Francuzi przysunęli się bliżej. Już niedługo staną przed bramami Frankfurtu i tylko Bóg w niebie wie, co się wtedy stanie z tym miastem.

Stefan przytaknął. Nagle zrobiło mu się niedobrze. Już kilka dni temu los nieoczekiwanie postawił go przed wyborem: albo zdradzi wuja, albo swoich przyjaciół i przekonania. Musiał przełknąć ślinę. Ponownie poczuł tęsknotę za ojcem.

Jednocześnie wiedział, że nigdy by tak za nim nie tęsknił, gdyby Theodor Geisenheimer jeszcze żył.

- Co się dzieje, nauczycielu? Wyglądacie na przygnębionego. Czy jesteście jednym z tych, co to bratają się z tą francuską hołotą?

- Myślałem właśnie o moim ojcu - odparł Stefan, ignorując pytanie von Boesdorffa. - Nawet rok nie minął, odkąd umarł.

- Hmm... Współczuję wam. Słuchajcie, postanowiłem wysłać moją żonę i dzieci na wieś. A wy, nauczycielu, będziecie im towarzyszyć.

Stefan otworzył szeroko usta.

- Wyjechać? Towarzyszyć waszej małżonce i dzieciom? Jako ochrona? Von Boesdorff przytaknął.

- A co myśleliście? Że chcę was wysłać na lotnisko?

- Do usług. Kiedy tylko rozkażecie, będę gotowy.

- Brigitte, och, *ma chère tante* Brigitte! - Friederike wypadła z wozu wprost w ramiona ciotki.

- No, nareszcie, mój skarbie. Już od kilku dni czekam na twój przyjazd. Chodź, musisz odpocząć.

Brigitte wzięła Friederike pod ramię, podprowadziła ją z miejsca rozładunku do powozu, dała służbie wskazówki co do bagażu i zawiozła ciężarną do domu.

- Zostaniesz tutaj, moje serce. Tutaj urodzisz dziecko, a potem zobaczymy, jak to dalej będzie.

Friederike, na której trudy podróży można było wyczytać z ciemnych sińców pod oczami, wyczerpana opadła na łóżko i odgarnęła z czoła posklejane kosmyki włosów.

- Do Christiana. Chciałabym do Christiana. Z jego powodu tu jestem. Skąd w ogóle wiedziałaś, że przyjadę?

Brigitte usiadła obok niej i pogłaskała jej dłoń.

- Christian, moje serce, nie ma czasu dla ciebie. Musi dokończyć studia. Bo z czego w przeciwnym razie wyżywiłby rodzinę?

Friederike przytaknęła. Była tak zmęczona, tak nieszczęśliwa, tak wyczerpana, że zgodziła się na wszystko. Nawet nie zauważyła, że Brigitte nie odpowiedziała na jej pytanie. Chciała tylko spać, wypocząć po podróży i strachu.

Brigitte objęła ją.

- Kucharka podgrzeje wodę. Możesz się zaraz wykąpać. A tymczasem pozwolisz, że porozmawiamy, co zrobić dalej z tobą i dzieckiem.

- Co masz na myśli? - zapytała Friederike. Oparła głowę na ramieniu Brigitte. Czuła się otoczona matczyną miłością, przyjemnym zapachem drogich perfum, spokojem i przytulną atmosferą.

Brigitte przyciągnęła ją do siebie, pocałowała w czoło i ukołysała, jakby była dzieckiem.

- Spójrz - powiedziała. - Jesteś jeszcze taka młoda. Dziecko może ci zaszkodzić pod każdym względem. Twoja reputacja będzie zrujnowana, zanim jeszcze wejdiesz w dorosłe życie. Nie jest też takie pewne, że Christian poślubi cię z dzieckiem. Szczerze mówiąc, w ogóle nie wiem, czy on jeszcze jest w mieście. Wielu studentów przeprowadziło się do Strasburga i Bazylei, żeby być bliżej Francuzów. I jak już mówiłam, moja mała, dziecko zrujnowałoby ci życie.

Friederike, która nie chciała niczego więcej, jak tylko siedzieć wiecznie w objęciach Brigitte, w ciepłe i miłe zapachu, wymamrotała coś niechętnie, ale nic nie powiedziała.

- Ja natomiast - mówiła Brigitte dalej - jestem we właściwym wieku, mam odpowiednią pozycję, od wielu lat męża, ale nie mam dziecka, żadnego spadkobiercy. Wiesz, co się stanie z gazetą i drukarnią, jeśli nie pojawi się spadkobierca? Dzieci mojej bratowej, chciwe, głupie, małe łobuzy,

odziedziczą to, co moi przodkowie i ja zgromadziliśmy. Czy uważasz, że to jest sprawiedliwe?

Friederike poruszyła lekko głową. We wszystkim zgodziłyby się z Brigitte, żeby tylko nie musiała wstawać.

- Ty masz o jedno dziecko za dużo, ja mam o jedno za mało. Dlatego złożę ci propozycję. Od dzisiaj będę nosiła odpowiednie spódnice, w których będę wyglądała, jakbym była przy nadziei. Ty natomiast będziesz się starała, żeby twoje ciało sprawiało wrażenie tak szczupłego, jak to tylko możliwe. Po narodzinach przekazesz mi swoje dziecko, a ja będę podawać je za swoje. Nawet w kościele. Na świadectwie chrztu będzie wpisane moje imię jako imię matki, a jako imię ojca nie imię Christiana tylko mojego męża. W ten sposób odzyskasz swoją niewinność i reputację i będziesz miała wszelkie możliwości, żeby ułożyć sobie życie według własnych wyobrażeń. Co na to powiesz?

Friederike, tak bezpieczna na piersi Brigitte, przytaknęła. Nagle jednak zerwała się, usiadła wyprostowana i zmarszczyła czoło.

- Nie mogę przecież oddać mojego dziecka. To dziecko Christiana i moje. Ono nie powstało w grzechu. Jest owocem miłości!

Brigitte lekko westchnęła.

- Owoc tu, owoc tam. Czy pomyślałaś kiedyś o losie twojego owocu miłości? Jak to będzie dla tego małego rosnąć jako bękart, jeżeli Christian cię nie poślubi? Czy przemyślałaś to?

Friederike przełknęła ślinę. Łzy stanęły jej w oczach.

- Ale... - jękała - ale...

Brigitte objęła ją ponownie i przyciągnęła do siebie.

- Najpierw się wyśpij. Potem zasięgnijemy informacji o Christianie.

- Dobrze - szepnęła Friederike. - A kiedy go znajdę, zapytam go o zdanie. Jeżeli on także uzna, że tak będzie lepiej, jeżeli on zechce, żeby nasze dziecko było twoje, wtedy tak będzie.

Poranek 22 października 1792 roku był chłodny. Po raz pierwszy po lecie na trawie i ulicach osiadła szadź. Po raz pierwszy oddech zamieniał się w białe obłoczki. Niebo zwiesiło nad miastem ciężki brzuch, gotowe do pęknięcia przy lada okazji i zasypania Frankfurtu śniegiem. Nad Menem snuły się delikatne mgły.

Był jeszcze wczesny ranek. Tylko niewielu chłopów ciągnęło ulicami miasta swoje załadowane kapustą i jabłkami taczki na targ. Nagle miasto zerwało się ze snu jak z nocnego koszmaru. Konni pędzili przez ulice, walono w niezliczone drzwi, mężczyźni z rozczochranymi włosami, w niewy-czyszczonych butach wybiegali z domów, szukając ręką broni. Żebracy uciekali pod ochronę kościołów i klasztorów, matki ciągnęły płaczące dzieci, pospiesznym krokiem przemierzając ulice. Właściciele domów ryglowali drzwi i bramy, wpędzali nawet do środka kury. Nikt nie wiedział, co się właściwie dzieje, aż w końcu strażnik miejski, który jechał konno przez miasto, poinformował mieszkańców:

- Francuzi stoją przed Bramą Bockenheimerską! Pułkownik Houchard zażądał wstępu do miasta, a rada udzieliła mu pozwolenia.

Nikt nie wiedział nic więcej, ale każdy bał się o siebie, o rodzinę, dobytek, miasto. Na rogach ulic zbierali się męż-

czyżni. Rzemieślnicy przynieśli ze sobą młoty i topory, kupcy spieszyli do biur, stamtąd w dół do portu i z powrotem. W kawiarniach tłoczyli się ludzie, siedzieli ciasno obok siebie, jednak większość milczała. Powozy z zaciągniętymi zasłonkami turkotały na bruku.

- Tam - powiedział jeden. - Znowu kolejna rodzina opuszcza miasto.
- Dobrze robią - powiedział inny. - Zrobiłbym tak samo, gdybym miał rodzinę.

Theda szła z jamnikiem w stronę ratusza. Nie wiedziała dokładnie po co. W biurze wytrzymała tak samo krótko jak w domu. Może ktoś w Alten Limpurg wiedział, co dalej będzie się działo z miastem? Barbara obiecała, że zostanie w biurze. Była doskonałym kupcem, lepszym niż ona sama mogła być kiedykolwiek. Także Stefan i Jago nawet się do niej nie umywali. Potrafiła sama podejmować decyzje, była potrzebna, uznawana i szanowana przez innych kupców. Ale to jej nie wystarczało. Theda nie rozumiała swojej synowej.

Zamiast być zadowolona, Barbara zatęskniła nagle za życiem zameężnej patrycjuszki. Theda nie znała nic bardziej nudnego, ale synowa z tygodnia na tydzień coraz bardziej się niecierpliwiła. Potrzebuje dziecka, pomyślała Theda. Czy nie popełniłam błędu, pozwalając Friederike na ucieczkę do Lipska? Teraz jednak było już za późno. Jeżeli Jago wkrótce się nie spręży, będę musiała w końcu zaprowadzić porządek i zająć się jego kochanką. Bo że ją ma, jest jasne jak słońce. Barbara powinna być już od dawna ciężarna, myślała Theda. Gdyby wszystko było w porządku, nasz Jago nie wychodziłby z łóżka, a jego rymowanki już dawno przestałyby rozwodzić się nad niejasnymi tęsknotami. Ale ja idę sobie i martwię się o wiersze Jaga, a Francuzi stoją pod bramami Frankfurtu, zreflektowała się Theda. Teraz należałoby czuwać i jak najlepiej wykorzystać tę sytuację.

Była tak zamyślona, że nie zauważyła, jak zatrzymał się przy niej powóz z zasłoniętymi okienkami.

- Theda! - zawołał ktoś.

Spojrzała w górę i przystanęła. Jamnik natychmiast usiadł przy jej stopach.

- Eva. Dokąd chcesz jechać?

Eva von Noesch była blada, pod oczami miała ciemne cienie.

- Francuzi nadchodzą. Opuszczam miasto. Pojadę na północ, nad morze. Tamtejszy klimat bardziej służy mojemu zdrowiu. Jedź ze mną. Czego tu jeszcze szukasz? Będzie wojna. Pobędziemy kilka pięknych tygodni albo i dłużej nad morzem.

- Dziękuję, Evo, ale nie mogę wyjechać. Interesy, dzieci... wiesz przecież, że ponoszę całą odpowiedzialność.

Za powozem ktoś zaklął. Dwóch chłopów z taczkami i winiarz chcieli przejechać dalej.

- Zastanów się nad tym, moja kochana. Możesz w każdej chwili dojechać. Cieszyłabym się.

Theda skinęła głową, weszła na stopień powozu i pogłaskała przyjaciółkę po policzku. - Wypoczywaj dobrze, moja kochana. I wróc zdrowa.

W sali w Alten Limpurg, gdzie kobiety tylko w wyjątkowych okolicznościach były mile widziane, panowało straszne wzburzenie.

Pomiędzy domem a ratuszem, tam i z powrotem biegała służba, żeby dostarczać obecnym najnowszych informacji.

- Czy są jakieś wieści? - zapytała Theda Eckeharda von Hohensteina, który poprowadził ją pod rękę do wygodnej otomany i zatroszczył się najpierw o to, żeby dostała filiżankę gorącej czekolady i kilka biszkoptów.

- Pułkownik Houchard zażądał od deputowanych rady frankfurckiej, żeby dać mu do dyspozycji żywność, a przede wszystkim drewno. Ponadto zażyczył sobie wolnego prze-

jazdu przez miasto, żeby połączyć się przy Bramie Affentor-skiej z nadchodzącą z południa drugą armią pod dowództwem marszałka polnego Victora Neuwingera.

- I co? - zapytała Theda. - Co mówi rada? Hohenstein westchnął.

- Powołują się na neutralność Frankfurtu. Podnieśli most przy Bramie Affentorskiej, żeby uniemożliwić Neuwingerowi przekazanie pisma generałowi Custine'owi, który zdobył Moguncję.

Theda zastanowiła się chwilę.

- Czego, mówiłeś, żądają Francuzi?

- Żywności i drewna.

- Hmm... - mruknęła Theda. Nagle uśmiechnęła się i wstała. - Myślisz, że dzisiaj wiele się jeszcze wydarzy?

Hohenstein potrząsnął głową.

- Nie można kazać Neuwingerowi stać wiecznie pod bramą jak żebrakowi. Zostaną do niego wysłani niektórzy radni. Wkrótce dojdzie tutaj do widowiska, ale zapewniam cię, moja droga Thedo, że Frankfurt za wszelką cenę będzie się starał zachować neutralność. Nie mamy się czego obawiać.

Powóz pędził w stronę Marburga. Stefan spoglądał przez okno na przesuwany się krajobraz i zastanawiał się, co robią jego jakobińscy bracia. Wczoraj, kiedy opuszczali Frankfurt, naprzeciw nich szło kilku Francuzów. Stefan przypuszczał, że dzisiaj pod bramy przybyło więcej oddziałów. Czy Georg naprawdę zrobiłby to, co zamierzał? Czy zmusiłby przemocą strażników miasta do otwarcia bram, jeżeli nie chcieliby zrobić tego dobrowolnie? Czy jego wuj był w niebezpieczeństwie? Och, jak bardzo nie chciał opuszczać Frankfurtu! Miał nadzieję, pragnął tego całym sercem, że nie będzie posądzony o tchórzostwo. Ale wiedział, że właśnie tak się sta-

ło. Był tchórzem. Uciekł, ponieważ był zbyt tchórzliwy, by przyznać się do tego. Chciał rewolucji, ale nie za wszelką cenę, nie za cenę życia wuja. Nie za cenę krwi i bólu. Czy jestem zbyt delikatny? - zastanawiał się. Zbyt wrażliwy? Czy jestem mięczakiem tak jak mój brat? Potrafię przecież fechtować, już jako dziecko nauczyłem się tego. I potrafię strzelać z pistoletów, jeździć konno, nawet obchodzić się z muszkietem. Potrafię wszystko, co musi umieć mężczyzna, kiedy sytuacja tego wymaga. Nie brakuje mi też odwagi. I nie wykorzystałem tego. Po prostu. Ponieważ nie mogę uwierzyć, nie, ponieważ nie chcę wierzyć, że przemoc coś zmieni.

Obok niego klóciły się dzieci. Arno ciągnął swoją siostrę Elizabeth za warkocz, ale ta się nie dawała. Szybko zaczął jęczeć i musiał zostać przywołany do porządku przez Anne-mie, opiekunkę dzieci.

Lisette von Boesdorff, oparta o poduszki w kącie powozu, narzekała na silny ból głowy. Była bardzo blada, usta miała niemal białe, oczy otoczone cieniami. - Każdy kamień na drodze odbija mi się w mózgu, jęczała. Annemie podała swojej pani buteleczkę z pachnidłem, wiedziała jednak, że nie pomoże to na długo. Najdalej za kwadrans młoda pani zacznie się skarżyć na nowo.

Stefan postanowił, że zatrzymają się w Allendorfie, małym miasteczku, pomimo iż był dopiero środek dnia. Poleciał woźnicy zająć się końmi, a sam wynajął wszystkie miejsca w zajeździe, gdzie byliby jedynymi gośćmi.

Podczas gdy Annemie troszczyła się o dzieci, Stefan zabrał bagaż Lisette do jej pokoju.

Kiedy tam wszedł, młoda kobieta położyła się na łóżku i poprosiła o okład na czoło. Stefan natychmiast pobiegł, by spełnić jej życzenie.

Ostrożnie położył Lisette mokrą szmatkę na czole.

- Odsznuruj trochę mój gorset - poprosiła.

Stefan nagle poczuł suchość w gardle.

Chciał odmówić, chciał zawołać Annemie, jednak niewypowiedziane słowa przykleiły mu się do języka. Drżącymi palcami dotknął gorsetu.

Nie ważył się czuć, poczuł jednak pod dłonią miękki kształt jej piersi, jak misę ognia. W końcu rozpiął gorset, a Lisette odetchnęła z ulgą.

- Czy mogę wam coś jeszcze przynieść? - jąkał się Stefan. - Coś dla was zrobić? Coś dobrego, mam na myśli?

Mówię jak idiota, pomyślał. Ale co miał powiedzieć? Jakie słowa są właściwe w obliczu tak wzruszającej bezradności i takich ust?

- Czy bylibyście... moglibyście...

- Tak? - Stefan pospiesznie podskoczył do niej.

- Ach, zostawcie. To był tylko taki pomysł. Takie wspomnienie z dzieciństwa.

- Pozwólcie mi... Powiedzcie, co wam dobrze robi.

- Ach, dziecinada. Moja matka... kiedyś, kiedy cierpiałam na bóle głowy... kładła mi dłoń na czole i przesuwała po nim, a ja czułam, jakby mi ściągała ból z czoła.

- Ja... ja mam... wasze czoło...

- Nie... nie, zostaw. To był tylko taki pomysł...

Stefan usiadł ostrożnie na brzegu łóżka. Przez chwilę patrzył na białe, wysokie czoło, pod którym pulsowało kilka cienkich, niebieskich żył. To czoło, pomyślał, jest takie dziecięce, tak czyste, tak kruche i cenne. Jak mógłbym się ważyć dotknąć go moimi niezdarnymi rękoma? Ale jeżeli przyniesie jej to ulgę? Powoli i tak delikatnie jak tylko potrafił, położył czubki palców na jej czole i przesuwał nimi ostrożnie tam i z powrotem.

- Czy tak jest prawidłowo? - zapytał trwożliwie.

- Tak, dobrze. Może trochę mocniej. Ból jest uporczywy. Musicie go złagodzić.

I Stefan tak uczynił. Przesuwał palcami po czole, potem czubki jego palców ześlizgnęły się nieumyślnie niżej, na po-

liczki, na kontury jej ust. A kiedy Lisette zażądała cicho: - Pocałuj mnie!
Zrobił to, jakby nic innego nie było możliwe.

Theda nie wytrzymała długo w domu. Barbara, jak zawsze, nie wiedziała, gdzie ukrywa się Jago. W tej chwili obie spieszyły znowu do ratusza.

Po drodze zapytała synową:

- Zakupiłaś dużo drewna, prawda? Barbara przytaknęła.

- Francuzi żądają od miasta drewna.

- Tak myślałam. Byłoby dla nas lepiej, gdybyśmy mogli jeszcze przez jakiś czas ukrywać nasze zapasy. Musimy czekać, aż ceny wzrosną, dopiero potem możemy wejść na rynek z małą ilością.

- Dobrze. Bardzo dobrze. Kupiłaś także żywność?

- Kupiłam bardzo dużo beczek z kiszoną kapustą, do tego solone ryby i wędzone kielbasy. Tylko to, co długo wytrzyma. Nic na chwilę.

- A więc wszystkie rzeczy, jakich przechodzące wojska będą mogły potrzebować?

- Nie. To nie jest dla żołnierzy, którzy nic nie mogą albo nie chcą zapłacić. To jest dla mieszkańców, którzy oddali swoje zapasy, a teraz zauważają, że mają w domu więcej guldenów niż chleba.

Theda chętnie powiedziałaaby Barbarze kilka słów uznania, ale mina synowej wskazywała wyraźnie, że sobie tego nie życzy. Tak więc Theda zadowolila się wzięciem na ręce jamnika, ale i on nie był tym zachwycony. Szamotał się, jakby chciał powiedzieć, że nie jest niemowlęciem, lecz psem, który chce ochraniać swoją panią.

W domu bractwa Alten Limpurg podobnie jak przed południem panował tłok. I tym razem Theda spotkała Ecke-harda von Hohensteina.

- Co się do tej pory wydarzyło? - zapytała. - Co nowego wiadomo o Francuzach?

- Przedstawiciele rady są przed bramą. Wzięli ze sobą najlepsze wina z miejskiej piwnicy. Mówi się, że piją teraz z francuskimi rewolucjonistami za „wolność i równość”.

Theda śmiała się.

- I co będzie dalej?

- Och, już poszło dalej. Kilku rzemieślników próbowało otworzyć bramy od środka i umożliwić Francuzom wejście do miasta. Jednak zanim zauważono ten akt przyjaźni, straż aresztowała wyrostków i zamknęła w lochu. Teraz tłoczą się w oknach, wydzierają się i śpiewają tę swoją *Mar-sylianke*.

Theda pomyślała o Stefanie. Była zadowolona, że wyjechał z miasta. Złościła się, kiedy jej powiedział, że zatrudnił się jako nauczyciel, groziła i płakała. A teraz była szczęśliwa, że syn jest daleko, nie siedzi w lochu ze swoimi przyjaciółmi jakobinami i nie wyśpiewuje pieśni rewolucyjnych. Tymczasem członkowie bractwa Alten Limpurg podeszli do okien. Z zewnątrz do środka przedostawał się hałas.

- Co się dzieje? - zapytała Theda.

Eckehard von Hohenstein był tak wysoki, że łatwo mu było patrzeć ponad głowami innych.

- Neuwinger nadchodzi. Jedzie na siwku i wykrzykuje co sto kroków *Vive la liberté!* Towarzyszy mu konwój min-streli.

- A frankfurczycy? Co robią? Rzucają zgniłymi jajami czy kwiatami? Pozdrawiają rewolucję? Biedny lud biegnie Francuzom naprzeciw i pozdrawia swoich braci?

Von Hohenstein śmiał się.

- Jesteś zbyt romantyczna, Thedo. Nic takiego się nie dzieje.

Frankfurczycy stoją na brzegach ulic i przyglądają się temu osobliwemu konwojowi. Ale tylko ci, którzy nie mają nic innego do roboty. Niektórzy krzyczą coś do Francuzów, a Fran-

cuzi odpowiadają. Neuwinger i jego żołnierze pochodzą z Lotaryngii i Alzacji. Mówią po niemiecku. Jeśli dopisze nam szczęście, to taki właśnie będzie ten przemarsz wojsk.

Barbara w tym zgiełku siedziała cicho. Kiedy Theda ją zapytała, czyjej to wszystko nie interesuje, potrząsnęła tylko głową. To prawda, wrzawa za oknami nie interesowała jej w najmniejszym stopniu, zapasy drewna też nie, nawet nadchodzące korzystne interesy.

Jej myśli krążyły wokół Jaga, który wrócił wczoraj wieczorem do domu i położył się obok niej, jak zażądała od niego matka.

Barbara leżała bezsennie, czekając, aż zacznie jej dotykać, pożądać, kochać ją. Był tak blisko niej, że czuła jego oddech, ciepło jego skóry, zapach włosów. A zarazem był tak daleko, że nic, żadne słowo, żaden gest nie przyciągnął go do niej. Leżała, nie ruszając się, zdrętwiała z tęsknoty. Zaczekała, aż jego oddech będzie brzmiał równomiernie, a wtedy przytuliła się do niego i odsunęła włosy na bok, żeby mu nie przeszkadzać swoim zapachem, oddechem, byciem.

A kiedy już mocno spał, wołała cicho jego imię. Wierzyła, że we śnie będzie jej może łatwiej dotrzeć do niego. Myślała, że we śnie wszystkie kobiety są takie same i tak samo pociągające. Wołała go, wychwytywała jego oddech swoimi ustami, jednak Jago się nie obudził. Raz nawet podniosła rękę i czubkami palców prześliznęła po jego policzkach. Wtedy burknął, strzepnął jej palce, jakby to były nóżki pająka, i odwrócił się od niej. A ona leżała i płakała.

Teraz też chciało jej się płakać. Co z tego, pomyślała, że jestem rozsądnym kupcem, skoro mąż mną gardzi? Co zyskuję na tym, że uchodzę za pilną i czystą, mądrą i cnotliwą, kiedy jako kobieta zawodzę? Dla kogo mam się rano myć, dla kogo szczotkować włosy? Dla kogo nosić szykowne suk-

nie i kolorowe wstążki? Dla kogo mam jeść i pić, dla kogo na całym świecie mam oddychać, żyć?

- Dziecko, co ci jest? - Theda usiadła obok niej i położyła jej dłoń na ramieniu. - Źle wyglądasz. Nie czujesz się dobrze?

Barbara potrząsnęła głową.

- A może masz wszelkie powody do radości, bo robi ci się niedobrze?

- Nie, *chere maman*. Nie jestem w ciąży. A jeśli dalej nic się nie zmieni, to nigdy nie będę.

- Czy on nie leży przy tobie, jak mu poleciłam?

- Wręcz przeciwnie, leży obok mnie. Leży na swojej połowie łóżka, jakby moja była zatruta.

- Żadnego całusa, zupełnie nic?

- Jeszcze mniej niż to. Theda westchnęła.

- Co za drań! Zajmę się tym, moje dziecko. Ale Barbara tylko potrząsnęła głową.

- Czym chcecie się zająć, mamó? Miłości nie można wymusić. Jago mnie nie widzi, nie traktuje mnie poważnie. Prawdopodobnie nie pamięta nawet mojego imienia.

Nagle rozmowę obu pań przerwało głośne wołanie. Do Alten Limpurg przybył posłaniec.

- Poczta z Moguncji! - zawołał. - Generał Custine wystosował do rady pismo. Nakłada na miasto karę w wysokości dwóch milionów guldenów, ponieważ wspierało emigrantów francuskich szlacheckiego pochodzenia. Albo Frankfurt zapłaci, albo on obróci miasto w perzynę!

Friederike marzła w cienkiej pelerynie. Październikowy wiatr hulał po ulicach, przyginał suche drzewa aż do ziemi, zrywał liście, gałęzie i czepki z głów szacownych matron. Brązowe listowie wirowało u jej stóp, zaplątało się w brzeg sukni.

Była już w dwóch bursach. Pytała o Christiana, jednak nikt nie znał studenta prawa pochodzącego z Frankfurtu. Była też na uniwersytecie, lecz kiedy zobaczyła tych wszystkich studentów, profesorów o surowych twarzach, nie ważyła się zagadnąć żadnego z nich.

Teraz była w drodze do Zielonego Myśliwego. Gospodyni drugiej bursy podsunęła jej tę myśl.

- Nie tu powinnaś go szukać, panienko. To nie wypada ani wam, ani panu studentowi. Idźcie na obiad, na przykład do Zielonego Myśliwego. Tam spotkacie studentów. Być może spotkacie nawet tego waszego. -

Spojrzała przy tym na Friederike tak współczująco, że dziewczyna poczerwieniała ze wstydu.

- Dlaczego za nim biegacie? Jesteście piękna, być może też bogata, patrząc na wasze ubrania. Pozwólcie mu odejść, możecie mieć każdego. Te słowa zraniły jej serce. Friederike podziękowała i ruszyła przed siebie. Szła powoli przez Fleischergasse, potem

w dół Hainstrasse w kierunku Bruehl, do Zielonego Myśliwego. Gdzie teraz był Christian? Dlaczego nikt go tutaj nie znał? Może on nigdy nie był w Lipsku? Jego listy przychodziły stąd, miały pieczęć Lipska. Ale ona już od dawna nie dostała od niego żadnego listu. Gdzie on się ukrywał?

Friederike przystanąła i przycisnęła rękę do serca. Tak wiele się słyszało o burdach wśród studentów, o honorowych pojedynkach na szpady. A może Christian nie żył? Został gdzieś pobity albo zastrzelony, zabity w jakimś pojedynku?

Nie, pomyślała, to niemożliwe. Nie mój Christian. Z pewnością wysłaliby jego ojcu wiadomość, gdyby tak się stało. A wtedy lament jego matki z całą pewnością słyhać by było aż w domu sąsiadów.

Nie, on nie może być martwy. We Frankfurcie nikt o tym nie wiedział. A tu, w Lipsku - najpóźniej tutaj dowiedziałabym się o tym. Pojedynek na śmierć i życie, o czymś takim przecież się mówi. Brigitte z pewnością nie zataiłaby tego przede mną.

Pospiesznie przeszła Hainstrasse i skręciła w prawo w Bruehl. Jeszcze tylko kilka kroków i stanęła przed Zielonym Myśliwym. Ze środka dobiegały głośne krzyki i śmiechy, ktoś recytował śmieszne wiersze. Czy powinna tam wejść? Zrobić z siebie pośmiewisko? Tak, pomyślała. Muszę. Muszę się dowiedzieć, co się stało z Christianem.

Nieśmiało otworzyła drzwi i weszła do hałaśliwego pomieszczenia. Krzyki natychmiast ucichły. Lustrowały ją dziesiątki par oczu. Czują spojrzenia wędrujące po jej włosach, piersiach, całym ciele.

Przełknęła ślinę i zebrała się na odwagę.

- Czy znacie pana Christiana Altvatera z Frankfurtu, studenta jurysprudencji?

Nikt nie odpowiedział. Młodzi mężczyźni wbili w nią wzrok, niektórzy nieprzyjemnie zaskoczeni patrzyli w bok, jednak nikt nie powiedział ani słowa.

Friederike podeszła do pierwszego stołu i dotknęła ramienia młodego mężczyzny.

- Znacie go? Christiana Altvatera?

Student potrząsnął tylko niemo głową i spojrział zmieszany w drugą stronę.

- Czy nikt z was nie zna Christiana Altvatera? Jest wysoki i szczupły. Ma znamie po lewej stronie nad górną wargą. Chciał zostać adwokatem i wrócić potem do Frankfurtu.

Gospodarz podszedł do Friederike.

- Idź do domu, dziewczyno. Widzicie przecież, że nie znajdziecie go tutaj. Idźcie do domu, wyśpijcie się, a potem o nim zapomnijcie.

- Ale dlaczego? Gdzie on jest?

Friederike zaczęła płakać. Gospodarz otoczył ją ramieniem i ostrożnie przesunął do drzwi.

- Nie płaczcie za nim, nie zasłużył sobie na to. Żaden mężczyzna nie zasługuje na łzy kobiety - powiedział i zamknął za nią drzwi.

Dwudziestego piątego października 1792 roku Custine, generał armii republikańskich, ze swojej kwatery głównej w Moguncji wystosował odezwę do „radnych narodu” we Frankfurcie:

- „To nie mieszkańcy waszego miasta obrazili naród Franków, przyjmując naszych emigrantów. Nie mieszkańcy waszego miasta wyciągali od Republiki pieniądze, żeby wrzucać je do skrzyni książąt. To nie mieszkańcy waszego miasta puścili w obieg wydane przez nich asygnaty, które obniżyły wartość narodowej monety... Mężczyzna, który pławi się w zbytku, zrzuca publiczne ciężary na biedaków... Władze miasta!

Pożyczcie mi wasze działa i wasze zapasy wojenne, żebym wzmocnił środki do obrony najważniejszego oblężenia, jakie prowadzi Republika Francuska... Żądam jednak, żeby nie obciążało to biedniejszych cechów...".

Już po kilku godzinach frankfurczycy zebrali trzysta tysięcy guldenów i przekazali je radzie. Rada odpowiedziała w imieniu mieszkańców Frankfurtu w drukowanym liście otwartym, że ze swojej władzy zwierzchniej, która znosi razem z innymi mieszkańcami miasta wszystkie trudy, jest zadowolona, i tak samo z bogatych patrycjuszy, którzy starają się usilnie złagodzić nędzę biedaków.

- „Przedstawiając się, panie generale, jako obrońca wolności i protektor publicznego dobrobytu, działalibyście wbrew waszym własnym zasadom, gdybyście nie zwolnili nas ze wszelkich kontrybucji, których nie my jesteśmy przyczyną i które nasze dotąd szczęśliwe miasto muszą zrujnować".

- Co to wszystko ma znaczyć? - zapytała Theda Ecke-harda von Hohensteina.

- Jeżeli mamy pecha - odpowiedział - czekają nas bardzo wysokie podatki. Francuzi już od dłuższego czasu są w drodze. Ich ludzie są wyczerpani. Potrzebują żywności i różnych rzeczy, które mogliby wysłać swoim żonom do domu. Potrzebne im nowa broń, nowe wozy, kołdry, lekarstwa i środki opatrunkowe.

- Czy tak wygląda ich wolność, równość i braterstwo, że wszystko nam zabiorą? Nie rozśmieszaj mnie! Czy Francuzi są bardziej wolni i bardziej równi niż ludzie tacy jak my?

Theda tak się zdenerwowała, że filiżanka z gorącą kawą drżała jej w dłoni. Poczowała strach, naszło ją przecucie, że szczęście, którego nigdy nie знаła, ostatecznie odwróciło się

od Geisenheimerów. Jago, pomyślała, Stefan, Friederike. Myślała o swoich dzieciach, tak jak się myśli o zmarłych, i przeraziła się, kiedy to sobie uświadomiła.

- Nie chciałabym nigdy wracać. Nigdy.

Lisette przytuliła się do Stefana, ale tylko na chwilę, żeby Annemie i inni służący niczego nie zauważyli. Przyjechali właśnie, po nocy spędzonej w zajeździe, do majątku ziemskiego bliskiego wspólnika w interesach pana von Boesdorffa. Tutaj, pół godziny drogi od Allendorfu, mogli w spokoju przeczekać przemarsz Francuzów. Zamieszkali w dworku ze schodami zewnętrznymi i meblami w stylu francuskim. Spiżarnie były pełne świeżej jagnięciny, warzyw wszelkiego rodzaju, dobrego masła i jeszcze lepszego sera. Do domu przylegał zdziczały ogród, przez ukwiecone łąki wił się strumyk. Pochylały się nad nim wierzyby, a topole szeptały na wietrze.

- Tutaj jest tak pięknie, piękniej niż w raj. - Lisette leżała na kolanach Stefana pod jabłonią, on opierał się o pień drzewa. Był nadzwyczajnie ciepły październikowy dzień, ponad łąkami unosiły się przejrzyste opary mgły, pachniało jeszcze trochę latem. Ostatni raz chęć życia natury buntowała się przeciwko zasadzie bycia i przemijania.

- Tak, jest piękniej niż w raj. Ty jesteś piękniejsza niż raj, piękniejsza od Ewy, kusząca jak to jabłko.

Lisette roześmiała się.

- A skąd możesz to wiedzieć? Znasz dużo kobiet? Stefan poważnie potrząsnął głową.

- Nie, oczywiście, że nie. Jesteś pierwszą, jesteś ostatnią, jedyną, jaką kocham.

- Ach, ty mój wrażliwy, ty mój piękny. - Lisette uniosła głowę i pocałowała go.

Stefan pogłaskał jej piersi, potem przesunął rękę do jej bioder, a drugą wsunął pod spódnicę.

- Nie - szepnęła Lisette. - Nie tutaj, moje serce. Mógłby nas ktoś zobaczyć. Dzieci, służba. Musimy uważać.

Podniosła się i podciągnęła Stefana w górę. Jak szalone dzieci pobiegli przez zaczarowany ogród do oddalonego stąd dworku. Idąc w górę schodów, chichotali i szeptali do siebie. Nie troszczyli się o skrzypiące deski, nie wspominali samotności innych ludzi, mieli przed oczami tylko to swoje małe szczęście, chciwą żądzę, swoje egoistyczne popędy. Lisette potknęła się i Stefan odwrócił się, żeby jej pomóc. Jego spojrzenie padło na drzwi do pokoju Annemie. Wydawało mu się, że dziewczyna patrzy na nich przez szczelinę w drzwiach, jednak kiedy obejrzał się po raz drugi, drzwi były zamknięte. Pomyślał o wczorajszym wieczorze. Leżał na łóżku i czytał w blasku lampy olejnej. To były pisma Georga Forstera, które tak go pociągały. Nagle usłyszał szmer pod drzwiami swojego pokoju. Przypuszczając, że to Lisette, wstał i otworzył je, z gołą piersią, włosami związanymi luźno na karku i oczami błyszczącymi żądzą i miłością. Ale to nie Lisette stała przed nim, lecz Annemie. Błada i niepozorna Annemie z chudymi ramionami i piersiami, które pod suknią i gorsetem sprawiały wrażenie cienkich torebek z kiepskiego papieru, jakie kramarz napełniał groszkiem. Spiczaste torebki, z pewnością do użytku, ale nie do rozkoszowania się nimi.

- Czego tu szukasz? - zbeształ ją. Trudno mu było ukryć rozczarowanie. - Czego tu chcesz?

Annemie cofnęła się, spuściła wzrok, przez chwilę gniotła brzeg sukni w dłoni i w końcu szepnęła:

- Nie mogę spać.

- To zejdź na dół do kuchni i zagrzej sobie mleka. Gorące mleko z miodem, to pomaga.

Wtedy Annemie spojrzała w górę.

- Myślałam, że może będziesz mógł mi pomóc.

- Ja? Jak to ja?

Annemie wzruszyła ramionami.

-Ty jesteś sam, ja jestem sama. Moglibyśmy sobie wzajemnie pomóc i wspierać się. Stefan zmarszczył czoło.

- Co masz na myśli?

- Jest wojna. Nikt nie wie, czy i my także nie wpadniemy między fronty. Powinniśmy żyć, póki jeszcze możemy.

Mówiąc to, Annemie wsunęła dłonie pod gorset i popatrzyła Stefanowi w oczy. Cofnął się przed tym spojrzeniem, tak pełnym błagania jak spojrzenie żebraczki.

- Odejdź! - powiedział tylko. - Odejdź, Annemie. Idź precz.

I odeszła. Jednak teraz, na schodach, czuł na karku jej pełen nienawiści wzrok.

- Chodź szybko - szepnął do Lisette i wciągnął ją za sobą na górę, z dala od Annemie i jej pożądlivej biedy, takiej lepkiej i budzącej w nim wstręt. Jeszcze nie zamknęły się za nimi drzwi, a oni już przypadli do siebie, czochrali sobie nawzajem włosy, głaskali się bez opamiętania, przepychali się, odsuwali od siebie, a potem wpadali sobie w ramiona i wykrzykiwali swoje pożądanie.

Z zamkniętymi oczami Stefan wypełniał wnętrze Lisette, z zamkniętymi oczami pozwalał, by ona wypełniała mu serce i duszę. Z zamkniętymi oczami poczuł naraz obcy zapach, obce istnienie. Otworzył powieki i spojrzał prosto w twarz Annemie. Była zniekształcona, wypaczona nienawiścią i wściekłością.

Szybko zamknął oczy, a kiedy je ponownie otworzył, w pokoju nie było nikogo poza nim i Lisette.

Friederike, opadła z sił, wlokła się przez miasto. Wszędzie pytała o Christiana. Była we wszystkich bursach, zebrała niezliczone współczujące spojrzenia. Wyśmiano ją przy obiadowych stołach i zmuszono do wyjścia z domu bractwa studenc-

kiego. Raz ktoś za nią zawołał, że ten, którego szuka, zrobił mu kiedyś przykrość, ale ona robi teraz z niego pośmiewisko.

- Gdyby on już dawno cię nie zapomniał, ladacznico, to powinien teraz to zrobić! - piał.

Friederike nie wiedziała, co ją bardziej obrażało: słowo ladacznica czy fakt, że każdy chciałby, żeby Christian o niej zapomniał.

Kiedy wróciła do domu, Brigitte złapała się za głowę.

- Dziecko, jak ty wyglądasz! Co ludzie pomyślą? Biegasz po mieście jak jakaś żebraczka. Masz skołtunione włosy, twoja sukienka jest brudna i porwana na brzegach. A twoja twarz! Błada i zapadnięta, jakby wycieńczała cię zła choroba. Oczy bez połysku, włosy matowe, usta szare.

- Nie mogę go znaleźć! - łkała Friederike. Potem w ramionach ciotki wyplakała serce i duszę, cierpiąc i drżąc ze zmartwienia, wstrząsana rozpaczą.

Brigitte trzymała ją mocno, kołysała, głaskała po plecach i nuciła jej cicho dziecięce piosenki, dopóki Friederike się nie uspokoiła. Lecz choć łzy chwilowo przestały jej płynąć, smutek i rozpacz pozostały.

- On o mnie nie zapomniał, prawda? Ty też tak myślisz? Gdzie on jest i dlaczego nie napisał, dokąd wyjechał?

Brigitte nie odpowiedziała. Ciągle kołysała ją w ramionach, aż Friederike zasnęła w końcu z wyczerpania. Potem położyła dziewczynę na otomanie, wsunęła jej poduszkę pod głowę, a nogi okryła kocem. Dopiero kiedy była pewna, że Friederike mocno śpi, wzięła list z gzymsu nad kominkiem, złamała pieczęć i przeczytała. Potem podsycała żar, wrzuciła list do kominka i opuściła salon.

Minęła godzina, zanim Friederike się obudziła. Nie czuła się ani orzeźwiona, ani wzmocniona, tylko bardzo przygnębiona. Z trudem usiadła na otomanie. Jej spojrzenie padło na kominek, w którego popiele tliły się jeszcze iskierki żaru. Wstała i wzięła pogrzebacz. Zdumiała się. Czy nie leża-

ła tam zwęglona kartka papieru? Ostrożnie sięgnęła po papier i zamarła. To było pismo Christiana, a na kartce... Tam było napisane „Kochana Friederike”!

Od trzech dni frankfurczycy natykali się w swoim mieście na Francuzów. Od trzech dni nieprzerwanie turkotały wozy i furmanki zmierzające do głównych dzielnic. Wczoraj przybył generał Custine z Moguncji. Rada miasta spieszyła się bardzo, żeby sprowadzić srebrną zastawę i najlepsze wina, jednak Custine chciał więcej. Nalegał na dwa miliony guldenów kontrybucji, którą nałożył na miasto.

Dotąd zebrano prawie pół miliona. Radcy unosili ręce i próbowali wzbudzić litość. Pokazywali puste spiżarnie, przynieśli resztki skarbu, kilka kielichów, srebrne kubki do picia i tym podobne rzeczy, lecz ani Custinea, ani Neuwin-gera nie udało się udobruchać.

- Jeżeli nie chcecie płacić, to musicie krwawić - powiedział Custine i kazał sobie podać listę najbogatszych frankfurczyków.

- Zostawcie mnie! Co to ma znaczyć? Nie, nie możecie tego ze mną robić! Nie jestem kupcem, jestem poetą, przyjacielem rewolucji! - krzyczał Jago, kiedy czterech mężczyzn weszło do biura, chwyciło go za ręce i nogi i wyniosło na zewnątrz.

- Barbaro, zrób coś! Kalis, weź pistolet! - wołał Jago, ale Barbara stała jak przyklejona za pulpitem i przyglądała się mężowi rozszerzonymi oczami, a Kalis, zdenerwowany, wymachiwał rękami i gwałtownie potrząsał głową, co nikomu i niczemu nie służyło. Francuzi w okamgnieniu wrzucili Jago na wóz. Jeden usiadł na jego plecach, drugi na nogach, po czym odjechali z podwórza w największym pośpiechu.

Prawie w tym samym czasie Theda wypadła z domu.

- Co tu się dzieje? Co to za krzyki?

Kalis, który pobiegł do bramy, szedł z powrotem. Jego twarz była zaczerwieniona i z trudem łapał powietrze.

- Francuzi, pani radczyni, zabrali Jaga.

- Jaga? A co oni chcą z nim zrobić? - Theda zmarszczyła czoło. - Dokąd go zabrali? Czy ktoś mi może do jasnej cholery powiedzieć w końcu, co tu się dzieje?

Kalis, ciężko oddychając, oparł się o ścianę.

- Francuzi wyciągnęli Jaga z biura, załadowali na wóz i odjechali.

Wyglądało to tak, jakby go wzięli na zakładnika.

- Na zakładnika? Jego? - Theda ponownie potrząsnęła głową. - Nikt na całym świecie nie nadaje się do tego mniej niż Jago.

Nagle jednak zaczęło jej być spieszno. Pobiegła do biura i chwyciła Barbarę za ramiona.

- Twój mąż został wzięty na zakładnika. Naprzód, chodź ze mną. Musimy się dowiedzieć, gdzie on jest i co zamierzają z nim zrobić.

Ale Barbara potrząsnęła głową i patrzyła na nią z tak śmiertelnym znużeniem, że Theda zostawiła ją w spokoju.

Rzuciła się przez podwórze na ulicę, pędziła wzdłuż Zeilu razem ze swoim psem.

- Dokąd idziesz? Chcesz zdechnąć? - krzyknęła do służącej, która z dwoma pustymi wiadrami szła do studni.

- Co? Kto? - zapytała służąca, gapiąc się głupkowato.

- Z drogi! - krzyknęła Theda, uderzyła dziewczynę tak mocno w bok, że wiadra wypadły jej z ręki, i pobiegła dalej. Mnich w czarnym habicie antonianów wskazał ręką na prawo, w uliczkę.

- Tam są, jeżeli macie na myśli Francuzów.

Theda zgarnęła spódnicę, przeskoczyła przez kałuże. Wiatr przekrzywił jej czepek na głowie, błoto pryskało aż do kolan, jej cienkie rękawiczki w mgnieniu oka przemokły od wilgoci. Ostre podmuchy wiatru przenikały przez suknię i ziębiły jej

skórę, bo w pośpiechu nie wzięła ani płaszcza, ani peleryny. Kłuło ją w boku, oddech miała krótki i świszczący, ale nie zważając na nic, pędziła dalej z czerwonym jamnikiem u boku.

Teraz wiedziała, dokąd zabrano jej syna. Do Czerwonego Domu, głównej kwatery Francuzów. Na chwilę przed tym, zanim tam dotarła, wyprzedził ją powóz z zasłoniętymi oknami. Theda mogła jednak zobaczyć, że siedział w nim młody Rohrbach. Syn bogatego kupca nie sprawiał wrażenia, jakby jechał z własnej woli.

Wreszcie dotarła do straży. Swoim pełnym błędów francuskim zażądała wydania syna. W imię wolności, równości i braterstwa, wołała, ale nikt jej nie słuchał. Musiała bardzo długo drzeć się i krzyczeć, aż w końcu zaprowadzono ją do mężczyzny, który wydawał się sprawować wysoką funkcję i mówił dość dobrze po niemiecku.

- Wasz syn, *madame*, jest naszym zakładnikiem. Przywieźliśmy tu pięciu bogatych kupców, do tego dwóch Żydów. To wszystko stało się na rozkaz generała Custinea. Sami jesteście sobie winni. Wykorzystajcie swoją władzę, wpływy i sprawcie, że otrzymamy to, czego żądamy. Dwa miliony guldenów. Wtedy kupcy i Żydzi będą wolni.

Theda przełknęła ślinę. Jej dzieci, Bóg jeden wie, że jej dzieci nie były takie, jakby sobie tego życzyła, ale to były jej dzieci. Jago był nieudacznikiem, ale nieudacznikiem, którego ona urodziła. Jej nieudacznikiem.

- Mój syn jest poetą, *monsieur*. Nie jest kupcem. Weźcie mnie. Rozumiem więcej z tych rzeczy niż on. I jestem silniejsza.

Mężczyzna zmarszczył czoło, po czym lekko uderzył Thedę w ramię.

- Podobacie mi się, *madame*, macie prawdziwy talent do bycia rewolucjonistką, możecie walczyć. Przynieście mi jesz-

cze dzisiaj pięćdziesiąt tysięcy guldenów, a wasz syn będzie wolny.
Theda przełknęła ślinę.

- A jeżeli nie?

- Ta propozycja świadczy o prawdziwej przyjaźni. Musicie jeszcze raz wszystko przeliczyć. Jeśli nie możecie uiścić tej małej opłaty i miasto także będzie się wzbraniało przed zapłaceniem żądanych dwóch milionów guldenów, to wtedy zakładnicy umrą.

Mężczyzna spojrzął na Thedę, jednak ta ani nie krzyknęła, ani nie dostała spazmów.

- Wybaczcie mi, *madame*, jest wojna, a na wojnie nie obowiązują zasady uprzejmości. Jeżeli zbierzecie te pięćdziesiąt tysięcy guldenów tak szybko, jak to możliwe, wtedy będziecie mogli zabrać waszego syna. Theda przytaknęła i już chciała iść, ale zatrzymała się i pomyślała przez chwilę.

- Chcę go zobaczyć. Chcę zobaczyć mojego syna. Francuz potrząsnął głową.

- Mam polecenie, żeby nie wpuszczać tu nikogo. Theda zmarszczyła czoło.

- Chcecie ode mnie pięćdziesięciu tysięcy guldenów. To jest dużo pieniędzy, bardzo, bardzo dużo. Muszę wiedzieć, czy opłaci się zapłacić tę sumę. Czy mojemu synowi dobrze się tu wiedzie.

Francuz spojrzął na nią niepewnie, po czym zwrócił się do stojącego obok mężczyzny. Rozmawiał z nim szybko po francusku, tak że Theda nie zrozumiała z tego nawet jednej dziesiątej, i w końcu machnął ręką w jej stronę.

- Chodźcie ze mną. Ale bez słowa!

Theda podążyła za nim. Weszli do piwnicy Czerwonego Domu.

Powietrze nie było tam ani wilgotne, ani zatechłe, co ją zaskoczyło.

Panował chłód, wskazany zresztą w winiarniach. Ciemność przełamowały pojedyncze lampy olejowe,

tu i tam stały przy wejściu staromodne naczynia z żarem. Była przekonana, że Jago jest więziony tu na dole, w piwnicy. Tym bardziej się zdziwiła, kiedy piwniczne schody po drugiej stronie znowu skierowały się w górę. Chwilę później znalazła się przed małą izbą.

- Tutaj jest wasz syn. Porozmawiajcie z nim. Macie pięć minut. - Francuz odsunął zasuwę na bok i Theda weszła.

- Mamo! - Jago, który leżał na pryczy, podskoczył. Pomimo że dopiero co został uwięziony, sprawiał wrażenie, jakby był tu od miesięcy. Jego skóra była szara, włosy matowe, oczy podrażnione, a ruchy mozolne, jakby wysilone.

- Jak się masz? - Theda cofnęła się przed cierpkim odorem, wiszącym w celi. To był zapach strachu.

- Źle. Wyciągnij mnie stąd, mamo, proszę.

Theda usiadła w kącie celi na kiwającym się drewnianym stołku.

- To się nie uda, mój synu. Francuzi żądają okupu.

- To zapłaćmy go, mamo. Tak szybko, jak się tylko da. Nie wytrzymam tutaj, jestem poetą, piewcą wolności, który marnieje, kiedy jest więziony.

- Moglibyśmy zapłacić tę sumę, to byłoby możliwe. Jednak wydrze ona dziurę w naszym majątku, nawet bardzo dużą. Jak chcesz tę dziurę załatać, kiedy stąd wyjdiesz?

- Ja? - Jago patrzył na matkę, jakby jej nie zrozumiał.

- Tak, ty.

- Ale dlaczego ja? Jestem poetą.

- Skoro jesteś poetą, to w takim razie zarabiaj pieniądze swoimi rymami. Jago spojrział na matkę skonsternowany. Theda nie odwróciła wzroku. Po chwili Jago usiadł ciężko na pryczy i splótł ręce na piersi.

- Jak możecie być tak twarda, mamo? Nie macie serca? Nie kochacie mnie już? Jestem przecież waszym ciałem i duszą.

- Moje ciało, moja krew? Dotąd nigdy tak nie mówiłeś, zawsze tylko, że jesteś kimś innym niż kupcy. Chciałeś być poetą, ale nie zatroszczyłeś się o swoje własne ciało i krew. No dobrze. Twoje ciało i krew to kupcy. Rączka rączkę myje. Kiedy my, twoja rodzina, mamy zrobić coś dla ciebie, to musimy wiedzieć, co ty możesz zrobić dla nas. Jesteś coś winien Geisenheimerom, swojemu ciału i krwi, a jednak nie podjąłeś żadnych zadań i obowiązków, nie wypełniałeś ich. Nie troszczyłeś się o nic ani nie byłeś przydatny w sprawach interesów. Żyjesz z pieniędzy twoich praojców, nie robiąc nic, aby powiększyć albo przynajmniej zachować rodzinny majątek. Dlaczego więc rodzina miałaby płacić za coś, co nie przynosi korzyści?

Jago milczał. Jego ramiona drżały. Theda myślała, że zaraz wstrząśnie nim szloch. Przez krótką chwilę wahała się: przecież to jej syn.

Chrząknęła.

- A zatem?

- Co masz na myśli?

- Co zrobisz, żeby powetować rodzinie tę finansową stratę?

Jago skrzywił się. Mazgajowaty, pomyślała Theda, taki jest. I po raz pierwszy w życiu zapytała samą siebie, czy jej syn z upodobania chciał być poetą, czy też, co również możliwe, wynikało to ze słabości, niedołęstwa. Czy Jago jest tchórzem? Nierobem, cykorem, niezdolnym słabeuszem?

- Mógłbym spróbować sprzedać moje wiersze.

- Słyszeliśmy, że jak na razie musisz zapłacić, żeby je zobaczyć wydrukowane.

Teraz Jago spojrział w górę i rozłożył bezradnie ramiona.

- Czego chcecie, mamó? Co mam zrobić? Zostać kupcem? Przecież oboje dobrze wiemy, że Barbara zawsze będzie zręczniejsza.

Theda machnęła ręką.

- Nie, kupcem nigdy nie będziesz.

- No to co mam robić?

- Barbara. Skoro sam nie możesz wypełniać swoich obowiązków, to musisz tej, która to za ciebie robi, strzec jak oka w głowie. Czy zauważyłeś, jaka ona jest nieszczęśliwa?

- Barbara?

- Tak, na miły Bóg, Barbara, twoja żona! W nocy leży przy tobie i płacze, ponieważ ty jej nie zauważasz. Nie dostrzegasz w niej kobiety. Ani też człowieka.

Jago spojrział, znowu nie rozumiejąc, prostodusznie jak jamnik Thedy.

- Co właściwie mam robić?

- Powinieneś ją kochać.

- Tego nie mogę. Nie można zmusić się do miłości.

- Dobrze. To przynajmniej rób wszystko tak, jakbyś ją kochał. Rób tak, jakbyś jej pożądał, spraw, żeby jej życie kobiety było tak piękne, jak to możliwe. Kupuj jej prezenty, przynoś kwiaty, pisz dla niej wiersze. Rób wszystko, żeby mogła w pełni poświęcić się interesom. Tak możesz się przyczynić do odbudowania swojej części.

Jago przyglądał się matce.

- Jestem poetą, nie kupcem. Czasami boję się was, mamó. Theda uniosła wysoko brwi.

- Nie bądź sentymentalny. Mówię tylko, jak jest i do czego musisz się zastosować.

Wstała, wygładziła spódnicę.

- Idę więc, Jago. Uważaj na siebie.

- Nie, nie idź, mamó. Proszę, powiedz Barbarze, że ją Kocham. Powiedz jej, jak bardzo za nią tęsknię. Powiedz jej też, że chcę mieć z nią dziecko, spadkobiercę.

Theda spojrzała synowi w twarz i przytaknęła. Jaki z ciebie mięczak, pomyślała. Wszystkie twoje piękne słowa o miłości i poezji nie mogą mnie już zmylić. Już nie!

Friederike czekała. Na zewnątrz już od dawna było ciemno, a w domu stopniowo robiło się cicho. Jej pokój leżał obok pokojów służących, był jednak duży i przytulnie urządzone. Pod nim znajdowała się sypialnia Brigitte, obok salonu. Trwało chwilę, aż z dołu usłyszała ciche chrapanie. Prześliznęła się bosą ze swojego pokoju wzdłuż korytarza, schodami w dół, do salonu Brigitte. Modliła się, żeby żar w kominku nie zapłonął na nowo. Miała szczęście. Z popiołu wciąż jeszcze wystawał strzępek czarnego od sadzy papieru. Friederike pogrzebała ostrożnie pogrzebaczem, wyłowiła papier, podniosła go ostrożnie, jakby był bardziej kruchy niż drogocenna porcelana, i zdmuchnęła płatki popiołu. Następnie podeszła do okna i w świetle księżycy czytała to, co pozostało z listu:

Kochana Friederike, ..już tak długo...

Nie wiem już.....

.....żadnej odpowiedzi

Nie kochasz mnie już.....

...Naumburg... sąd...

Friederike zeszywniała. Skąd Brigitte miała ten list? I czy te strzępki słów nie oznaczały, że Christian pisał już do niej

listy, których ona nie dostała? Gdzie one były? Kto potajemnie sabotował jej miłość? I gdzie jest teraz Christian?

Upuściła poczerniałą kartkę, pogrzebała znowu w popiele, ale nie znalazła już innych strzępków, żadnej wskazówki, gdzie podziewa się Christian i co się z nim stało. W końcu zaprzestała poszukiwań, podeszła do okna i spojrzała w księżycową noc. Mimo bosych stóp nie było jej zimno. Położyła ręce na brzuchu. Czuła się tak mizernie, była samiuteńka na świecie i tak zgnębiona, że już nie mogła płakać. Zrozumiała, że jej życie się skończyło. Była stracona, podarowała swoją cnotę, która nie była już nic warta. Wydała na świat bękarta i nikt nie będzie wiedział, że to dziecko jest dzieckiem miłości. Obietnica... Stała teraz z tą obietnicą w brzuchu, bez męża, bez przyszłości. Christian, wyszeptała w noc. Christian, tak bardzo cię potrzebuję. Spojrzała w górę na księżyc, jakby on znał odpowiedź. Potem pozwoliła cicho płynąć łzom, uniosła czarny od sadzy kawałek papieru i przytuliła go jak niemowlę do piersi.

Rano po śniadaniu poprosiła Brigitte o rozmowę.

- Możesz mieć moje dziecko, jeżeli je jeszcze chcesz. Musi dostać świadectwo chrztu z twoim imieniem jako matki i imieniem twojego męża jako ojca. Musicie się troszczyć o nie przez całe jego życie, a ty musisz mi obiecać, że będziesz je kochać, jakby było twoim własnym dzieckiem.

- Annemie, dobrze spałaś?

Stefan usiadł przy śniadaniu naprzeciwko opiekunki. Lisette leżała jeszcze w łóżku, dzieci bawiły się na zewnątrz na łące, pilnowane przez kobietę z pobliskiej wsi.

Annemie nie odpowiedziała. Milcząco jadła łyżką jajko, nie raczyła nawet spojrzeć na Stefana.

- Co się dzieje? - zapytał nadzwyczaj wesoło. Tym razem rzuciła mu spojrzenie pełne pogardy.

- Widziałaś nas wczoraj w nocy, prawda? Patrzyłaś przez szparę w drzwiach?
- Powinieneś się wstydzić, słyszysz, wstydzić się aż do szpiku kości.
- Dlaczego, Annemie? Ponieważ się kochamy?
- Ech, myślisz, że ona ciebie kocha? Mogę się tylko z tego śmiać. Bawi się tobą. Chce urozmaicenia. Znasz przecież jej męża. Chciałbyś z nim dzielić łożę? Nie, z pewnością nie. Ona bierze od ciebie to, czego potrzebuje. A to nie jest miłość. Zapomni o tobie, jak tylko znikniesz jej z oczu.
- Jak możesz tak mówić? Skąd wiesz?
- Ponieważ ona jest właśnie taka. Potrzebuje luksusu i służby, i złota, i klejnotów. Kocha uroczyście, kocha pieniądze swojego męża, kocha być kochaną. To wszystko kocha, ale ciebie? Ciebie nie kocha. Ciebie nie. Stefan uśmiechnął się delikatnie i dotknął lekko ramienia Annemie.
- Nie bądź taka gorzka i kąśliwa, Annemie - poprosił ją cicho. - Miłość jest potęgą, darem niebios. Nie żałuj nam tego, proszę cię.

Annemie zerwała się, przewracając przy tym dzbanek mleka, tak że wszystko się wylało. Stefan zobaczył w jej oczach łzy. Rzuciła na stół swoją serwetkę, tupnęła nogą i krzyknęła:

- Ty nie pojmujesz tego, nic nie widzisz. Kocham cię, rozumiesz, ja, nie ona.

Po czym wybiegła z płaczem.

Stefan wciąż siedział, patrzył za nią i przysłuchiwał się jej krokom, dopóki nie przebrzmiały. Wtedy zaczął się uśmiechać, szerzej i coraz szerzej. Wziął łyżkę, przejrzał się w niej, po czym znowu się uśmiechnął. Może nie jestem najlepszym rewolucjonistą, pomyślał, ale kobiety mnie kochają. Kochają mnie, ponieważ jestem dobry, wspaniały, fantastyczny.

Nie przyszło mu do głowy, że może jest zarozumiały. Stefan uważał to za najnormalniejsze w świecie, że jest kochany przez kobiety. Nie z powodu swojej urody czy osiągnięć, lecz po prostu dlatego, że jest mężczyzną. Theda była dumna z siebie. To nie zdarzało się jej często. Zazwyczaj nie ufała swoim decyzjom. Nigdy się nie nauczyła, jak obchodzić się z uczuciami, nie wiedziała, czy uczucia są dobre, czy złe. Jako dziecko dowiedziała się, że kobiety są głupie, ponieważ kierują się uczuciami, a mężczyźni mądrzy, bo faworyzują rozum. Chciała być mądra, dlatego nie ufała uczuciom.

W tej chwili wierzyła, że postępuje bardzo mądrze. Miała nadzieję, że doprowadziła do tego, że Jago będzie się troszczył o żonę i biuro. Dwie pieczenie na jednym ogniu. Ale pewne nieprzyjemne uczucie pozostało. Kiedy dotarła na Zeil, poszła natychmiast do biura. Barbara siedziała przy oknie, bezradnie patrząc na podwórze zasłane wiórami drewna.

- Co tu się stało? - zapytała Theda. Barbara wzruszyła ramionami.

- Francuzi tu byli. Neuwinger osobiście się tu pofatygował. Pięciu kupców i dwóch Żydów wzięli do niewoli, żeby miasto wybuliło wreszcie te dwa miliony. Zapytali mnie, czy chciałabym, żeby mojemu mężowi dobrze się powodziło.

Barbara wybuchnęła płaczem.

- I co odpowiedziałaś? - zapytała Theda.

- A jak myślicie, co odpowiedziałam? Że on nigdy nie był moim mężem, że nigdy mnie nie dostrzegał, że jestem na niego wściekła, że czuję się oszukana, zdradzona, wykorzystana?

Theda była zszokowana. Nie wiedziała, że rozpacz jej synowej zaszła tak daleko. Theda naprawdę była przekona-

na, że Barbara będzie zadowolona z małżeństwa, szczęśliwa i wdzięczna za awans społeczny.

Teraz widziała, że to wszystko nawet w połowie się nie sprawdziło.

Widziała też, że ta młoda kobieta nie pragnęła niczego innego niż ona, kiedy była w jej wieku.

Podeszła do niej i pogłaskała ją niezręcznie po plecach.

- Co się stało potem?

- Otworzyłam spiżarnię i piwnice, stodoły i remizę. Wzięli ze sobą całe drewno, opróżnili winiarnię, załadowali wszystkie towary na furmanki. Nie mamy już nic.

Theda podniosła głowę, nabrała głęboko powietrza i powiedziała cicho:

- A ja im jeszcze obiecałam pięćdziesiąt tysięcy guldenów. Zrobiłam to, bo myślałam, że łatwo nadrobimy tę sumę naszymi zapasami. Teraz jednak wygląda to tak, jakbyśmy naprawdę nie mieli nic więcej.

Barbara spojrzała na Thedę. Obiema pięściami wytarła oczy i prawie natychmiast poweselała.

- Tak - powiedziała. - Nie mamy nic więcej. Teraz możemy zacząć wszystko jeszcze raz, od początku.

Deszcz przez cały dzień malował szerokimi smugami szyby okien. Liście wisały na drzewach ciężkie od wilgoci, chmury posuwały się ociężale, wlokąc wzdęte brzuchy po niebie. Choć było już południe, w małym salonie dworku Allendorfów wciąż jeszcze paliły się lampy olejne. Przed otwartym oknem wydymały się zasłony, czasami słychać było wiatr wyjący w kominie.

- Ten dzień jest szary jak śmierć - powiedziała Lisette i ciaśniej owinęła się chustą.

- Czy mam wrzucić do kominka jeszcze kilka polan? - Stefan zerwał się i chwycił drewno.

Lisette potrząsnęła głową.

- Jest mi zimno, ale ten chłód pochodzi z wewnątrz.
- Zimna skóra, gorące serce. - Te słowa zabrzmiały jak kule wystrzelone z pistoletu. Lisette drgnęła.

- Annemie, co to ma znaczyć? - Głos Stefana był tak ostry, że Arno, który bawił się drewnianym pudełkiem z klockami, podniósł spłoszony wzrok. Elizabeth, która właśnie czesała laleczkę, skrzywiła usta, jakby chciała płakać.

Annemie wzruszyła ramionami.

- Kto się nie dopuścił niczego złego, ten nie musi się martwić.
Lisette rozplakała się, wstała i wyszła z salonu, powiewając suknią. Stefan rzucił Annemie miażdżące spojrzenie i również wybiegł. Znalazł Lisette pod drzewem. Jej cienka suknia była mokra od deszczu, włosy także.

- Chodź, wejdźmy z powrotem. Tutaj na zewnątrz sprowadzisz jeszcze na siebie śmierć.

Lisette spojrzała na niego zrozpaczonym wzrokiem.

- Może to byłoby najlepsze. Śmierć nie jest tym najgorszym, co może się przydarzyć. Ma w sobie coś pocieszającego, nie sądzisz?

Stefan podszedł do niej, wziął jej twarz w obie dłonie.

- Kochana, jak możesz coś takiego mówić? Każdy dzień jest darem od Boga. Kocham cię, kocham cię, kocham. Serce mi się kraje, kiedy słyszę, co mówisz.

Teraz łzy popłynęły po twarzy Lisette.

- Ja także cię kocham, tak bardzo, że nie potrafię sobie wyobrazić dnia bez ciebie. Kocham cię tak, że brakuje mi powietrza, kiedy o tym myślę. Kocham cię tak, że serce mnie boli. Czuję cię każdą częścią swojego ciała.

- Dlaczego w takim razie chcesz umrzeć?

- Ponieważ tylko z tobą mogę żyć. Wcześniej nie mogłam sobie wyobrazić, że będę tęskniła za wojną, że będę sobie

życzyła, żeby mordowanie, bicie, klucie i umieranie nigdy się nie skończyły. Kiedy Francuzi się wycofają, będziemy musieli wrócić do Frankfurtu. A wtedy? Co wtedy z nami będzie stanie, Stefanie?

Stefan westchnął i zamilkł. Spojrzał na Lisette z ukosa: szczupła postać, kruche ramiona. Przez chwilę chciał wrócić do czasów, zanim ją pokochał. Mam przecież dopiero dziewiętnaście lat, pomyślał. Ona jest kobietą z wymaganiami, z dziećmi, wysokiego stanu. Co mógłbym jej zaoferować? Z czego miałbym ją utrzymać? Musi zostać przy swoim mężu. Przynajmniej na razie. Dopóki nie znajdę jakiegoś rozwiązania. Otoczył ją ramieniem.

- Chodź do domu, kochana, chodź już. Wszystko będzie dobrze.

Tymczasem wojna jeszcze trwa.

Friederike od dwóch tygodni nie wychodziła z domu. Od dwóch tygodni nie rozmawiała z nikim oprócz Brigitte. A ciotka niemal cały dzień spędzała w swoim atelier. Kiedy wychodziła do miasta, to zawsze z poduszką pod spódnicą i w towarzystwie kobiety, która uchodziła za medyka.

Friederike większość czasu leżała na sofie, podjadając ciasteczka i pralinki, pijąc czekoladę i wertując żurnale mody i książki. Jednak nic, co czytała, nie interesowało jej. Nic, co jadła i piła, nie smakowało jej.

Leżała, z trudem wyczuwała dziecko w swoim łonie. Czasami myślała o Christianie, jednak przez większość dnia nie myślała o niczym. Czasami czuła, jak dziecko porusza się w jej brzuchu, ale zazwyczaj nie czuła nic. Leżała z rękoma skrzyżowanymi pod głową i przyglądała się sufitowi z drewnianymi zdobieniami. Godzinami mogła się tak gapić do góry.

Czasami zastanawiała się, czy tak właśnie dotyka się śmierci. Nie miała żadnych życzeń, była pozbawiona

szczęścia, niewinna. Czy to był raj? Żeby znaleźć odpowiedź, Friederike musiałaby się zastanowić, lecz to było dla niej zbyt męczące. Na małym stoliku obok niej leżał list od matki. Przyszedł już kilka dni temu, ale Friederike nie mogła się przemóc, żeby zerwać pieczęć i przeczytać. Jej suknia była przepocona, włosy nie pachniały ładnie, ale to nie interesowało jej w najmniejszym stopniu. Robiła tylko to, czego Brigitte wyraźnie i zdecydowanie wymagała, poza tym nie robiła nic.

Raz przyszła akuszerka, obmacała brzuch Friederike i popatrzyła jej w oczy. Następnie wyszła na korytarz, gdzie czekała Brigitte. Pomimo iż kobieta szeptała, Friederike zrozumiała bardzo dobrze jej słowa.

- Dziewczyna mi się nie podoba - powiedziała akuszerka. - Wygląda tak, jakby miała melancholię. To nie jest dobre dla dziecka. Dziecko powinno być poczęte ze śmiechem i noszone z radością.

- Co mogę zrobić? - zapytała Brigitte.

- Musicie ją rozweselić. Koniecznie. W przeciwnym razie dziecko będzie zrzęda.

Brigitte próbowała wszystkiego, a Friederike korzystała z tych starań.

Uśmiechała się do połykacza ognia, kiedy robił sztuczki pod jej oknem.

Doceniła zakup klawikordu i raz nawet uderzyła w kilka klawiszy.

Pachniała kwiatami, które Brigitte jej przynosiła, kosztowała słodkości,

ale pozostawała tak apatyczna jak wcześniej. Tylko czasami w nocy,

kiedy wszyscy spali, stawała boso przy otwartym oknie, aż cała

sztywniała z zimna, skóra robiła się niebieska i zęby szczękały tak głośno, że zagłuszały bicie jej serca.

- Christianie - szeptała potem. - Christianie, ja cierpię. Przecież musisz to czuć. Czy nie słyszysz, jak ciebie wołam? Mój Boże, Christianie, dlaczego mnie opuściłeś?

Jago był już w domu od dwóch dni. Theda nie spuszczała go z oka. Był odmieniony, to zauważyła natychmiast, jednak nie wiedziała, co spowodowało tę zmianę. Natychmiast z Czerwonego Domu poszedł do kawiarni. Theda dała mu wolną rękę, mimo że jej zdaniem powinien spędzić trochę czasu z Barbarą. Potem wrócił i troszczył się o swoją żonę tak bardzo, że rzucało się to w oczy. Ku wielkiemu zdziwieniu Thedy wieczorem przed kominkiem zaproponował nawet, że uczesze Barbarze włosy. Theda była tym tak zaskoczona, że wstała i udała się do swego pokoju. Jeszcze nigdy żaden mężczyzna nie zaproponował jej, że wyszczotkuje jej włosy. Samo wyobrażenie sobie tego wydawało się jej bardzo intymne. Stosunek płciowy musiał nastąpić, to było oczywiste, skądś musiały się wziąć dzieci. Ale wobec wszystkich innych form zażyłości Theda była nieufna. A szczotkowanie włosów oznaczało dla niej tak nieprzyzwoitą bliskość, że aż przeszły ją ciarki. Potem leżała w łóżku, słyszała cicho śmiejącą się Barbarę i nagle pomyślała, jakby to było, gdyby Eckerhard szczotkował jej włosy. Usiadła nawet na łóżku, przesunęła dłonią po swoich miękkich włosach, tak praktycznie krótkich, które ukrywała pod czepkiem przed spojrzeciami świata. Była zaskoczona, jak delikatne były w dotyku. Jak młode pisklę, pomyślała. W zamyśleniu przeciągnęła ręką po głowie jamnika. Ten westchnął tylko przez sen i przytulił się do niej. Nie, pomyślała, nie, Tilly, twoja sierść błyszczący wprawdzie jak czerwony jedwab, ale nie jest tak miękka jak moje szare loki. Zaskoczona, poczuła nagle czułość do siebie samej. Tak nieznanne było jej to uczucie, że nie wiedziała, jak do niego podejść. Szczerze zakłopotana, okryła w końcu łebek jamnika pocałunkami, aż Tilly obudziła się i ziewnęła, patrząc na nią rozbieganymi oczami. Następnego ranka przyszedł do pokoju Thedy zdenerwowany prokurent Kalis i poprosił o oficjalną rozmowę. Rada miasta z powodu oblężenia przez Francuzów podniosła podatki.

- Nasze konta są puste - skarżył się. - Zawsze trzymałem księgi w porządku, wasza synowa może to potwierdzić. Jednak teraz nasze przedsiębiorstwo przez te okoliczności popadło w poważne tarapaty. Na koniec roku płatne będą liczne weksle. Składy są puste, nie możemy kupić żadnych zapasów. Brakuje nam także towarów na kolejne targi. Co mamy robić, pani radczyni?

Theda wzięła aktualną księgę rachunkową.

- Nie przesadzacie, prokurencie? Tak źle nie może nam przecież iść!

- Och, wręcz przeciwnie, radczyni. Wszystkie składy zostały opróżnione przez Francuzów. Były tam towary o wartości prawie stu tysięcy guldenów. Do tego dochodzi pięćdziesiąt tysięcy, które zapłaciliśmy za uwolnienie Jago. Gotówki już nie ma. Pozostały majątek składa się z nieruchomości. Jest jeszcze tylko posag waszej synowej i mały spadek waszego syna, który wasz mąż pozostawił mu na dwudzieste pierwsze urodziny jako zaliczkę na poczet właściwego spadku.

Theda kiwnęła potakująco głową.

- Tak, ten spadek. Nie pomyślałam o nim. Powiedz, Kalisie, czy Jago o tym wie?

- Nie, on nic nie wie. Tak samo jak Stefan niewiele wie o swoich pieniądzach. Również posag Friederike wciąż jeszcze jest tajemnicą. Pieniądze są pewnie ulokowane w Banku Metzler. Wy sama po śmierci waszego męża poleciłyście, żeby nie mówić nic waszym dzieciom o tych sumach, bo są zbyt lekkomyślne. Potem poszło to jakoś w zapomnienie. W każdym razie Jago nic nie wie o dwudziestu tysiącach guldenów.

- Cudownie. W takim razie pożyczmy je sobie. Pewnego dnia, kiedy lepiej będzie szło naszemu domowi kupieckiemu, Jago być może będzie mógł je dostać. Przecież bądź co bądź wydaliśmy na niego pięćdziesiąt tysięcy guldenów. Pieniądze Stefana pozostają nietknięte.

Kalis przytaknął. Pieniędzmi Stefana zarządza jego ojciec chrzestny. Przeznaczone są na jego studia. Ale spadek Jaga jest ulokowany w banku. Tylko on od czasu swojej pełnoletności ma pełnomocnictwo do obracania tymi pieniędzmi.

- Co to znaczy? Prokurent westchnął.

- To znaczy, że tylko Jago może podjąć pieniądze i zainwestować je w przedsiębiorstwo. Te pieniądze, jak również pieniądze jego żony, raptem pięć tysięcy guldenów.

Zła pogoda utrzymywała się. Od wielu dni mżyło, ziemia leżała wilgotna i ciężka, liście przyklejały się do bruku, wszędzie robiły się kałuże. W salonie dworku Allendorfów panował smętny nastrój. Dzieci bawiły się cicho na podłodze i od czasu do czasu rzucały dorosłym zatroskane spojrzenia.

Lisette zaszyła się w fotelu w rogu pokoju i wertowała niecierpliwie czasopismo, niekiedy tak gwałtownie, że darła kartki. Czasem głośno wzdychała i spoglądała w sufit, żeby w chwilę później znowu drzeć strony czasopisma.

Annemie siedziała przy stole i szyła ubranka dla lalek. Na jej twarzy niezmiennie gościł przemądrzały uśmiech samozadowolenia. Stefan stał przy oknie i patrzył na deszcz.

Myślał o swoich przyjaciółach we Frankfurcie, o swojej rodzinie. Bał się. Po raz pierwszy uświadomił sobie, że jego przyjaciele i rodzina byli w zasadzie wrogami. Przyjaciele widzieliby jego rodzinę najchętniej na latarniach, podobnie jak rodzina jego przyjaciół. Mam nadzieję, pomyślał, że wszystko dobrze się układa. Ale nie wiedział, co i kogo właściwie miał na myśli.

- Nie wytrzymam tego dłużej, po prostu nie mogę tego znieść! - Wybuch Lisette nie był zaskoczeniem.

Stefan odwrócił się, wciąż trzymając ręce w kieszeniach.

- Co macie na myśli, *madame*⁷. - Pomimo iż każdy wiedział, co było między Stefanem a Lisette, przed innymi uczciwie zachowywali pozory.

- Nie mogę już patrzeć na jej obłudną twarz, na ten wyrzut w każdym spojrzeniu. Na jej zazdrość, żółć. - Wskazała ręką na Annemie.

Opiekunka odłożyła szycie i oburzona podniosła wzrok.

- Zwolnijcie mnie, jeżeli nie możecie mnie już znieść! -zawołała zuchwale.

Stefan podszedł do niej i położył jej rękę na ramieniu, jednak ona zrzuciła ją.

Lisette wyglądała blado, na zmęczoną i starą.

- Nie mogę was zwolnić, wiecie to tak samo dobrze jak ja. Annemie von Pritzwald, córki barona i pruskiego tajnego radcy von Pritzwalda, nie zwalnia się tak po prostu. Wręcz przeciwnie, idzie się jej na rękę, gdzie tylko można, żeby pomnażała dobre imię domu.

Annemie uśmiechnęła się subtelnie, po czym przebiła igłą materiał.

- Czuję się jak więzień we własnym domu - wyjaśniła Lisette, rozgoryczona. - Jak ładacznicą, jak jakiś wyrzutek. Jakby wszystko, w co kiedykolwiek wierzyłam, moralność i cnotę zerwano ze mnie jak karnawałową maskę, odsłaniając twarz suki z cieczką.

Annemie wzruszyła lekko ramionami.

- Może tak jest. Często się słyszy, że smród stajni trzyma się na kimś, cokolwiek by robił.

Lisette wyprostowała się jak świeca. Stefan wiedział, że Annemie zrobiła aluzję do jej pochodzenia. Matka Lisette była córką hrabiego z Nadrenii, ojciec miał jednak mniej arystokratyczne pochodzenie i chętnie widziano by go martwym.

- Tylko dlatego że urodziłam się w stajni - odparła Lisette zimno - nie znaczy, że jestem koniem.

Zbierała się do wyjścia, kiedy zapukał służący.

Depesza od waszego męża, *madame!* Lisette złamała pieczęć, rozłożyła papier i czytała. Stefan widział, jak nagle pobladła i zachwiała się.

- Co się stało? - zapytał i pospieszył do niej. Podtrzymał ją, objął opiekuńczo i przyciągnął lekko do siebie. Lecz Lisette odsunęła go, opadła ciężko na poduszkę i bez słowa podała mu depeszę.

- Pisze, że macie natychmiast wracać do domu. - Stefan przesuwając szybko wzrokiem po kartce papieru. - Wie o wszystkim i dłużej nie będzie znosił wstydu w swojej rodzinie. Do domu. Do Frankfurtu. Wszyscy. I to natychmiast.

Stefan spojrzał badawczo na Annemie.

- Donosiłeś mu?

Opiekunka poczerwieniała i umknęła wzrokiem w bok. Lisette wstała i wybiegła z pokoju, płacząc. Stefan podszedł tak blisko do Annemie, że mógł poczuć jej oddech.

- To ty, prawda? Przyznaj się, chociaż się przyznaj. Annemie odrzuciła głowę.

- Tak, to ja napisałam do niego. Ostrzegałam cię. Kocham cię, a ty mnie odtrąciłeś. Nie ma nic bardziej potwornego niż zemsta urażonej kobiety. Nie spocznę, dopóki was nie rozdzielę.

Friederike leżała w łóżku i płakała. Bolały ją piersi, piekło łono. Była tak wyczerpana, że drżała i szczykała zębami. Nie było niczego, co mogłoby ją pocieszyć.

Godzinę temu przyszedł na świat jej syn. Kiedy się przepychał z jej łona, z bólu odchodziła od zmysłów. Wyskoczył z niej jak ryba, jeszcze z nią połączony, ale już w takim stanie, że mógł żyć bez niej.

Brigitte była przy tym, złapała dziecko, zawinęła w chusty i wyniosła.

- Powinien się nazywać Christoph! - zawołała za nią Friederike, jednak nie była pewna, czy ciotka ją usłyszała.

Teraz leżała w łóżku pod opieką akuszerki i wypłakiwała najbardziej gorzkie łzy w życiu. Oddała własne ciało i krew, rozstała się z owocem swojej miłości, tak jak Christian rozstał się z nią. Wszystko ją bolało. Muszę go znaleźć, pomyślała jeszcze, zanim zasnęła z wyczerpania. Muszę go znaleźć i powiedzieć mu, że jego miłość zabiła mnie i nasze dziecko, że jestem teraz mniej niż pyłem. Muszę wiedzieć, czy tylko udawał miłość, czy kiedykolwiek poważnie traktował to, co mi mówił we Frankfurcie. Powinien mi powiedzieć, dlaczego ukrywa się przede mną, i co przede mną ukrywa.

A wtedy, kiedy już będę wiedziała, kiedy będę wszystko wiedziała, wtedy mogę umrzeć w spokoju.

Stół wciąż jeszcze wydawał się Thedzie pusty. Odkąd Friederike i Stefana nie było w domu, brakowało jej czegoś. Przez ostatnie miesiące przyzwyczała się do Barbary i Herzguetl tak bardzo, że nie pamiętała już, jak to było przed nimi. Także Tilly zachowywała się pod stołem tak, jakby od zawsze było tam jej miejsce.

- Muszę wam coś powiedzieć - zaczęła i wzięła z półmiska dwuzębnym srebrnym widelcem kawałek zimnej pieczeni.

- Tak, mamó? - zapytała Barbara uprzejmie.

Thedzie rzuciło się w oczy, że od czasu zwolnienia Jaga z więzienia lepiej wyglądała. Jej skóra połyskiwała różowo, włosy błyszczały, widać było, że jest w pogodnym nastroju. Hedi raz nawet wspomniała, że Jago ze względu na Barbarę zrezygnował z wyjścia do kawiarni.

- Wiecie, jak stoimy z interesami, prawda? W zasadzie jesteśmy niewypłacalni. Nie mamy już prawie gotówki i dlatego nie możemy kupić żadnych towarów. Poza tym wszyst-

ko, co miało przynieść zyski, zostało zajęte przez Francuzów. Dlatego proszę ciebie, Jago, o pożyczanie dwudziestu tysięcy guldenów twojego spadku, a ciebie, Barbaro, o powierzenie mi pięciu tysięcy guldenów twojego posagu.

Theda uśmiechnęła się, potem wzięła sobie drugi kawałek pieczeni, położyła na talerzu i wypła z kieliszka łyk czerwonego wina.

- O co chodzi? Dlaczego nic nie mówicie? Jago, zaraz jutro rano pójdziemy razem do banku.

Spojrzała na syna, widziała, jak wymieniał z żoną wymowne spojrzenia.

- Wybacz, mamó. Nie wiedziałem, że należy do mnie dwadzieścia tysięcy guldenów. Dotąd milczyłaście na ten temat.

- Z dobrego powodu, mój kochany! - odrzekła Theda.

- Jak zawsze. Więc teraz wiem. I proszę o czas na zastanowienie. Jest bardzo możliwe, że wpadnę na inne możliwości wykorzystania tych pieniędzy.

Przy tych kilku zdaniach Jago zaczął się pocić. Otarł chusteczką czoło i spojrzał na żonę, która skinęła w jego stronę.

Theda upuściła sztućce i wielkimi oczami patrzyła na syna.

- Obawiam się, że mnie nie zrozumiałeś - powiedziała głosem, w którym słyhać było brzęczenie kostek lodu. - Masz pieniądze, których dom kupiecki w tej chwili potrzebuje. Wydatki przez ciebie spowodowane doprowadziły nas do ruiny.

- Nie zrobiłem nic niewłaściwego. To, że złapali mnie Francuzi, to był przypadek. To mogło spotkać każdego innego kupca. Do tego nie prosiłem was o rujnowanie przedsiębiorstwa z mojego powodu. Jestem pełnoletni, mamó. Przyzwyczajcie się do tego, że sam podejmuję decyzje. Theda spoglądała to na Jaga, to na Barbarę, i znowu na Jaga. Jej oczy nie mogły uwierzyć, że jej najstarszy syn opierał się jej surowemu spojrzeniu. Jej uszy nie mogły uwierzyć,

że on się jej sprzeciwił. A jej usta nie znalazły żadnej odpowiedzi. Wstała, rzuciła serwetę na stół i otworzyła usta. Chciała pogrozić synowi, chciała mu powiedzieć, że jeśli nie będzie jej posłuszny, będzie musiał opuścić dom. Zabrać Barbarę i Herzguetl i zniknąć. Ale zostałyby zupełnie sama i w domu, i w przedsiębiorstwie, którego nie potrafiła prowadzić. Theda przełknęła ślinę, po czym opuściła jadalnię. Jedyne Tilly podążyła za nią.

Po przyjsciu do salonu opadła na fotel i patrzyła tępo przed siebie. Zęby zagryzła na dolnej wardze, ręką głaskała małego pieska, w ogóle tego nie zauważając.

Co się dzieje? - pomyślała. Nie pojmuję tego wszystkiego. Przed kilkoma tygodniami wszystko było jeszcze w porządku. Jak dobrze funkcjonujący świat w tak krótkim czasie może się tak całkowicie rozpaść? Friderike jest w ciąży. Zniszczyła swoją przyszłość, zanim ją jeszcze zaczęła. Stefan odwrócił się od nas, chce iść własną drogą, która z naszymi nawet się nie przetnie. A Jago? Ten delikatny, poetycki Jago, który ciągle chciał wszystkim dogodzić i wycofywał się z każdej kłótni, wybierając ucieczkę. Jago, który pokazał, że jest taki słaby, teraz nie daje mi tego, czego potrzebuję, żeby się nim opiekować. Czy moje dzieci wciąż jeszcze nie pojęły, dla kogo to wszystko robię? Czy to zupełnie nic nie znaczy dla tych niewdzięcznych piskląt? Czy to wszystko, co zrobiłam przez ostatnie dwadzieścia lat, wszystko, w co wierzyłam, o co walczyłam, było daremne?

Łzy trysnęły jej z oczu i popłynęły po policzkach.

- Co zrobiłam źle? - wyszeptwała. - Dlaczego wszystko jest inaczej, niż chciałam?

Położyła głowę na oparciu fotela. Piesek zdawał się odczuwać jej ból, bo wskoczył jej na kolana i przytulił się do niej.

Najchętniej, myślała, przesiedziałabym resztę życia tutaj. Najchętniej wstałabym tylko po to, żeby przynieść sobie cza-

sopismo albo poprosić Hedi o filiżankę czekolady. Poza tym nie mam żadnych marzeń. Bo po co? Kobieta nie musi mieć marzeń. A jeśli już je ma, to powinna marzyć o tym, co tak czy owak dostanie. O mężu i dzieciach. W zasadzie nigdy nie chciałam mieć męża. Dlaczego właściwie zdrowa kobieta ze sprawną głową miałaby sobie życzyć męża? Dlaczego ktoś ma sobie życzyć mieć przy swoim boku kogoś, komu musi służyć? Służąca nie stanie się służącą, ponieważ ma do tego zdolności. Służąca staje się służącą, bo nie potrafi nic innego. Ale kobieta wdaje się w pozornie dobrowolne małżeństwo z mężczyzną, na którego usługach musi być dzień i noc. Służąca dostaje zapłatę i wolny dzień w tygodniu. Żona dostaje dzieci.

Nigdy się nie zastanawiałam, czy ja w ogóle chcę mieć dzieci. Wyszłam za męża, a potem same się pojawiły.

I wtedy już nigdy nie było czasu, żeby się zastanowić, czego ja właściwie chcę. Tak czy owak, nie miałoby to żadnego sensu. Moje życie zostało dokładnie zaplanowane od dnia moich narodzin. A może już wcześniej. W zasadzie nie stanęłam na wysokości zadania, przyznała się. Nie udało mi się zdobyć miłości męża. Teraz w każdym razie nie mogłabym już tego zrobić.

Ale nie udało mi się również wychować dzieci tak, żeby wypełniały zadania dane im przez Boga. To wszystko moja wina.

Theda wzruszyła ramionami i schyliła się do jamnika.

- Co powinnam była zrobić inaczej? - zapytała.

Tilly ziewnęła, zamknęła oczy i zasnęła.

Jakie to wszystko dziwne, pomyślała Theda. Dziwnie jest żyć. Czy żyję tylko dlatego, żeby inni byli szczęśliwi? I czy teraz, skoro nie stanęłam na wysokości zadania, straciłam prawo do życia? Czy ja właściwie jestem sobą, jako ja, czy tylko matką i wdową?

Ogromny ciężar przygniatał jej barki. Od wielu lat już czuła ten ciężar, który stawał się coraz większy. Chętnie by popła-

kała, głośno i długo, ale nie mogła sobie na to pozwolić. Przecież tu nie chodziło o nią. Chodziło o przyszłość rodziny, o dalsze istnienie domu kupieckiego. Od dwustu pięćdziesięciu lat Geisenheimerowie coś znaczyli we Frankfurcie. I to miało tak po prostu przeminąć? Muszę z kimś o tym porozmawiać, pomyślała. Natychmiast. Theda wstała, podeszła do lustra i przejrzała się w nim. Wyglądała na zmęczoną. Zmęczoną i smutną.

Szkoda, pomyślała. Chętnie wyglądałabym inaczej. Ale jak to miałoby się stać, też nie wiem.

Wzięła płaszcz, oplótła sobie wokół szyi szal, zakryła włosy czepkiem i opuściła dom.

Latarnie uliczne już się świeciły, kiedy szła w mżawce. Poza nią na Zeilu było już niewiele osób. Dwa powozy z dobrze ubranymi ludźmi jechały do Komedii Miejskiej. Służący szedł stamtąd z kuflami piwa, a dwie starsze panie w ubraniach od szwaczki stały na rogu i rozmawiały.

Thedzie spieszyło się, jednak szła powoli, wdychała głęboko zimne listopadowe powietrze, czuła delikatny deszcz na skórze. Przed ustami tworzyły się jej białe obłoczki mgły. Zdjęła rękawiczki z cielejącej skórki i próbowała złapać tę białą mgłę. Wyobraziła sobie, że jest dziewczynką, beztroską, patrzącą z ufnością w przyszłość. Dziewczynką pełną marzeń i tęsknot. Jakie to były marzenia? Przede wszystkim musiała wyjść za mąż. Więc marzyła o mężczyźnie, którego mogła kochać, który kochał ją. I oczywiście o dzieciach, które mogła kochać i które kochały ją.

Theda niespodziewanie stanęła i potrzęsnęła głową. Pozwoliła sobie wyrazić życzenia; życzyła sobie tego, co miała i co straciła.

Poczuła kamień w żołądku, tak ciężki, że niemalże nie mogła iść dalej. Czuła się stara i słaba, prawie niezdolna do

postawienia kroku. Zmęczona, wlokła się do domu Ecke-harda von Hohensteina.

Niedługo później siedziała na wygodnej sofie, z ramionami okrytymi pledem. Służąca przyniosła gorącą czekoladę, do której Eckehard wspaniałomyślnie dolał porządną porcję koniaku. Theda wzięła filiżankę w obie ręce, ostrożnie podmuchała i wypila.

Eckehard położył na jej plecach swoją dużą, ciepłą dłoń. Kiedy odstawiła pustą filiżankę, powiedział cicho:

- A teraz opowiedz mi, co się dzieje.

Ciepły napój, wspierająca dłoń, delikatne słowa. Nagle coś w Thedzie pękło. Wezbrały w niej łzy lat i dziesięcioleci i popłynęły strumieniem po policzkach. Eckehard siedział obok niej, strzegł jej bólu i łez, trzymał swoją dużą ciepłą dłoń na jej plecach, a drugą podawał jej chusteczkę. A Theda szlochała i wypłakiwała z siebie wszystko. Spazmatycznie chwytiała oddech, zwijała się z męki. Kiedy w końcu łzy wyschły, była tak wyczerpana, że oparła się o Eckeharda. On trzymał ją, głaskał po plecach, pocałował ją we włosy, czoło, policzki i usta. I tak jak krótko przedtem wezbrały w niej i popłynęły łzy, tak teraz wybuchło w niej pożądanie, o którym zupełnie nic nie wiedziała.

Friederike stała przy oknie. Wyglądała na miasto, tak samo szare jak jej nastrój. Oparła czoło o szybę, żeby je schłodzić, i spojrzała w dół na ulicę Grimaisch. Zobaczyła posłańca, który przyjechał konno, zatrzymał się przed domem ciotki i zsiadł. Ostrożnie, bez najmniejszego hałasu otworzyła okno i lekko się wychyliła.

- Ten list zawieź do Naumburga - usłyszała głos Brigitte.

- Do usług, pani. Pod czyj adres? - zapytał posłaniec.

- Nie udawajcie głupiego, posłańcu. Ten sam co zawsze. I nie ważcie się zdradzić o tym słowa.

Friederike mocno wychyliła się z okna, jednak nie mogła zobaczyć twarzy posłańca. Widziała tylko, jak wkładał list do torby przy siodle, wskoczył na konia i odjechał kłusem.

Ostrożnie zamknęła okno, po czym wyjęła na wpół spalone strzępki papieru, które przed narodzinami Christopha znalazła w kominku, i rozłożyła je na nowo. Rzeczywiście, było tam napisane: NaumbuYg. Christian był w Naumburgu! A Brigitte o tym wiedziała, ale nic jej nie powiedziała. Friederike czuła, jak opada z niej odrętwienie, które tak długo trzymało ją w okowach. Pojedzie do Naumburga, zobaczy Christiana na własne oczy i usłyszy na własne uszy, dlaczego ją opuścił. Spakowała ciepłe ubrania do skórzanej torby i korzystając z chwili nieuwagi kucharki, zabrała z kuchni trochę jedzenia. Zastanawiała się, czy powinna napisać list do Brigitte, szybko jednak odrzuciła tę myśl. Jej ciotka potajemnie korespondowała z Christianem. Gdyby domyśliła się, dokąd udała się Friederike, poruszyłaby niebo i ziemię, żeby ją zatrzymać. Napisała tylko: „Boże, strzeż Christopha. Uważaj na niego”. To musi wystarczyć za wiadomość, postanowiła.

Potem opuściła dom, żeby dowiedzieć się, dlaczego jej życie, jeszcze dobrze nie rozpoczęte, już było stracone. Co zrobiła źle, że nikt nie potrafił jej kochać? Matka nie, ukochany nie. Także ciotka ją zdradziła. Czy jestem gorsza niż inne? - zastanawiała się. Rzeczywiście mniej mądra i powabna? Czy urodziłam się na stracenie?

Mam dość tego życia. Ale zanim wszystko się zakończy, chcę wiedzieć, dlaczego jestem taka nieszczęśliwa. Może gdzie indziej jest dla mnie inne życie, może mogę zacząć od początku, bez starych błędów.

- To jest nasza szansa, żeby prowadzić własne życie, Barbaro. Nie jestem stworzony na kupca, ale jako właściciel kawiarni mógłbym robić interesy i jednocześnie tworzyć poezje. Tam bywają poeci i wydawcy, filozofowie i uczeni. Mógłbym się ciągle uczyć, pracując. Stamtąd będę czerpał inspiracje i nie będę musiał opuszczać domu. A ty mogłabyś się troszczyć o gości. Pokochaliby cię, jestem pewien.

- Chcesz zrobić ze mnie dziewczynę z wyszynku?

- Ależ nie, skąd. To zupełnie co innego. W Berlinie i we Francji wytworne, wykształcone damy prowadzą salony, do których zapraszają artystów i uczonych. Czy to nie byłoby dla ciebie? Kierujesz kawiarnią, kontrolujesz księgi, troszczysz się o interesy, zakupy i tak dalej. A wieczorem, kiedy dzienni goście są już w domach, możesz zapraszać malarzy i muzyków, liryków i innych interesujących ludzi. Moglibyśmy urządzać wieczory muzyczne albo prowadzić wieczory autorskie i wykłady. Moglibyśmy stać się centrum kulturalnym, a ty, Barbaro, kierowałabyś tym wszystkim.

Barbara gryzła dolną wargę i zastanawiała się.

- Poważny dom kupiecki daje pewność, ma dobrą reputację i cieszy się uznaniem. Dlaczego mielibyśmy porzucić to wszystko na rzecz czegoś, o czym nikt nie wie, jak funkcjonuje? - zapytała.

- Ponieważ to nie my stworzyliśmy ten dom kupiecki, lecz odziedziczyliśmy go po ojcach i dziadach. Nie wybierałem sobie życia. Urodziłem się w rodzinie kupieckiej, ale to nie znaczy, że chciałbym tam zostać przez całe życie. Nastął nowy czas, Barbaro, rządzi rozum. Rozum i uczucie.

Barbara, która dotąd opierała się o kominek, usiadła i w zamyśleniu przyglądała się mężowi.

- Nowy czas, mówisz. Nie powinieneś mnie zatem zapytać, czego ja bym chciała?

Jago rozpostarł ramiona.

- Przecież to właśnie czynię. Jeżeli nie chcesz, nie musisz dłużej pracować w biurze. Możesz robić, co chcesz.

- A jeżeli nie chciałabym też pracować w kawiarni? Jago spojrzał na nią zaskoczony.

- Nie? A ja myślałem... Czego więc byś chciała? Barbara spojrzała mężowi prosto w oczy.

- Dzieci. Chciałabym mieć dzieci.

Teraz Jago zamilkł. Zamyślony, patrzył tępo na ogień w kominku. W końcu powiedział:

- Czy mogłabyś tutaj, w domu kupieckim, mieć dzieci i jednocześnie troszczyć się o interesy?

Barbara wzruszyła ramionami.

- Mogłabym być zawsze przy dzieciach, kiedy będą mnie potrzebować. Natomiast kawiarnia nie jest miejscem dla dzieci.

- Mogłabyś załatwiać interesy z domu. Albo moglibyśmy mieszkać nad kawiarnią. To wszystko jest kwestią dyskusji.

- I pieniędzy. Ile miałyby kosztować kawiarnia? Jago przełknął ślinę.

- Dwadzieścia tysięcy guldenów. Barbara ponownie zagryzła dolną wargę.

- Czy to jest twoje marzenie, Jago?

- Słucham? - Jago, przerażony, oderwał się od swoich myśli.

- Pytam cię, czy ta kawiarnia jest twoim marzeniem?

- Dlaczego chcesz to wiedzieć?

- Ponieważ wierzę, że zadaniem miłości jest pomagać innym spełniać marzenia.

- Barbaro! Czy to prawda? - Jago złapał ją za rękę i upadł przed nią na kolana. - Czy myślisz tak, jak mówisz?

Młoda kobieta przytaknęła.

- Jeżeli twoim marzeniem jest mieć kawiarnię, to powinieneś ją dostać. A co zrobimy z dziećmi, zdecydujemy, kiedy już będziemy je mieć.

- Och, Barbaro! - zawołał Jago i okrył jej twarz pocałunkami. - Kocham cię. Tak cię kocham!

Położył głowę na jej kolanach, a Barbara zadawała sobie pytanie, czy wdzięczność jest rodzajem miłości, z którym mogła żyć.

Było już ciemno, kiedy powóz przyjechał do Frankfurtu. Dom von Boesdorffów był jasno oświetlony. Stefan odetchnął z ulgą, gdy dotarli w końcu na miejsce, mimo iż oczekiwał najgorszego. Przez całą podróż z Allendorfu do Marburga i z Marburga do Frankfurtu obie panie milczały, a on rozmawiał tylko z dziećmi. Wszystko, co widziały przez okna powozu, objaśniał im po francusku i kazał im powtarzać francuskie słowa. Raz, podczas krótkiego postoju, Annemie oddaliła się na chwilę, i wtedy Lisette rzuciła mu się na szyję.

- Kocham cię, Stefanie. Kocham cię tak bardzo, że nie wiem, jak mam żyć bez ciebie. Cokolwiek nas czeka we Frankfurcie, obiecaj mi, że będziesz blisko mnie.

Stefan przytulił ją i obiecał jej wszystko, co chciała.

- Kocham cię, Lisette - powiedział także. - Zanim cię poznałem, nie wiedziałem, co to miłość. Umarłbym, gdybym nie mógł być przy tobie.

Kiedy wypowiadał te słowa, wierzył, że są szczerze. Przy tym Lisette patrzyła na niego tak błagalnie. Ale zaraz wyjdzie z domu jej mąż i nikt nie wie, co się wtedy wydarzy.

Stefan pomyślał, że chciałby stąd uciec, szybko i daleko. Czego chcesz ode mnie? - krzyknąłby najchętniej do Lisette. Nie mogę się o ciebie troszczyć, nie potrafię się nawet zatroszczyć o siebie. Co miałbym zrobić z twoimi dziećmi? Nie jestem stworzony do roli ojca. Będziesz mnie nienawidzić za to, co się z nami stało. Twoje dzieci będą mnie nienawidzić. A ja ciebie przecież kocham i chętnie kochałbym cię jeszcze bardziej, gdybyśmy tylko byli wolni. Wolni od winy, wolni od zobowiązań, wolni od zasad.

Uśmiechnął się do niej nieśmiało i pogłaskał ją po kolanie.

Annemie skrzywiła się z obrzydzeniem.

- O co ci chodzi? - ofuknęła ją Lisette.

- Jesteście nietaktowni - odparła Annemie. - Nawet przed domem męża nie możecie zachować się cnotliwie. To niesmaczne.

Mały Arno podsłuchiwał.

- Co jest niesmaczne, Stefanie? - zapytał.

- Woda jest bez smaku - wyjaśnił. - Smakuje niczym. Truskawki smakują słodko, niektóre jabłka są kwaśne, a woda nie smakuje niczym. Jest bez smaku.

- Czy mama nie smakuje niczym? Smakuje jak woda? - dopytywał się chłopiec.

Stefan uśmiechnął się.

- Tego nie wiem. Jeszcze jej nie skosztowałem.

Chłopiec śmiał się, mała Elizabeth przyłączyła się do niego. W tej chwili podszedł służący, otworzył drzwiczki powozu i podał rękę Lisette.

- Powinnyście się udać natychmiast do salonu, *madame* - powiedział. - Pan von Boesdorff oczekuje waszego towarzystwa.

Lisette znowu rzuciła Stefanowi błagalne spojrzenie. Ale on spuścił wzrok, spojrzął na swoje stopy i pozostawił ją samą sobie.

Boesdorff siedział w małym fotelu, w którym wydawał się jeszcze potężniejszy. Jego wargi były jak zawsze wilgotne i oblizywał je, jakby czymś smakowały. Wyciągnął w stronę Stefana palec wskazujący i powiedział:

- Wybaczcie, że nie zaproponuję wam miejsca. Myślę, że już wystarczająco rozpanoszyliście się w moim domu.

Weszła Lisette z opuszczonym wzrokiem.

- Nie chcesz mnie pocałować na powitanie? - zapytał von Boesdorff. Podeszła do niego i pocałowała w policzek. Wtedy on zamachnął się i uderzył ją w pośladek tak mocno, że aż krzyknęła.

- Na co sobie pozwalasz? - ofuknęła go. - Nie jestem żadną praczką.

- Tak? - zapytał z fałszywą nutą w głosie. - A słyszałem, że zachowujesz się jak praczka.

Annemie weszła do salonu. Boesdorff wstał, wyszedł jej naprzeciw, wziął ją za rękę, odprowadził do najwygodniejszego fotela, podsunął jej poduszkę pod plecy i przyniósł nawet taboret pod stopy.

W końcu zajął miejsce obok Annemie. Lisette siedziała na brzegu sofy wyprostowana, z mocno ściśniętymi kolanami. Stefan stał w pobliżu drzwi, trzymając w ręku kapelusz.

Lodowate spojrzenie von Boesdorffa zatrzymało się długo na spiętej Lisette.

Potem przyszła kolej na Stefana, który nie miał jeszcze wprawy w pojedynkach mężczyzn. Patrzył baronowi prosto w twarz, chciał z niej wyczytać, czego ma się spodziewać.

- Spuść wreszcie oczy! - wydarł się nagle baron. Stefan, zmieszany, spojrzął pod nogi i zaczął rysować butem na parkiecie esy-floresy.

- Doszło do moich uszu, że miałem zbyt dużo zaufania do cnoty mojej żony, a także za dużo zaufania do zatrudnionego przeze mnie nauczyciela.

Na chwilę zamilkł. Stefan spojrział na Lisette, która zaczęła drżeć.

- Nie mogę nic udowodnić, nie mogę także użyć gniewu. Francuzi panoszą się bardziej, niż każdy z nas przypuszczał. W tej chwili doprawdy nie mam czasu na kaprysy mojej żony. Matka powiedziała mi kiedyś, że kobiety trzeba zawsze czymś zająć, wtedy nie będą wpadały na głupie pomysły. Słowa mojej matki mam w poważaniu. Ty, Lisette, będziesz od dziś uczyć dzieci. A wy, nauczycielu, będziecie uprzejmi opuścić moją posiadłość tak szybko, jak to możliwe. Rekomendacji nie mogę wam niestety wystawić, chyba że chcielibyście się nająć jako reproduktor.

Przy tych słowach Lisette krzyknęła cicho. Baron wstał, podszedł do niej i uderzył ją w twarz.

Stefan zacisnął pięści, ruszył w stronę von Boesdorffa i mocno zamachnąwszy się na niego ręką, wymierzył mu cios. Z nosa barona natychmiast wytrysnęła krew.

Von Boesdorff uśmiechnął się, wytarł z twarzy krew grzbietem dłoni, po czym wziął rękawiczkę i rzucił Stefanowi w twarz.

- Wiecie, co to znaczy, prawda? Stefan przytaknął.

- Wyzywacie mnie na pojedynek.

- Jutro, o wschodzie słońca, na Bornheimer Heide. Podajcie mi swoich sekundantów.

Stefan potrząsnął głową.

- Nie mam żadnych.

Von Boesdorff zmarszczył czoło.

- Musicie przecież mieć przyjaciół.

Stefan pomyślał o Georgu i cieśli, którzy arystokratów najchętniej widzieliby na latarniach.

- Możecie mnie uważać za tchórza, mój panie, ale ja się nie pojedyńkuję. Nie z wami i nie z innymi. Bronią nie rozwiązuje się żadnych problemów

- powiedział. Potem uklonił się damom i wyszedł.

- Ekehard? - głos Thedy brzmiał cicho i tak miękko, jakby wychodził z ust innej kobiety.

- Tak, moje serce, o co chodzi? Westchnęła.

- Muszę już iść.

Wstała i ubrała się w wielkim pośpiechu, unikając spojrzenia Ekeharda.

- Co się z tobą dzieje, skąd ten pośpiech?

- Ja... muszę iść do domu, muszę zadbać o porządek w biurze. Nie zatrzymuj mnie!

Jej głos brzmiał lodowato. Jamnik leżący na futrze w pobliżu drzwi podciągnął ogon. Ekehard uniósł się na łóżku.

- Czy zrobiłem coś źle? - zapytał. Theda roześmiała się głośno.

- Nie, dlaczego? Na pewno nie. Ale muszę już iść. Skinęła mu głową, jakby był przelotnym znajomym,

którego spotkała na targu, i odwróciła się do drzwi. Ekehard wyskoczył jednym susem z łóżka i przytrzymał ją za rękę.

- Thedo, co się dzieje? Dlaczego teraz jesteś taka zimna? Jeszcze przed chwilą, kiedy trzymałem cię w ramionach, byłaś taka miękka i ciepła, a teraz zachowujesz się jak nieznajoma. Żałujesz tego, co zrobiliśmy?

Theda przełknęła ślinę, po czym odepchnęła Ekeharda.

- Zostaw mnie. Co było, to było. To się nie zdarzy nigdy więcej.

Sama zauważyła, że jej głos niespodziewanie zaczął drżeć. Łzy stanęły jej w oczach. Kiedy Ekehard objął ją

mocno ramionami, zaczęła walić pięściami w jego pierś, ale szybko zabrakło jej sił, opuściła głowę na jego ramię i zapłakała.

- Cicho, już cicho - szeptał Ekehard, gładząc ją po plecach. Potem zaprowadził ją z powrotem do łóżka i kołysał w ramionach jak dziecko. A ona przywarła do niego całym ciałem, jakby szukając schronienia, i płakała tak, jak jeszcze nigdy w życiu. Z każdą wylaną łzą robiło jej się lżej, każdy szloch zmniejszał ból, a każde westchnienie pozwalało oddechowi spokojniej płynąć.

Ekehard trzymał ją mocno, głaskał, a kiedy już prawie się uspokoiła i chciała odjeść, przytrzymał ją jeszcze mocniej i powiedział cicho:

- Zostań jeszcze trochę przy mnie, moja mała, moja kochana, moja delikatna.

Theda usłyszała te słowa, spojrzała na niego i ponownie zapłakała.

- Moja mała, moja kochana, moja delikatna - szeptała, jakby dopiero w tej chwili zrozumiała znaczenie tych słów.

- Tak, moja delikatna, moje piórko, moje szczęście - powiedział czule Ekehard.

Wtedy Theda uspokoiła się zupełnie. Lekko przeciągnęła dłonią po jego piersi i zapytała cicho:

- Czy teraz źle o mnie myślisz? Ekehard zaśmiał się cicho.

- Co ci przyszło do głowy? Dlaczego miałbym źle o tobie myśleć?

- Zachowałam się jak nierządniczka, jak służąca w sianie, jęczałam... i... i to wszystko.

- Upajałem się tym - odparł Ekehard. - Jesteś namiętną kobietą, kobietą z temperamentem, wulkanem pod maską zacności. Każdy mężczyzna chciałby mieć taką kobietę.

- Ale czy to nie jest tanie? Czy nie byłam jak suka, jak zwierzę nieznające moralności i cnoty?

Eckehard chwycił ją za ramiona i odsunął nieco od siebie, tak że mógł patrzeć jej w oczy.

- Czy naprawdę tak mało wiesz o miłości? - zapytał. Theda poczerwieniała i spojrzała w dół na swoje dłonie, które skrzyżowała na kolanach.

- Miałam męża, to wiesz.

Eckehard przytaknął, okrył jej twarz pocałunkami, potem wyszeptał:

- Pozwól mi pokazać ci miłość. Zawsze, każdego dnia i każdej nocy. Po prostu bądź przy mnie. Jutro możemy dać na zapowiedzi i wziąć ślub. Theda odsunęła się od niego.

- O czym ty mówisz, Eckehardzie? Rozmawialiśmy już o tym. Jestem Geisenheimerowa, moje miejsce jest na Zeilu. Mam dzieci, posiadam dom kupiecki, o który muszę się troszczyć.

Eckehard wstał, ubrał się i uczesał włosy. Milczał.

- Dlaczego nic nie mówisz? - zapytała Theda.

- A co mam powiedzieć? Twoje dzieci już cię nie potrzebują. A dom, na Boga, należy do twoich dzieci. Powinny zobaczyć, jak się go obsługuje. Gdybyś tylko chciała, Thedo, mogłabyś spakować swoje rzeczy do walizki i przyjść do mnie. Mogłabyś robić wszystko, co chcesz. Zawsze myślałem, że jesteś odważną kobietą, ale okazuje się, że kurczowo trzymasz się starych czasów. Goethe, i Herder, i Kant dali nam nowe idee. Rozum i uczucie. Od tego wszystko zależy, Thedo. Nie od konwenansów ani od tego, co ludzie myślą. Rewolucja we Francji pokazała, że kobiety nie są gorsze czy mniej mądre od mężczyzn. Tylko ty, Thedo, kurczowo trzymasz się starego. Czego chcesz? O czym marzysz?

- A czego powinnam chcieć? - zapytała Theda. - Jestem wdową, nie muszę już nic więcej chcieć. Chcę być szanowana, chcę prowadzić przyzwoite życie z udanymi dziećmi i wnukami, które nie robią mi wstydu.

- Nie, ja mam na myśli co innego. Wyobraź sobie, że przyszła do ciebie dobra wróżka i zapytała cię, jak wyobrażasz sobie twoje życie w przyszłości. Możesz sobie zażyczyć wszystkiego, możesz chcieć być królową albo sztukmistrzem, możesz chcieć klejnotów i pereł albo daru mówienia wszystkimi językami tego świata, żeby podróżować jak bracia Humboldtowie. Czego byś sobie życzyła?

Theda długo się nie zastanawiała.

- Chciałabym być mężczyzną. Eckehard roześmiał się.

- Tak, taką cię znam. Ale jak byś żyła jako mężczyzna?

- Och! - Po twarzy Thedy przemknął uśmiech. - Słuchałabym wykładów, czytałabym „Merkuriusza” zamiast „Żurnala Mody i Luksusu”.

Siedziałabym w kawiarni jak Jago i paliła tytoń. Ale wierszy nie, wierszy bym nie pisała. Z pewnością nie. Rozmawiałabym tylko chętnie z poetami i malarzami. Może przeczytałabym ich wszystkie książki i chodziła do teatru tak często, jakbym chciała. A potem rozmawiałabym o tym, co zobaczyłam i co przeczytałam. A może, gdybym była młodsza i nie miała żadnych zobowiązań, może bym podróżowała. Nigdy jeszcze nie byłam w Zurychu. Musi być przepiękny, jezioro pośrodku miasta. Matka Goethego opowiadała mi, że był tam jej najdroższy syn. Alpy, wyobraź sobie, góry, których szczyty pokryte są śniegiem przez cały rok. Góry tak wysokie, że znikają w chmurach. Tak, to bym chętnie zobaczyła, to bym zrobiła, gdybym była mężczyzną.

Uśmiechając się, Theda spojrzała na Eckeharda. On rozłożył ramiona i powiedział:

- Przecież możesz to wszystko zrobić. Jesteś wolna, wypełniłaś już swoją powinność. Możesz podróżować. Możemy razem podróżować. Do Zurychu, poprzez Alpy do Włoch. Możemy pojechać nad morze, zobaczyć drzewa cytrynowe.

Uśmiech Thedy zniknął natychmiast.

- Nie - powiedziała. - To niemożliwe. Moi synowie, Friederike, dom kupiecki, oni wszyscy jeszcze mnie potrzebują. Szczególnie dom, zwłaszcza teraz.

W kilku słowach Theda opowiedziała, jak wygląda obecna sytuacja.

- Muszę podjąć wielki wysiłek, żeby uratować to, co jest do uratowania. Poza tym doniesiono mi, że mój syn Jago chce kupić kawiarnię, w której przesiaduje niemal każdego dnia. Muszę temu zapobiec.

- Ale dlaczego? Dla kogo to wszystko? - zapytał Eckehard. - Powiedz mi, dla kogo chcesz ratować dom kupiecki? Jago widzi się w roli poety, Stefan rewolucjonisty. Friederike jest matką, w dodatku stanu wolnego. Dla kogo chcesz to ratować? To jest właśnie czas, kiedy możesz zacząć nowe życie, takie jakie chciałabyś prowadzić. Sprzedaj przedsiębiorstwo. Właśnie teraz. Cieszy się dobrą reputacją, mogłabyś więc osiągnąć duży zysk i pozbyć się wszystkich problemów. Sprzedaj interes, wypłać dzieci, pozwól im robić to, czego potrzebują do szczęścia, i poszukaj swojego własnego.

Theda potrząsnęła głową.

- Być może nie dojrzałam jeszcze do tego. Wszystko musi zostać najpierw uporządkowane, zanim będę mogła pomyśleć o sobie.

- Wszystko nigdy nie będzie uporządkowane, a ty nigdy nie będziesz myślała o sobie. Boisz się, Thedo. Boisz się życia i miłości. Chowasz się za domem kupieckim i swoimi dziećmi.

Przerwał i spojrzał na nią.

- Szkoda, Thedo. Chętnie złożyłbym świat u twoich stóp, dałbym ci gwiazdkę z nieba, uszczęśliwiłbym. Ale będę mógł to zrobić tylko wtedy, kiedy mi na to pozwolisz.

- Prusy i Hesja się zbliżają. - Georg miał zaczerwienione policzki i błyszczące oczy. Siedzieli w Żelaznej Ręce, Stefan naprzeciwko Georga, obok cieśla.
 - Kiedy staną pod bramami, Francuzi spiorą im tyłek. Frankfurt stanie się republiką, tak jak Moguncja.
 - Jak możesz być tego taki pewny? W Moguncji nie chcieli republiki - odparł Stefan. - Władza zwierzchnia ulotniła się. W zasadzie Moguncja jest miastem bez kierownictwa. Łatwo wspiąć się na szczyt, tak jak zrobili to Forster i jakobini. Republika Moguncji? Nie rozśmieszaj mnie. Nie, nie wierzę w to. Arcybiskup Moguncji jest drugim po cesarzu najważniejszym człowiekiem w kraju, jest arcykanclerzem. Nie opuści swojego miasta, stolicy Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego. Prawdopodobnie nadciągają już oddziały, żeby oswobodzić Moguncję.
 - Co ty w ogóle wiesz? Długo cię nie było, ulotniłeś się, kiedy potrzebowaliśmy tu ciebie.
 - Byłem w podróży. A w zajazdach słyszałem, co ludzie mówią. Kilku mężczyzn, rzemieślników takich jak wy, przyjechało prosto z Moguncji i opowiadało, co się tam wydarzyło.
- Cieśla splunął na podłogę.

Ulotniłeś się, kiedy chcieliśmy otworzyć bramy.

- Bramy otworzyły się same. I nikt przy tym nie zginął.

- Mimo to mogliśmy tu ciebie potrzebować. Nie udało się nam porozmawiać z francuskimi generałami.

Stefan zdumiony uniósł brwi.

- Jak to?

Cieśla oglądał swoje paznokcie, podczas gdy Georg dał znak dziewczynie, żeby przyniosła nowe piwo. W końcu odpowiedział:

- Niektórzy mieszkańcy Frankfurtu pojechali do Moguncji, żeby budować tam republikę. Inni, kiedy zrobiło się poważnie, oddzielili się od nas. A my, którzy jeszcze zostaliśmy... my jesteśmy tylko rzemieślnikami.

- I co z tego? - zapytał Stefan.

- Nie mówimy po francusku.

- Co? Siedzieliście tutaj, czekaliście i nic nie zrobiliście, ponieważ nie mówicie po francusku? Rewolucja we Frankfurcie nie powiodła się przez waszą nieznamość języka? Wolność, równość i braterstwo stracone z powodu niewiedzy? - Stefan chwilę patrzył na nich z niedowierzaniem, a potem roześmiał się. Śmiał się tak głośno i tak długo, aż cieśla zerwał się i dał mu w zęby.

Krwawiąc, wrócił do domu. Hedi wiele nie pytała. Przyniosła wodę, ręczniki, rumianek. Dopiero kiedy zmyła z niego krew, wyciągnęła z kieszeni fartucha kopertę, która od wilgoci w kuchni była lekko pofalowana.

- Co to jest? - zapytał. Hedi wzruszyła ramionami.

- Przyniósł to posłaniec, służący von Boesdorffów. Stefan złamał pieczęć.

Hedi stanęła za nim i próbowała zajrzeć mu przez ramię.

- Czy to coś złego?

Stefan opuścił list.

- Nie, nie martw się. To w związku z moją pracą nauczyciela - powiedział zasepiony.

Potem odwrócił się i poszedł do swojego pokoju. Tam usiadł na parapecie i ponownie przeczytał list.

Mój panie,

niniejszym wyzywam was raz jeszcze na pojedynek. Spotkamy się 2 grudnia 1792 roku o świcie, przy Puszczy Bornhei-merskiej, za dużą łąką.

W przypadku gdybyście nadal nie pozwolili mi na satysfakcję, wyżej wspomnianego dnia w południe wyrzucę swoją żonę z domu.

Okażcie się więc mężczyzną i oszczędźcie mojej żonie tej hańby.

Carl August, baron von Boesdorff

Stefan westchnął głęboko i popatrzył przez okno. Drugiego grudnia to już jutro. Musi stawić się na pojedynek, koniecznie. Los Lisette leżał w jego rękach. Nie mógł dopuścić, żeby mąż ją wypędził i odebrał jej dzieci.

Ale nie mógł też do niego strzelić. W ogóle nie potrafił strzelać, nie miał żadnej broni. Nigdy nie chciał celować do drugiego człowieka, nigdy nie chciał dopuścić się przemocy. Czy miał tam pójść, bez broni, i pozwolić się zastrzelić?

Wyjrzał z okna na podwórze domu kupieckiego. Tutaj, zgodnie z wolą ojca, miała być jego przyszłość. On nią wzgardził. Teraz nie mam już żadnej przyszłości, pomyślał i westchnął. Jestem jeszcze taki młody. Nie jestem jak Jago poeta, który być może byłby gotów umrzeć za swoją wielką miłość.

Ale ja kocham Lisette. Lisette powinna żyć. Powinna być szczęśliwa.

Przyjmuje odpowiedzialność, zdecydował. Podeszedł do biurka, usiadł, delikatnie pociągnął ręką po blacie,

żegnając się nieśmiało. Potem, zanim w oczach stanęły mu łzy, wstał i opuścił dom.

W Żelaznej Ręce było niespotykane pusto.

Siedział tam tylko młody mężczyzna, któremu Stefan sięgał do brody.

Przysiadł się do niego.

- Czy jesteś jednym z jakobinów? - zapytał. Mężczyzna przytaknął.

- Nazywam się Gabriel, jak archanioł. Jestem czeladnikiem u piekarza na Toengesgasse. I jakobinem.

Wymamrotał coś, czego Stefan nie zrozumiał.

- Co powiedziałeś?

- Jestem jakobinem, ale pewnie już niedługo.

- Dlaczego? Wojska prusko-heskie stoją przed bramami z przeważającymi siłami. Trzęsiesz portkami ze strachu? Teraz?

Gabriel skrzywił się.

- Mówisz jak Georg. Ale tak nie jest, nie jestem tchórzem. Myślę tylko, że to, co dzieje się w Paryżu, nie musi koniecznie dziać się we Frankfurcie.

Nie jestem zadowolony z rady miasta i równie mało z cesarza. Ale dlaczego mam być przeciwko nim? Mój mistrz płaci mi przyzwoite wynagrodzenie, a jak będę miał szczęście, da mi za żonę jedną ze swoich córek.

- Czyli nie chcesz walczyć, ponieważ względnie dobrze ci się powodzi? - zapytał Stefan zdumiony. Czuł, że myśli Gabriela nie były mu tak obce, jakby tego chciał.

- Tak nie można powiedzieć. Są w mieście biedacy, oni powinni się złączyć i walczyć, tak jak w Paryżu. Ale nie zrobili tego. Ilu jakobinów jest we Frankfurcie? Czy tylko te dwa, trzy tuziny, które spotykają się w Żelaznej Ręce? Byłem wczoraj w izbie czeladników piekarskich. Nikt z nas nie chce protestować przeciwko swojemu mistrzowi. Frankfurt był i jest miastem Rzeszy. Tutaj obowiązują inne zasady.

Stefan zastanawiał się przez chwilę.

- Dlaczego biedacy nie protestują, jak myślisz? Gabriel wzruszył ramionami.

- Może boją się odpowiedzialności. Nie nauczyli się rządzić innymi. Rozejrzyj się. Odkąd Francuzi są w mieście, jest coraz gorzej. Całe noce pieczemy chleb. Rano przychodzą Francuzi i zabierają go, nie płacąc złamanego grosza. Kiedy potem przychodzą gospodynie, nie mamy już dla nich chleba. Pszenica wkrótce nam się skończy. Kto wie, z czego wtedy będziemy piec. U piwowarów, rzeźników i wielu innych rzemieślników wygląda to podobnie. Francuzi chcą wymusić dwa miliony guldenów od miasta, od mieszkańców, a więc od nas. Nie tak wyobrażałem sobie rewolucję.

Stefan kiwnął głową.

- W waszych słowach jest wiele prawdy. Oblężenie przygniata miasto do ziemi. Nikt nic z tego nie ma, że Francuzi są tutaj, poza kilkoma kupcami, którzy robią z nimi interesy.

- I tak już zostanie. Gołąbeczek frunie tam, gdzie jest gołąbeczka.

Obaj młodzi mężczyźni milczeli przez chwilę. Dziewczyna przyniosła im wino. Stefan myślał z przerażeniem o następnym poranku. Co mi tam rewolucja, co mi tam wolność, równość, braterstwo, skoro jutro umrę. Wtedy wpadło mu do głowy, że potrzebuje sekundanta.

Spojrzał na Gabriela.

- Czy możesz wyświadczyć mi przysługę? Młody piekarz przytaknął.

- Co mam zrobić?

- Ktoś wyzwiał mnie na pojedynek, jutro o świcie. Muszę tam być, ale nie będę strzelał, pójdę bez broni. Potrzebuję sekundanta, który po wszystkim powiadomi moją rodzinę. Zrobiłbyś to?

Gabriel westchnął.

- Czy chodzi o wasz honor?
- Tak. Tak to wygląda. Wolałbym, żeby można było tę sprawę inaczej załatwić.

- Kobieta?

- Jeżeli się nie pojawię, on wypędzi ją z domu.

- W takim razie musisz iść. Będę ci towarzyszył - powiedział Gabriel. Stefan podziękował mu, potem zawołał dziewczynę i kazał przynieść duży dzban najlepszego wina.

Kiedy Jago wszedł do kawiarni, zobaczył Erato siedzącą na kolanach Francuza. Natychmiast wstała i podeszła do niego.

- Długo cię nie było - powiedziała.

- Widzę, że beze mnie się nie nudziłaś.

- A co mam robić? Nie mam męża, który by się o mnie troszczył. Sama się muszę martwić, jak sobie poradzę.

Jago przyciągnął ją do siebie i poczuł zapach francuskich perfum.

- Puszczasz się z tymi Francuzikami? - zapytał groźnie. Erato potrząsnęła głową.

- Jestem dla nich miła, to wszystko.

Jago obejrzał się, po czym chwycił Erato mocno za nadgarstek.

- Kupię tę kawiarnię, moja muzu. Jak tylko będę ją miał, codziennie będziemy mogli być razem. Wtedy będziesz należała tylko do mnie.

Erato zaśmiała się.

- Chcesz kupić tę kawiarnię? Już kilku chciało. I co z tego mam?

Dziewczyna usiadła na kolanach Jaga i bawiła się naszyjnikami, który jej podarował. Jago przypomniał sobie, że ukradł go Barbarze.

- Daj mi ten naszyjnik, moja droga. Jest mi potrzebny. Kupię ci o wiele ładniejszy.

Erato zerwała się i potrzęsnęła głową.

- Chcesz mnie okraść? Chcesz zabrać, co do mnie należy?

- Ależ nie, kocham cię. Ale moja żona przyjdzie tutaj, kiedy kupię kawiarnię.

- Coś takiego! To mnie nie obchodzi, mój drogi. Przychodzisz do mnie tylko wtedy, kiedy mnie potrzebujesz. Poza tym nie jestem dla ciebie nikim więcej niż tylko dziewczyną z wyszynku.

Podniosła wysoko głowę, jej oczy błyszczały.

- Gdybyś mnie naprawdę kochał, to troszczyłbyś się o mnie. Właśnie teraz.

- Właśnie teraz? Co to ma znaczyć? Zaśmiała się głośno.

- To ma znaczyć, że właśnie teraz ciebie potrzebuję. Erato odwróciła się i podeszła z powrotem do stolika

Francuzów, którzy przyjęli ją radosnym wrzaskiem.

Barbara walczyła ze łzami. Stała ukryta za słupem latarni i śledziła Jaga, odkąd wszedł do kawiarni. Wszystko widziała. Wszystko. Jak Erato siedziała na kolanach jej męża, jak ten ją całował i głaskał jej piersi. Tak, widziała nawet na szyi Erato naszyjnik, który był jej bardzo dobrze znany. Bywały dotąd godziny, kiedy wierzyła, że Jago w zasadzie nie jest zainteresowany miłością, że prawdopodobnie wystarcza mu opisywanie miłości w wierszach. Teraz poznała prawdę. Przełknęła ślinę i ruszyła przed siebie chwiejnym krokiem. Po chwili jednak podjęła decyzję. Zawróciła i udała się do domu swojego ojca.

Było zimno, przejmująco zimno. Friederike, wycieńczona jeszcze porodem, drżała na całym ciele. Szła od rana. Teraz, późnym popołudniem, bolały ją nogi. Usiadła na poboczu na pniu drzewa, żeby odsapnąć. Większą część drogi przebyła z drukarzem z Lipska. Teraz widziała przed sobą wieże katedry w Naumburgu.

Friederike patrzyła tępo w dal. Wiedziała już, gdzie jest Christian. Jeszcze raz była w bursie i tym razem spotkała jego dawnego kolegę. Christian pojechał do Naumburga, żeby przez rok pracować w tamtejszym sądzie jako asesor.

- Dlaczego przerwał studia? - zapytała go Friederike. Student przestępował z nogi na nogę.

- Nie mogę wam tego powiedzieć - wymamrotał w końcu. - To musiały być osobiste powody.

Friederike pytała go jeszcze kilka razy, jednak on nie powiedział jej nic więcej.

A teraz siedziała przed bramami miasta, przyglądała się blademu zimowemu słońcu na zachodzie, marzyła na całym ciele i zastanawiała się trwożliwie, czego może się spodziewać po Christianie, kiedy go wreszcie znajdzie.

Miała marzenia, wiele marzeń. Wszystko powinno być tak, jak było we Frankfurcie. Christian i ona, i jasna przyszłość przed nimi. Ale wszystko poszło inaczej. Urodziła dziecko. Cierpiała, widząc maleńkiego Christopha w ramionach Brigitte. Tak bardzo chciała go zatrzymać przy sobie. To było jej dziecko. Chciała się o nie troszczyć i je wychowywać. Ale jak miała to zrobić bez męża? Nie, postąpiła rozsądnie i była winna Brigitte całą wdzięczność tego świata. Ciotka oddała jej przyszłość i obiecała także zapewnić przyszłość jej dziecku. Ale jak będzie wyglądała ta przyszłość bez Christiana?

Friederike westchnęła, wstała z trudem i powlokła się do bramy miasta. Tam zapytała o przykościelne schronisko i wkrótce tam dotarła. Zjadła trochę zupy, wypła kilka łyków gorącego wina, a potem skuliła się na sienniku w sali sypial-

nej dla kobiet. Jutro, pomyślała, zasypiając, jutro poszukam Christiana. I, dajbóg, znajdę go.

Stefan aż do godziny policyjnej siedział w Żelaznej Ręce. Opróżniał dzbanek za dzbankiem, lecz nie udało mu się utopić zmartwień w winie. Jego myśli pozostały jasne. Ranek zbliżał się nieubłagane. Wydawało mu się, że ogarną go wątpliwości, rozpacz, czuł jednak tylko głęboki smutek i żal, kiedy myślał o tym wszystkim, co go w życiu ominęło. Z chęcią kochałby Lisette dłużej, najchętniej przez całe życie. Lisette, jego piękna Lisette, jego delikatna, mądra, a przede wszystkim pierwsza. Chciałby mieć z nią syna. Syna, który nosiłby jego nazwisko i zostałby adwokatem jak Goethe. Ale nie tylko dlatego. Chciał walczyć z niesprawiedliwością, walczyć o prawdę. Do tej pory tego nie dostrzegał, dopiero dzisiaj stało się dla niego jasne, że rewolucja nie była niczym innym jak tylko chłopięcym marzeniem. Od dzisiaj nie był już chłopcem. Od dzisiaj był dorosły. Gdybym mógł raz jeszcze zacząć od początku, pomyślał, zrobiłbym wszystko inaczej. Studiowałbym prawo, chciałbym zostać najlepszym prawnikiem. Najlepszym we Frankfurcie, możliwe że i w całej Rzeszy. Prawo powinno zostać prawem. Dla wszystkich. Ale to nie dla mnie. Już nie. Muszę odejść, tak po prostu. Umrę. Już za kilka godzin.

Gabriel opuścił go już jakiś czas temu. Poszedł do piekarni, żeby wykonać swoją pracę i stawić się o świcie.

Stefan usiadł na ławce. Był bardzo spokojny, niespodziewanie dla samego siebie. Zastanawiał się, czy pokochałby Lisette raz jeszcze, gdyby z góry znał zakończenie.

- Tak - wymamrotał cicho. - Tak, znowu bym to zrobił. Dziewczyna podeszła do niego.

- Panie, musicie zapłacić, zaraz zamykamy.

- Daj mi oplatana butelkę na drogę do domu - poprosił.

Dziewczyna zawahała się, ale zrozumiała potrzebę podpitego gościa i przyniosła butelkę.

Chwilę później Stefan szedł przez nocny, cichy Zeil. Zatrzymał się na kilka minut przed rodzinnym domem i spojrzał w górę w okna.

- Bądź zdrowa, mamó, wyszeptał. Chciałbym ci jeszcze powiedzieć, że cię kocham. Mam nadzieję, że to czułaś. I ciebie także, Jago, kocham z całej siły, ale Friederike była mi z was wszystkich najbliższa. Niech Bóg ma was w swojej opiece, niech wam błogosławi i trzyma nad wami pieczę.

Teraz naprawdę stanęły mu łzy w oczach. Zadarł nos, przetarł twarz rękawem kurtki. Potem zerwał kokardę z klapy i położył ją przed drzwiami domu. Swoją czapkę jakobina powiesił na bramie podwórza. Nagle poczuł się wolny. Jeszcze nigdy nie doświadczył takiego poczucia wolności. Z oplataną butelką w ręku doszedł do bramy miasta i przeskoczył przez furtkę, z której korzystali bracia pijacy wracający z wesołej wioski Bornheim do domu. Przebiegł przez ogrody zamożnych mieszczan, gdzie teraz, w grudniu, leżały tylko zmarznięte buraki, i bitą drogą ruszył przed siebie do Puszczy Bornheimerskiej. Kiedy dotarł na miejsce, podniósł wzrok i zapałzył się w księżycową noc.

Chociaż było zimno, Stefan nie marzł. Usiadł na brzegu lasu na powalonym pniu drzewa, odkorkował butelkę wina, pociągnął długi łyk i zaśpiewał cicho raz jeszcze *Marsylianę*:

Allons enfants de la Patrie, Le jour de gloire est arrivé! Contre nous de la tyrannie, L'étendard sanglant est levé, Entendez-vous dans les campagnes Mugir ces féroces soldats? Ils viennent jusque dans vos bras Egorger vos fils, vos compagnes.

Stefan słyszał, że Custine skoncentrował swoje główne siły między Oberursel a Hoechst. We Frankfurcie pozostała jedynie mała załoga. A powinien kazać komendantom twierdzy otworzyć w mieście ogień, gdyby mieszkańcy opierali się Francuzom. Stefan słyszał to wszystko, jednak tylko przez chwilę się temu dziwił. Wolność, równość i braterstwo wyglądają inaczej. Może to wszystko nie było niczym innym jak tylko utopią. Może człowiek nie był stworzony do tego, żeby żyć w braterstwie, równości i wolności. Zresztą to wszystko było już za nim. Było mu obojętne, co zamierzali Francuzi, Prusacy i mieszkańcy Hesji. On nie miał już z tym wszystkim nic wspólnego.

Nie wiedział, jak długo tam siedział. Nie wiedział także, czy na chwilę zasnął. Kiedy spojrzał w górę, dostrzegł na niebie pierwsze słabe smugi porannego światła. Wstał, rozprostował kości, obrócił się - i ujrzał barona von Boesdorffa z jego sekundantem. Zaraz za nimi pojawił się Gabriel. Stefan zmówił cichą modlitwę. Obserwował, jak sekundant von Boesdorffa podszedł do Gabriela i coś mu tłumaczył. Chwilę po tym Gabriel był przy nim.

- Będziecie strzelać z pistoletów - wyjaśnił.

Stefan chciał coś odpowiedzieć, jednak Gabriel przerwał mu w pół słowa.

- Wiem, że nie masz pistoletu. Nic mu o tym nie powiedziałem, to twoja sprawa. Czy mam zawołać jego sekundanta?

Stefan spojrzał w niebo. Po raz ostatni widzę, jak wschodzi słońce, pomyślał. Ale zrobiłbym to ponownie. Znowu pokochałbym Lisette. A to, co tu robię, jest dobre i właściwe. Każdy prawdziwy mężczyzna na moim miejscu zrobiłby to samo. Jeszcze po raz ostatni spojrzał na wschód i zobaczył nikły czerwony promień na horyzoncie. Bardzo głęboko wciągnął powietrze do płuc. Był zdziwiony, jak aromatycznie smakowało poranne powietrze.

- Nie - powiedział. - Nie mów nic sekundantowi. Zdecydowałem się.

- Dobrze, jak chcesz - odpowiedział Gabriel. - Każdy z was ma trzy strzały. My wam damy znak do pierwszego strzału. Będziecie się pojedynkować, aż jeden z was będzie martwy. Zrozumiałeś wszystko? Stefan przytaknął.

- Mam jeszcze jedną prośbę. Kiedy już będę martwy, pójdziesz do mojej matki i wyjaśnisz jej wszystko? Powiesz jej, że ją kochałem. Zawsze. Gabriel westchnął, po czym skinął głową.

- Pójdę do niej, powiem jej, że umarłeś jak człowiek honoru. Umówiliśmy się na odległość stu kroków i trzy strzały.

Stopy Stefana opornie odrywały się od ziemi, jakby były do niej przywiązane. Jak przez watę słyszał głosy sekundantów głośno odliczających kroki.

Gdy usłyszał „stój”, stanął i odwrócił się. Zobaczył, jak von Boesdorff uniósł prawą rękę z pistoletem i wycelował w niego. Stał zupełnie spokojnie ze zwieszonymi po bokach rękami. Zupełnie spokojnie czekał na huk, na strzał.

Barbara przez całą noc przewracała się z boku na bok i rozmyślała. Obok niej chrapał Jago, jakby piłował drewno na całą następną zimę.

Wrócił późno do domu, pachniał tytoniem.

- Czego potrzebujesz, żeby móc pisać dobre wiersze? -zapytała go Barbara.

- Niewiele. - Jago uśmiechnął się. - Spokoju i czasu do rozmyślań. Wiesz, wiersz jest jak długie opowiadanie, jak nowela, jak powieść, lecz w jak najkrótszej formie. Dobremu poecie udaje się włożyć cały świat w kilka wersów.

- A ty jesteś dobrym poetą? - zapytała Barbara. Jago wzruszył ramionami.

- Tego nie wiem. Kiedy jest się dobrym poetą? Kiedy podoba się sobie samemu to, co się pisze? Czy kiedy podoba się wszystkim innym? Kiedy dostaje się pieniądze za to, co się pisze? Jak myślisz?

Barbara przechyliła trochę głowę, po czym odparła:

- Dobrym poetą jesteś wtedy, kiedy udaje ci się włożyć cały świat w kilka wersów. Obojętne, co o tym mówią inni. Ale jest piękniej, tak myślę, kiedy ma się kogoś, kto w ciebie wierzy.

- A ty wierzysz, że jestem dobrym poetą? Wzruszyła ramionami.

Rzadko mi pokazujesz to, co piszesz. Skąd więc mam wiedzieć?

Na to Jago poszedł do swojego gabinetu i wrócił z pakietem kartek.

- Tutaj są wszystkie moje wiersze, które miał wydrukować Mercurius.

Nie doszło do tego, z dnia na dzień się wycofał. Nawet wtedy, kiedy już chciałem mu zapłacić. - Wcisnął jej pakiet do ręki. - Nie sędzę, żebym nie wiedział, kto za tym stoi. To moja matka. Poszła do niego i powiedziała, że kupcowi nie przystoi pisanie wierszy. Myślę, że gdyby Goethe przyznał na piśmie, że to, co piszę, się nadaje, wtedy okazałaby mi szacunek.

- Ona przecież chce tylko ratować dom kupiecki. Robi to wszystko tylko dla ciebie, Stefana i Friederike.

Jago roześmiał się.

- O, nie. Moja matka trzyma się starych czasów jak mucha garnka z miodem. Nie chce po prostu zrozumieć, że każdy jest kowalem swego losu.

- Matka chce cię uchronić przed rozczarowaniem i nieszczęściem. - Głos Barbary brzmiał bardzo łagodnie. - Każda matka chce tego dla swojego dziecka. Każdy chce dla tego, kogo kocha, wszystkiego, co najlepsze. Jago spojrział na Barbarę badawczo, jednak milczał.

- Czego więc potrzebujesz, żebyś mógł tworzyć dobre wiersze? Czego, oprócz czasu i spokoju?

Jago obrócił się. Jego zacięta jeszcze przed chwilą twarz złagodniała.

- Naprawdę chcesz to wiedzieć? Dlaczego? Barbara uśmiechnęła się.

- Ponieważ chcę, żebyś był szczęśliwy, Jago. Jesteśmy małżeństwem.

Oboje wiemy, że nie wzięliśmy ślubu z miłości, jednak teraz jesteśmy razem. Możemy sobie wzajemnie uprzykrzać życie, ale możemy też sobie wzajemnie pomagać, żeby żyć tak, jak tego chcemy.

Zrobił krok w jej kierunku, chwycił ją za brodę i zmusił, żeby na niego spojrzała.

- Czy tego właśnie chcesz? Uszczęśliwić mnie? Barbara poważnie skinęła głową.

- Tak, a przy tym odnaleźć także swoje szczęście. Długo się jej przyglądał, jakby widział ją po raz pierwszy

i jakby chciał wyryć sobie w pamięci jej twarz. Jego rysy złagodniały.

- W ogóle nie wiedziałem, że masz takie piękne oczy - powiedział cicho. -

Twoja twarz jest tak... przejrzysta, tak czysta, bez fałszu. Powiedz, Barbaro, czy naprawdę myślisz tak, jak powiedziałaś?

- Tak, Jago. Tak myślę. Chciałabym żyć ze szczęśliwym mężem i szczęśliwymi dziećmi w szczęśliwym domu.

Puścił ją i zdziwiony potrząsnął głową. Następnie rozłożył ramiona i zawołał:

- Mam wszystko, czego potrzebuję do pisania. Spokój, czas i... i...

- I co?

Ucichł, patrzył teraz na podłogę.

- Myślałem, że potrzebuję muzy. Wszyscy mają muzy. Muzy Goethego zawsze nazywały się Charlotte. Ale może to nieprawda, może ja nie potrzebuję muzy. Może nawet jest tak, że zła muza tylko hamuje pisanie. Nagle wydał się jej zmęczony i starszy, jakby posunął się w latach.

Barbara wstała, położyła dłoń na jego policzku.

- Pozwól nam zacząć od nowa - poprosiła. - Sprawdźmy najpierw to stare, zanim zaryzykujemy nowe. Pozwól nam działać wspólnie.

Przytaknął, oparł głowę o jej ramię i zastygł tak na chwilę. Barbara pogłaskała go po włosach.

- Jesteś zmęczony - powiedziała.

Jago spojrzał na nią znużonym wzrokiem.

- Tak - odparł. - Jestem wyczerpany. Jakbym całą noc walczył w bitwie.
- Wiem - powiedziała jego żona. - Ja też tak się czuję. -A ta bitwa jeszcze się nie skończyła, pomyślała.

Teraz leżała w łóżku, spoglądała na śpiącego męża, który zakopał nos w poduszce. Obok niego na małym stoliku nocnym leżały kartki z wierszami. Wstała cicho, wzięła papiery, udała się do małego salonu, zapaliła lampę i czytała.

W mojej piersi czuję drżenie, Jakby rwało mi się serce, Jednak nie wiem: czy to życie? To wszystko, co dał mi Bóg? Tę tęsknotę za czymś więcej? Tak proszę o wybawienie...

Barbara walczyła ze łzami. Wiedziała dokładnie, co Jago miał na myśli. Tu była ona, jej świat włożony w kilka wersów. I było jej obojętne, czy metrum się zgadzało, czy rymy sprostały literackim wymogom. Tu był opisany świat. Jej świat. Nic więcej. I nic mniej. Wyjrzała przez okno, spojrzała ponad dachami na powoli wschodzące słońce i wiedziała już, co musi zrobić.

Friederike obudziła się wcześniej. Czowała się słaba i rozdygotana. Śniadanie, płatki owsiane z orzechami i miodem, nie pokrzepiło jej. Spakowała swój tobolek, zapłaciła rachunek i wyszła na zewnątrz w naumburski mglisty poranek. Wieże katedry tonęły w gęstych chmurach. Czeladnicy otwierali warsztaty, na wyższych piętrach domów kładziono na okiennych parapetach poduszki i kołdry. Pachniało gorącym mlekiem, ciepłymi łóżkami. Pachniało domem. Friederike czuła się bardzo samotna i bezradna jak żebraczka. Grzeba-

ła w torbie, szukając kartki, na której zapisany był adres sądu. Tam pracował Christian jako asesor. Powoli szła ulicami, w końcu stanęła przed sądem i nacisnęła klamkę ogromnych drewnianych drzwi budynku.

- Czego tutaj chcecie, pani?

Mężczyzna w peruce podszedł do niej i zmierzył ją wzrokiem od góry do dołu. Friederike ze wstydu spuściła głowę. Domyślała się, co myślał ten mężczyzna: Czego tu szuka ta obdarta i schorowana osoba.

Cicho powiedziała:

- Szukam Christiana Altvatera. Mężczyzna podszedł bliżej.

- Christiana? A kim jesteście? Czego od niego chcecie?

- To... to jest prywatna sprawa - wyjąkała Friederike.

- Prywatnie nie możecie tutaj z nim rozmawiać, on tu zwykle pracuje. Ale teraz go nie ma.

W tej chwili coś we Friederike pękło. Zachwiała się, łzy popłynęły jej po twarzy. Tak wiele zniosła w ostatnich tygodniach i miesiącach, a teraz niespodziewanie wyczerpały się jej siły. Wszystko wokół niej zaczęło wirować. Słyszała jeszcze, jak mężczyzna coś wołał, potem zrobiło się jej ciemno przed oczami.

Kiedy doszła do siebie, leżała na ławce w położonym na uboczu korytarzu, nakryta wełnianym kocem.

- No, już lepiej? - Mężczyzna w peruce patrzył na nią przyjaźnie. Podał jej kubek wody.

Przytaknęła, wzięła kubek i piła małymi łydkami. Potem wyprostowała się, przesunęła ręką po włosach i sukience.

- Skąd pochodzicie? - zapytał mężczyzna.

- Urodziłam się we Frankfurcie, teraz jednak mieszkam w Lipsku.

- We Frankfurcie? - Mężczyzna patrzył na nią zaskoczony. - Czy jesteście może Friederike Geisenheimer?

- Skąd znacie moje nazwisko?

Mężczyzna chrząknął.

- Christian raz je wymienił.

- Kim jesteście? Mężczyzna wstał.

- Pani pozwoli, moje nazwisko Herbig. Robert Herbig. Jestem tutaj sędzią. Christian został mi przydzielony jako asesor.

Skłonił się lekko, potem usiadł.

- Powiedzcie mi, czego od niego chcecie. On wystarczająco dużo przeszedł w ostatnich miesiącach.

- On? - Friederike nie wierzyła własnym uszom. - Jak to? Christian mnie zostawił. Najpierw przyszło kilka listów, ale potem już nic. Kiedy przyjechałam do Lipska, nikt go nie znał. Długo trwało, zanim się dowiedziałam, że jest w Naumburgu.

- A teraz? Czego od niego chcecie?

Friederike wyprostowała się. Opadło z niej wszystko, co dziecięce. Sprawiała wrażenie zdecydowanej i poważnej.

- Chcę wiedzieć, dlaczego mnie opuścił. Chcę także wiedzieć, dlaczego nic mi o tym nie powiedział, dlaczego bez słowa się ukrył. W czasie kiedy szczególnie go potrzebowałam.

- On was opuścił?

- Oczywiście!

Sędzia pogładził perukę. Potem powiedział powoli:

- On was nie opuścił. To wy opuściłyście jego. Poznałyście kogoś innego i zamierzałyście wyjść za niego za mąż.

Friederike otworzyła szeroko oczy i cofnęła się kawałek.

- Co to znaczy?

- Były listy z ojczyzny, w których to opisano. Wasza matka, o ile wiem, pisała je do waszej ciotki. A ona informowała Christiana. Dlatego wyjechał z Lipska. Dlatego, i ponieważ nie był już pewien, czy jurysprudencja rzeczywiście jest tym, co chciałby robić przez całe życie. Czuł się źle, nawet bardzo źle. Był chory i mizerny. Dopiero kilka tygodni temu doszedł do siebie.

Sędzia uniósł dłoń i położył na ramieniu Friederike.

- Idźcie - powiedział. - Idźcie tam, skąd przyszłyście. Nie chciałbym, żeby ten chłopak znowu musiał cierpieć.

Stefan stał ze zwieszonymi rękami; czekał na strzał, na huk, na ból.

Jednak nic się nie wydarzyło. Tylko kruk krakał.

Powoli otworzył oczy. Von Boesdorff stał oddalony od niego o sto kroków z opuszczonym pistoletem.

Gabriel podbiegł do niego wraz z drugim sekundantem. Stefan zobaczył, jak baron odrzuca od siebie broń.

Wtedy Gabriel pomachał mu ręką i szybko podszedł do niego, zdenerwowany.

- Co jest? - zapytał Stefan. - Dlaczego on nie strzelił?

- Mówi, że byłoby wbrew jego honorowi strzelić do nieuzbrojonego przeciwnika.

- Nie, on tak nie może, musi strzelić! Stefan zbladł. Podbiegł do barona.

- Tutaj jestem. Zastrzelcie mnie. Zapomnijcie o regułach pojedynku. Po prostu mnie zastrzelcie.

- Gdybyście wiedzieli, z jaką chęcią bym to zrobił. Jestem jednak człowiekiem honoru. - Twarz Boesdorffa była czerwona, na czole pulsowała niebieska żyła.

- Proszę! Musicie mnie zastrzelić. Pozwólcie nam zacząć jeszcze raz.

- Nie macie broni, więc nie będę do was strzelał.

- Lisette, co z Lisette? Musicie mnie zabić, żeby ona mogła żyć. Nie możecie jej wypędzić, jest waszą żoną. Dokąd miałaby pójść?

Boesdorff przyglądał się Stefanowi badawczo.

- Chcecie pozwolić się zastrzelić, żeby nie wygnał mojej żony z domu?

- Tak. Ja też jestem człowiekiem honoru, baronie.

Baron potrząsnął lekko głową, spojrzął na horyzont, następnie znowu potrząsnął głową. Stefan stał przed nim spokojnie, serce biło mu równomiernie.

Baron chrząknął, po czym uniósł rękę. Stefan spodziewał się policzka, jednak zamiast tego baron wyciągnął do niego rękę.

- Tak, rzeczywiście jesteście człowiekiem honoru. Ktoś, kto pozwala się zastrzelić za godność kobiety, zasługuje na szacunek. Idźcie do domu i nigdy nie pokazujcie mi się na oczy.

- A wasza żona?

- Jeżeli ktoś tak bardzo kocha moją żonę, że poświęca dla niej życie, to musi być ona warta miłości.

- Zostawicie ją u siebie?

- Tak. Pod warunkiem że będziecie się od niej trzymać z daleka. Jeżeli spotkacie ją w mieście, to zachowujcie się tak, jakbyście jej nie znali. Jeżeli spotkacie moją żonę w towarzystwie, to opuście to towarzystwo. Jeżeli tego nie zrobicie, nasza dzisiejsza umowa będzie nieważna.

Baron von Boesdorff skinął na swojego sekundanta i odwrócił się, by odejść. W tym momencie śpiącym miastem wstrząsnął huk jak od uderzenia pioruna.

- Co się dzieje? - zawołał Gabriel.

Von Boesdorff i Stefan spojrzeli na siebie.

- Armia pruska dotarła do Frankfurtu.

Teraz już nic nie trzymało Stefana. Pobiegł w dół przez łąkę, przebiegł obok ogrodów i bez tchu dotarł na Zeil. Wszędzie kręcili się ludzie.

Kobiety kryły się za firankami, konni strażnicy miejscy pędzili przez miasto, na rogach zbierali się mężczyźni. Niektórzy mieli przy sobie szpady, inni pistolety, a znowu inni trzymali w ręku młoty, żelazne pręty albo duże kije.

Stefan oglądał się na wszystkie strony.

- Co się tutaj dzieje? - zawołał.

Cieśla, którego rozpoznał po ubraniu, stał blisko.

- Prusacy i wojska heskie próbują załatwić sobie wejście przez bramy Friedbergerską i Wszystkich Świętych. A Francuzi chcą podpalić miasto. Nadeszła chwila, przyjacielu, że wypędzimy Francuzów. Chodź, przyłącz się do nas. Rozbijemy francuskie oddziały i otworzymy bramy Prusakom.

- Nie chcecie już republiki, tak jak w Moguncji i Paryżu? - zapytał Stefan.

- Diabła tam! Chcemy mieć wystarczająco dużo do żarcia i do chłania, żenić się i nazywać dom naszym własnym. Tego chcemy.

Cieśla wywijał pałką i patrzył na Stefana zapraszająco.

- Chodź, pomóż nam uchronić miasto przed szkodami.

Theda wstała bardzo wcześnie, jeszcze przed kurami. Wczoraj przez cały wieczór śleczła nad księgami. Eckehard von Hohenstein poradził jej sprzedać część domu kupieckiego, żeby uratować resztę, jednak to nie wchodziło w rachubę. Równie dobrze mógł od niej wymagać, żeby sprzedała rękę czy nogę.

W winiarni, na dole, w ukrytej wnęce, stało jeszcze kilka beczek wina. Francuzi przeoczyli je w czasie plądrowania. To wino nie było niczym szczególnym, niewiele przyniosłoby ze sprzedaży. Dobre, szlachetne wino stanie się już wkrótce towarem deficytowym. A ona wiedziała, jak wyczarować z octowego napoju szlachetne wino. Przynajmniej musiała spróbować.

Przez pół nocy zestrugiwała wióry z dębowego drewna i ścierała je na proszek. Kilka wiórków dębowego drewna, do tego trochę sadzy, tylko odrobinę, a wino będzie miało smak typowy dla beczek dębowych.

Będzie smakowało, jakby długo leżakowało i wciąż było przelewane do nowych dębowych beczek wcześniej wypalonych pochodnią.

Theda biegła przez podwórze z woreczkami w dłoni, gdy usłyszała hałas dochodzący z Zeilu. Grzmoty działa, strzały, zgrzyt, jakby żelazo uderzało o żelazo. Zatrzymała się. Ogarnął ją strach. Stefan nie wrócił na noc do domu. Czy rewolucja rzeczywiście już się zaczęła i jej syn znalazł się w środku zawieruchy?

Upuściła woreczki z mączką drzewną, pobiegła z powrotem do domu, złapała pelerynę i wybiegła przez drzwi wyjściowe, w towarzystwie swojego jamnika.

W całym Zeilu było aż gęsto od dymu.

- Pani, czego tu szukacie? - krzyknął do niej ktoś, wymachując siekierą. - Wracajcie do domu.

- Ale mój syn jest gdzieś tutaj, w samym środku. Muszę go znaleźć, muszę go ratować.

Mężczyzna chwycił ją za ramię.

- Tu nie ma nic do uratowania. Przyrzadźcie pieczeń, żeby miał co ugryźć, kiedy wróci do domu. Tutaj tylko przeszkadzacie, kręcicie się nam pod nogami. Idźcie już do domu.

Mężczyzna stanowczo przesunął Thedę na podwórze.

Jeszcze nie odszedł, kiedy brama uchyliła się i zobaczyła leżące na ulicy podeptane kokardy i uciekających Francuzów. Jeden z nich biegł z ręką na hełmie, ścigany przez dwóch mężczyzn z drągami. Z lewej strony słychać było krzyki. Francuz upadł, chciał się pozbierać, jednak już dopadli go rzemieślnicy.

Jamnik próbował prześliznąć się pomiędzy jej stopami, ale Theda złapała go mocno. Zamknęła bramę, złożyła dłonie i wymamrotała:

- Panie w niebiesiech, chroń mojego syna. Proszę cię, trzymaj nad nim pieczę. Nie zabieraj mi go. Jeżeli go oszczędzisz, obiecuję ci, że odpokutuję swoją winę.

- Christian, mój Christian, mój ukochany. Gdzie on jest? Szybko, zaprowadźcie mnie do niego. Nie chcę mu zaszkodzić, muszę mu powiedzieć, że go kocham. Czy byłabym tu w przeciwnym razie? Sędzia uśmiechnął się.

- Nie, nie wyruszałybyście samotnie w tak długą drogę, nie czując nic do tego chłopaka.

- Pozwólcie mi więc pójść do niego. Albo dajcie mi jego adres. Muszę tam iść, muszę pójść do niego.

Sędzia przytrzymał Friederike na ławce.

- Bez pośpiechu, panienko, on tu będzie za kilka minut. Przejdźcie do pokoju przy wejściu. Jest otwarty, tam możecie na niego poczekać.

Friederike spojrzała pytająco na sędziego, a on przytaknął, uśmiechając się.

- Wszystko będzie tak, jak ma być. Nie obawiajcie się. Friederike, uspokojona, wstała i poszła do pokoju, który wskazał jej sędzia.

Stała przy oknie i wyglądała na zewnątrz w nadziei, że zobaczy nadchodzącego Christiana. Jednak nie minęło pięć minut, kiedy drzwi się otworzyły. Odwróciła się, zawołała: -Christianie! Przebiegła przez cały pokój i rzuciła się w jego

ramiona. A on rozłożył ręce, chwycił ją, mocno, bardzo mocno przytulił i powiedział cicho:

- Już nigdy cię nie opuszczę.

Przez cały dzień szalała bitwa. Stefan pomagał rozbijać działa Francuzów. W końcu żołnierze uciekli przez Bramę Bockenheimerską, a w tym samym czasie książę Brunszwiku z oddziałami prusko-heskimi wjechał do miasta przez Bramę Friedbergerską.

Dopiero teraz, kiedy ustały odgłosy walki, poczuł, jak bardzo jest zmęczony. Ostatniej nocy nie spał, nic nie jadł. Był niemal chory z wyczerpania i głodu.

Poczerniały od sadzy, z oderwanymi rękawami, zmierzwionymi włosami i ubrudzoną błotem twarzą poszedł do domu.

Wszedł do przedpokoju, poczuł znany zapach z kuchni Hedi. Kiedy usłyszał głos Thedy, pobiegł po schodach w górę, wpadł jej w ramiona i wyszeptał:

- Mamo, znowu jestem w domu.

Theda trzymała go w objęciach długo i bardzo mocno.

- Tak - powiedziała. - Znowu jesteś w domu. I za to dziękuję Bogu.

Zatroszczyła się, żeby przygotowano dla niego gorącą kąpiel, kazała Hedi przynieść pieczeń i opiekowała się uznanym za zaginionego synem, tak że czuł się jak wtedy, gdy jako mały chłopiec był chory. Pomyślał, że jeszcze nigdy nie było mu tak dobrze. Tutaj jest jego miejsce. Tutaj, w tym domu, wśród tych ludzi.

- Mamo - powiedział do niej później - dużo się wydarzyło w ostatnich tygodniach. Jestem teraz dorosły. Pojadę na studia do Marburga. Chcę zostać sędzią, chcę dbać o to, żeby prawo pozostało prawem a niesprawiedliwość została ukarana.

Theda pogłaskała go po włosach.

- Tak, Stefanie - powiedziała cicho. - To będzie dobry zawód dla ciebie. Niedługo później do domu wrócił Jago. On także był brudny i obdarty.

- Kawiarnia spłonęła - poinformował. - Wszędzie strzelano. Widziałem martwych i rannych.

Tak jak stał, opadł na fotel, a Theda naląła mu duży kieliszek wódki, który natychmiast wypił.

Gdy już trochę odpoczął, wzięła list z gzymsu kominka.

- To przyszło do ciebie już wczoraj, z pocztą.

Jago apatycznie wziął list do ręki, spojrział na pieczęć i skoczył na równe nogi.

- To od Schillera. Przed kilkoma tygodniami wysłałem mu swoje wiersze. Teraz przyszła odpowiedź. - Mówiąc to, wbił wzrok w matkę. Theda zmusiła się do uśmiechu.

- Daj posłuchać, co pisze.

Jago złamał pieczęć, przeczytał, zdumiał się, po czym się uśmiechnął.

- Chce wydrukować moje wiersze. - Jego głos brzmiał niedowierzająco. - Dwa powinny się ukazać w pierwszym wydaniu czasopisma literackiego, które niebawem chce wydać.

- Gratulacje! - Stefan wstał i poklepał brata po ramieniu.

- Wydrukują cię. Schiller! Jesteś poetą.

- Tak - odparł Jago. - Jestem poetą.

Potem zastanowił się chwilę i spojrział na matkę.

- Dużo się wydarzyło. Wszyscy zajrzeliśmy śmierci w oczy. Wiem teraz, czego chcę. Jeżeli Goethe może być jednocześnie poetą i ministrem, jeżeli Schiller pisze poezje i wykłada na uniwersytecie, to ja mogę być i kupcem, i poetą.

Theda westchnęła tak głęboko, że synowie spojrzeli na nią zaskoczeni.

Potem opadła na fotel i poprosiła:

- Nalejcie i mnie kieliszek wódki, tylko duży.

Stefan wstał, szczerząc zęby, i napełnił kieliszek. Obaj sy-

nowie przyglądali się z otwartymi ustami, jak ich matka połyka wódkę, jakby to była czysta woda.

Theda postawiła kieliszek na stole, przetarła usta i powiedziała:

- Teraz muszę jeszcze zadbać o Friederike.

- Co się z nią dzieje? - zapytał Stefan, który długo był poza domem. - Jest przecież w Lipsku u ciotki Brigitte, pojechała tam, żeby odpocząć, czyż nie?

- Brigitte pisała, że Friederike urodziła syna. Brigitte przejęła nad nim kuratelę. Ale jak ma się sprawa z nią i Christianem, tego nie wiem. Jego ojciec nie zgodził się, żeby tych dwoje się pobrało, bo nasz dom stracił dobrą renomę. Nie chce się wiązać z biednymi ludźmi.

- Mamy pieniądze. Dwadzieścia pięć tysięcy guldenów. Włożymy je w dom kupiecki. A wtedy zobaczysz, że nazwisko Geisenheimer znowu będzie wymawiane z szacunkiem. - Jago wypowiedział te słowa z takim zdecydowaniem, o jakim Theda nie ważyła się nawet marzyć.

Theda nie była tak zdenerwowana od swoich dziewczęcych lat. Serce biło w jej piersi, jakby chciało się rozprysnąć. Czuła mrowienie w brzuchu, jakby połknęła całą ulicę mrówek. Bała się, i to bardzo.

Szła do Ekeharda von Hohensteina, żeby dotrzymać obietnicy, którą złożyła Bogu. Chciała przyznać się w końcu do postępuku sprzed przeszło dwudziestu lat, do winy, która uczyniła jej serce twardym, szczególnie dla niej samej.

Ekehard von Hohenstein nie wydawał się zaskoczony, kiedy zapukała do jego drzwi. Ulice wciąż jeszcze rozbrzmiewały zgiełkiem bitwy, a dym prochu unosił się nad miastem.

Patrzył na nią, jakby tylko oni oboje byli na świecie. Ujął jej twarz w swoje duże, ciepłe dłonie i powiedział cicho:

- Jesteś nareszcie.

- Tak - odpowiedziała Theda zwyczajnie. - Jestem. Następnie weszła do środka, podążyła za nim do salonu, pozwoliła zdjąć sobie pelerynę i położyć stopy na taborecie.

Ekehard von Hohenstein nalał z dzbanka gorące, mocno przyprawione czerwone wino do dwóch kubków i podał jej jeden z nich.

- Wypij. Wyglądasz, jakbyś potrzebowała wzmocnienia. Kiedy postawiła na stole pusty kubek, Ekehard von

Hohenstein uklęknął przed nią i wziął jej dłoń:

- Thedo, pytam cię dzisiaj po raz ostatni: czy chcesz za mnie wyjść? Jeżeli dzisiaj odmówisz, na zawsze zniknę z twojego życia. Jednak zanim odpowiesz, powinnaś wiedzieć, że z powodu Francuzów poniosłem duże straty, choć moje przedsiębiorstwo jest nadal w dobrej kondycji. Nie chciałbym już dłużej pracować, chciałbym, żeby od tej chwili robili to za mnie inni. Chciałbym mieć czas, żeby podróżować z tobą, pokazać ci świat, a może nawet szczęście.

Thedzie łzy stanęły w oczach. Przełknęła ślinę, potem oswobodziła się z jego uścisku.

- Nie możemy się pobrać, Eckehardzie - wyszeptwała. -Chociaż tak bardzo bym tego pragnęła, tak bardzo cię kocham, to jednak nie możemy się pobrać.

Zaczęła płakać. Eckehard wziął ją w ramiona, kołysał i szeptał:

- Po raz pierwszy mówisz mi, że mnie kochasz. Co mogłoby nas zatem rozdzielić?

Theda wyrwała się i potrząsnęła głową.

- Nie, Eckehardzie. To już drugi raz. Pierwszy raz powiedziałam to ponad dwadzieścia lat temu. Wtedy byliśmy młodzi. Myślałam, że nasza miłość będzie trwała wiecznie. Potem musiałam zrozumieć, że dla ludzi takich jak my małżeństwo z miłości nie wchodzi w rachubę. Musiałeś się zaręczyć, może też chciałeś się zaręczyć. W każdym razie serce mi pękło. Od tego czasu bałam się uczuć. Dlaczego miałabym sprawiać sobie ból? Przysięgam sobie, że nigdy więcej nie będę kochać. I dotrzymałam przysięgi. Do dzisiaj. Dopiero dzisiaj zrozumiałam, jak bardzo kocham moje dzieci. Dopiero od dzisiaj wiem, że moje serce potrafi jeszcze tak kochać, że prawie rozpada się na kawałki.

- W takim razie wszystko jest w porządku, moja droga, wszystko jest dobrze.

- Nie, Eckehardzie. Straciłeś żonę i dziecko. Z mojej winy.

- Co? Co ty mówisz? - Eckehard odsunął się.

- Znalazłam ją wtedy w Puszczy Bornheimerskiej. Krew spływała jej po nogach. Nie zapomnę tego widoku. Błagała mnie o pomoc, ale ja poszłam dalej. Umarła, ponieważ jej nie pomogłam. Jestem morderczynią twojej żony i twojego syna.

Mężczyzna wstał, przejechał ręką po włosach i odwrócił się do Thedy plecami. Po prostu stał i milczał. Długo tak stał.

- Teraz rozumiesz, dlaczego nie możemy się pobrać. Nie możesz stanąć przed ołtarzem z morderczynią.

Eckehard powoli się odwrócił.

- To nie była twoja wina, że oboje umarli. Dziecko już od kilku dni było martwe w jej łonie, zanim zaczęły się bóle. Zginęła od trupiego jadu. Nie, Thedo, nie jesteś morderczynią.

Theda patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Przez dziesięciolecia uważała siebie za morderczynię. Prawie co tydzień męczyły ją sny o jego żonie i martwym dziecku. Jej serce zamieniło się w kamień, ponieważ czuła się obciążona winą. A teraz to wszystko miało nie być prawdą?

- Może nie jestem morderczynią - powiedziała cicho. - Ale byłabym do tego zdolna. Miałam zamiar, w swoich myślach zabiłam ją.

Eckehard podszedł do niej.

- Tak, może to zrobiłaś. Ale odpokutowałaś to. Bardziej niż każdy morderca, który otrzymał sprawiedliwą karę. Życie bez miłości, Thedo, to największa pokuta, jaką można sobie nałożyć. Jesteś wolna od winy, wszystko spłaciłaś. Ja ciebie rozgrzeszam.

Theda wstała, wzięła pelerynę i rękawiczki. Czuła się uwolniona, a jednocześnie tak smutna, jak jeszcze nigdy dotąd. Wydawało jej się, że widziała kawałek szczęścia, spróbowała kęsa miłości, żeby natychmiast doświadczyć, jak los znowu zabiera jej talerz.

- Bądź zdrowy, Eckehardzie - wyszeptała. - Bądź zdrowy i nie zapominaj, że byłeś jedynym mężczyzną, którego kochałam przez całe życie.

Potem podeszła do drzwi. Jeszcze raz się obejrzała, spojrzała w ukochaną twarz, dostrzegła każdą zmarszczkę, każdy por skóry. W tej chwili tak bardzo kochała tego mężczyznę, że jej serce głośno krzychało. Obawiała się, że się załamie, jeśli zostanie jeszcze sekundę dłużej. Odwróciła się i zbiegła schodami w dół. Słyszała, jak ją wołał, jednak jej uszy były głuche na jego głos. To było tak, jakby Bóg nałożył na nią nową karę, jakby dopiero teraz została naprawdę ukarana za to, co zrobiła.

Ostatecznie straciła mężczyznę swojego życia.

Theda biegła ulicą, ślepa od łez. Nagle ktoś złapał ją za rękę, tak że zgubiła krok i wpadła na szeroką męską pierś. To była pierś Eckeharda.

- Czy znowu chcesz uciec i zostawić na lodzie kogoś, kto potrzebuje twojej pomocy? - zapytał. Theda zobaczyła, że on także miał łzy w oczach. Trzymał ją mocno w objęciach i szeptał: - Kochamy się już tyle lat. Ja także nie kochałem żadnej innej kobiety tak jak ciebie. Wtedy poślubiłem inną, ponieważ mój ojciec tego chciał, a ja nie miałem siły ani odwagi, żeby mu się przeciwstawić. Teraz życie dało nam drugą szansę.

Thedo, proszę, nie możemy zmarnować tej szansy.

Theda spojrzała na niego. Była świadoma swojej zaczerwienionej od łez twarzy, swojego przesuniętego czepka, spod którego wyglądał szary kosmyk włosów, wiedziała, że błoto ochlapało jej suknię. Widziała siebie, postarzałą kobietę, której zmartwienia odebrały urodę. A mimo to czuła się młoda i piękna. I kochana. Nareszcie.

- Z tobą - wyszeptała - odważyłabym się jeszcze raz. Z tobą zaryzykowałabym miłość.

- Nie bój się - szepnął Eckehard. - Co może się stać? Jestem przy tobie.

- Tak - odpowiedziała. - Jesteś przy mnie. Teraz już będzie dobrze.